

Ernest
HEMINGWAY
Mieć i nie mieć

Przełożyła Krystyna Tarnowska

Tytuł oryginału angielskiego

To Have and Have Not



Część pierwsza

WIOSNA

ROZDZIAŁ I

Wiecie, jak to jest wczesnym rankiem w Hawanie, kiedy łaziki śpią jeszcze pod murami domów, a wozy-chłodnie nie zaczęły rozwozić lodu do barów? No więc szliśmy z portu przez plac do „Perły San Francisco”, żeby napić się kawy, i na placu tylko jeden łazik nie spał, pił wodę z fontanny. Ale kiedyśmy weszli do kawiarni i usiedli, zobaczyłem, że tamci trzej już czekają.

Jeden podszedł do nas.

– Więc jak? – spytał.

– Nie mogę – powiedziałem. – Chętnie bym to dla was zrobił. Ale mówiłem już wczoraj wieczorem, że nie mogę.

– Zapłacimy każdą sumę.

– Nie o to chodzi. Nie mogę tego zrobić. Zwyczajnie nie mogę.

Tamci dwaj podeszli i stanęli przy nas, miny mieli zmartwione. Wyglądali na porządnych facetów i naprawdę chętnie bym im się przysłużył.

– Po tysiąc dolarów od sztuki – powiedział ten, który mówił dobrze po angielsku.

– Aż mi nieprzyjemnie tego słuchać – odparłem. – Powiadam wam uczciwie, że nie mogę.

– Później, jak się wszystko zmieni, sam pan na tym skorzysta.

– Wiem. Jestem całym sercem z wami. Ale nie mogę.

– Dlaczego?

– Zarabiam tym kutrem na życie. Jak go stracę, nie będę zarabiał.

– Zarobi pan na kupno drugiego.

– Ale nie w więzieniu.

Pewnie im się zdawało, że ustąpię, jak mnie będą namawiali, bo jeden ciągnął dalej:

– Zarobi pan trzy tysiące dolarów i później, jak się wszystko zmieni, sam pan na tym skorzysta. To nie może już długo trwać.

– Posłuchajcie – zacząłem. – Nic mnie nie obchodzi, kto jest tutaj prezydentem. Ale nie wwiozę do Stanów niczego, co umie mówić.

– Uważa pan, że my będziemy mówili? – spytał ten, który się dotąd nie odzywał. Był cholernie zły.

– Powiedziałem: nie wwiozę niczego, co umie mówić.

– Myśli pan, że jesteśmy *lenguas largas*?

– Nie.

– Wie pan, co to jest *lenguas largas*?

– Wiem. Facet z długim językiem.

– A wie pan, co my z takim robimy?

– Nie bądź pan taki groźny. To wyście do mnie przyszli. Ja wam nic nie proponowałem.

– Milcz, Puncho – wtrącił ten, który przedtem ze mną rozmawiał.

– On powiedział, że my będziemy mówili – rzucił się Puncho, wciąż cholernie zły.

– Zrozumcie – zacząłem im tłumaczyć. – Powiedziałem tylko, że nie wwiozę do Stanów niczego, co umie mówić. Worki z butelkami wódki nie mówią. Ani szklane gąsiory. Różne inne rzeczy też nie mówią. Ludzie mówią.

– A Chińczycy?

– Chińczycy mówią, tylko że ja ich nie rozumiem.

– Więc nie?

– Powiedziałem wam już wczoraj wieczorem. Nie mogę.

– Ale mówić pan nie będzie? – upierał się Puncho.

Nie rozumiał tej jednej rzeczy i to go tak rozwścieczyło. Rozczarowanie też pewnie zrobiło swoje. Nawet mu nie odpowiedziałem.

– Pan nie jest *lenguas larga*, co? – dopytywał się Puncho, ciągle cholernie zły.

– Chyba nie.

– A to co? Pogrożka?

– Nie bądź pan taki chojrak od samego rana. Na pewno już niejednemu poderznął gardło. Ale ja jeszcze nie zdążyłem nawet wypić kawy.

– Tak? Jest pan pewien, że podrzynałem ludziom gardła?

– Nie. I guzik mnie to obchodzi. Czy koniecznie musisz się pan ciskać, jak załatwiasz interesy?

– Teraz jestem zły – wybuchnął. – Miałbym ochotę pana zabić.

– Rany boskie – powiedziałem. – Nie gadaj pan tyle.

– Chodź, Puncho – odezwał się ten pierwszy. Potem do mnie: – Bardzo żałuję. Myślałem, że nas pan przewiezie.

– Ja też żałuję. Ale nie mogę.

Wszyscy trzej skierowali się do drzwi, a ja patrzyłem za nimi. Przystojni chłopcy, dobrze ubrani, bez kapeluszy. Wyglądali na takich, co mają dużo pieniędzy. W każdym razie

mówili tak, jakby mieli dużo pieniędzy, i po angielsku mówili jak bogaci Kubańczycy.

Dwaj wyglądali na braci, a trzeci, Puncho, był trochę wyższy, ale podobny do nich. Wiecie – smukły, dobrze ubrany, włosy błyszczące. Podług mnie wcale nie był taki zły, jak udawał. Był tylko cholernie zdenerwowany.

Po wyjściu na ulicę skręcili w prawo i wtedy zobaczyłem, że przez plac wali w ich stronę zamknięty samochód. Zaraz poszła szyba wystawowa, kula trzepnęła w rząd butelek w gablotce na ścianie po prawej. Usłyszałem terkot automatu i trach, trach, trach – butelki rozpryskiwały się w różnych miejscach na ścianie.

Skoczyłem za bar, z lewej strony, i patrząc nad ladą widziałem wszystko. Samochód stanął, obok przykucnęli dwaj faceci. Jeden trzymał w ręku pistolet maszynowy Thompsona, drugi śrutówkę automatyczną z przyciętą lufą. Ten, który miał Thompsona, był Murzynem. Drugi miał na sobie biały szoferski kombinezon.

Jeden z Kubańczyków leżał na trotuarze, twarzą w dół, o krok od tej roztrzaskanej szyby wystawowej. Tamci dwaj schowali się za wóz-chłodnię z piwem tropikalnym, kilka takich stało obok przed barem Cunarda. Jeden koń zaprzęgnięty do wozu padł i rzucał się w uprzęży, drugi szarpał łbem jak wszyscy diabli.

Kubańczyk strzelił zza wozu, kula odbiła się od chodnika. Murzyn z Thompsonem schylił się, prawie przytknął twarz do bruku i puścił serię dołem, na tył wozu; naturalnie jeden z nich dostał, upadł na chodnik i leżał z głową nad samym krawężnikiem. Rzucał się tam jak ryba, rękami zakrywał głowę; szofer strzelił do niego z automatu, a tymczasem Murzyn ładował magazynek. Ale strzał szofera był za daleki. Widziałem na chodniku ślady po grubym śrucie, jak rozsypane srebrne wiórki.

Ten drugi złapał rannego za nogi i przeciągnął go za wóz; widziałem, jak Murzyn znowu przytyka twarz do bruku, żeby puścić nową serię. Potem zobaczyłem, że Puncho wychodzi zza furgonu i idzie pod osłoną konia, tego, co jeszcze stał. Potem wysunął się cały zza konia, twarz miał bladą jak brudne prześcieradło i kropnął w szofera z Luga; trzymał pistolet oburącz, żeby nie odbijał. Wciąż idąc strzelił dwa razy nad głową Murzyna i raz za nisko.

Musiał trafić w oponę samochodu, bo widziałem na chodniku słup kurzu wypchnięty uchodzącym powietrzem i z odległości dziesięciu stóp Murzyn strzelił mu w brzuch, chyba ostatnią kulę, bo zaraz odrzucił pistolet; Puncho siadł ciężko i przewalił się do przodu. Chciał się podnieść, cały czas nie wypuszczając broni, ale nie mógł podźwignąć głowy i wtedy Murzyn schwycił strzelbę, która stała obok szofera, oparta o koło samochodu, i odłupał mu kawał czaszki. Niech go, tego Murzyna.

Pociągnąłem duży łyk z pierwszej z brzegu otwartej butelki i do dzisiejszego dnia nie potrafiłbym wam powiedzieć, co to było. Ta cała historia zupełnie ścięła mnie z nóg. Prześlizgnąłem się za kontuarem na drugą stronę baru, potem przez kuchnię na ulicę. Obszedłem plac samym brzegiem i nawet się nie obróciłem, żeby spojrzeć na tłum zbierający się przed kawiarnią. Przez bramę wyszedłem na molo i po chwili byłem na pokładzie.

Gość, który wynajął mój kuter, czekał już na mnie. Powiedziałem mu, co się stało.

– Gdzie Eddy? – spytał Johnson. Tak się ten gość nazywał.

– Nie widziałem go, odkąd zaczęła się strzelanina.

– Myśli pan, że jest ranny?

– Gdzie tam! Mówię panu, że kule trafiły tylko w szafkę z butelkami. Zaraz na początku, kiedy samochód zajechał Kubańczyków od tyłu. Kiedy kropnęli tego pierwszego faceta pod samym oknem wystawowym. Podjechali w ten sposób...

– Jest pan tego diabelnie pewny – rzucił Johnson.

– Bo się przyglądałem.

Potem nagle podniosłem głowę i zobaczyłem Eddy'ego; szedł w naszym kierunku i wydawało mi się, że jest jeszcze chudszy i bardziej niechlujny niż zwykle. Szedł, jakby miał wszystkie kończyny wywichnięte w stawach.

– Jest Eddy – powiedziałem.

Wyglądał bardzo kiepsko. Wcześniej rano nigdy nie wyglądał dobrze, ale teraz wyglądał bardzo kiepsko.

– Gdzieś był? – spytałem.

– Na podłodze.

– Widział pan? – spytał Johnson.

– Niech mi pan lepiej nie przypomina – wtrącił Eddy. – Jak tylko o tym pomyślę, zbiera mi się na wymioty.

– Napij się pan czegoś – poradził Johnson. Potem do mnie: – Wyływamy dzisiaj?

– To zależy od pana.

– Jak z pogodą?

– Mniej więcej tak jak wczoraj. Może trochę lepiej.

– No to jedźmy.

– Dobrze. Tylko poczekamy na przynętę.

Ten bubek już od trzech tygodni łowił z nami w Golsztromie i dotąd nie dostałem od niego ani centa, oprócz stu dolarów, które mi dał, zanim się przeprowadziliśmy, na opłaty w konsulacie, na załatwienie formalności wyjściowych, kupno prowiantu i benzyny do baku.

Cały sprzęt rybacki był mój, za wynajęcie kutra miałem dostawać trzydzieści pięć dolarów dziennie. Johnson sypiał w hotelu i co rano przychodził na pokład. Eddy mi naraził tę robotę, więc musiałem go wziąć do pomocy. Dawałem mu cztery dolary dziennie.

– Muszę zatankować benzynę – powiedziałem Johnsonowi.

– Dobrze.

– Potrzebne mi będą pieniądze.

– Ile?

– Galon kosztuje dwadzieścia osiem centów. Muszę wziąć czterdzieści galonów.

Razem jedenaście dolarów i czterdzieści centów.

Wyjął piętnaście dolarów.

– Chce pan, żebym za resztę kupił piwa i lodu?

– Doskonały pomysł – powiedział. – Niech pan to odliczy od sumy, którą jestem panu winien.

Pomyślałem, że jak na obwożenie faceta za darmo, trzy tygodnie to kawał czasu, ale jeżeli ma pieniądze, to co za różnica? Pewnie, powinien płacić co tydzień. Chociaż bywało, że woziłem takich cały miesiąc i w końcu mi płacili. Moja wina, ale początkowo byłem zadowolony, że w ogóle mi się ktoś trafił. Dopiero od kilku dni byłem niespokojny, chociaż nic nie mówiłem, bo się bałem, żeby mnie nie skłął. Jak ma pieniądze, to im dłużej będzie łowił, tym lepiej.

– Chce pan piwa? – spytał otwierając skrzynkę.

– Nie, dziękuję.

Akurat wtedy zobaczyłem na molo Murzyna, który nam przynosił przynętę, więc powiedziałem Eddy'emu, żeby się wziął do odwiązywania cumy.

Murzyn wszedł z przynętą na pokład, odcumowaliśmy kuter i wypłynęliśmy; tymczasem Murzyn zakładał dwie makrele na hak. Wsuwał hak w pysk ryby, na zewnątrz przez skrzela i potem przez nacięcie w boku na drugą stronę, wiążąc pyski do przepony z drutu i dobrze umocowując hak, żeby nie miał luzu, bo w ten sposób przynęta sunie gładko i nie kręci się dokoła własnej osi.

Prawdziwy czarny Murzyn był z niego, inteligentny i ponury, pod koszulą nosił na szyi niebieskie koraliki wudu, na głowie stary słomkowy kapelusz. Na morzu najchętniej spał albo czytał gazety. Ale zgrabnie zakładał przynętę i był szybki.

– Pan nie umiałby tak założyć przynęty? – spytał mnie Johnson.

– Umiałbym.

– To po co wozić tego Murzyna?

– Jak się pokażą duże ryby, sam pan zobaczy – powiedziałem.

– Nie rozumiem.

– Murzyn robi to prędzej ode mnie.

– Eddy nie potrafi?

– Nie, proszę pana.

– Uważam, że to niepotrzebny wydatek. – Płacił Murzynowi dolara dziennie i Murzyn co noc się łądaczył. Widziałem, że już zbiera mu się na sen.

– Jest potrzebny – powiedziałem.

Minęliśmy już przycumowane naprzeciw Cabanas kutry żaglowe ze spuszczonej wodę sadzami pełnymi ryb i zakotwiczone skiffy łowiące mocharry nad skalistym dnem przy Morro; prowadziłem kuter prosto na ciemną linię Golsztromu. Eddy zarzucił dwa duże błyski, Murzyn miał przynętę na trzech linkach.

Golsztrom podchodził tu blisko brzegu i jak popłynęliśmy na sam skraj, woda wydawała się prawie fioletowa od gęstych wirów. Zerwała się lekka wschodnia bryza, spłoszyliśmy całą masę latających ryb, tych dużych z czarnymi skrzydłami, co to wyglądają w powietrzu jak Lindberg na fotografii, przelatujący Atlantyk.

Duże latające ryby to najlepszy znak. W całym polu widzenia żółciły się płaty tych spłowiałych od słońca wodorostów sargassowych, co zawsze wskazuje, że główny nurt przepływu niedaleko. Przed nami ptaki uwijały się nad ławicą małych tuńczyków. Widać było, jak tuńczyki wypryskują z wody; niewielkie sztuki, najwyżej dwufuntowe. – Może pan w każdej chwili zarzucić – powiedziałem do Johnsona.

Włożył pas z karabińczykami i zarzucił największą wędkę, tę z kołowrotkiem systemu Hardy'ego, która ma sześćset jardów linki splecionej z trzydziestu sześciu włókien. Obejrzałem się i zobaczyłem, że jego przynęta sunie za nami jak należy – podskakując lekko na fali; dwa błyski to nurkowały, to wynurzały się z wody. Szybkość mieliśmy akurat dobrą, prowadziłem kuter prosto na Golsztrom.

– Trzeba osadzić wędzisko w uchwycie fotela – powiedziałem. – Wtedy wędka nie będzie taka ciężka. Hamulec trzeba zwolnić, żeby pan mógł popuścić linkę, kiedy ryba szarpnie. Jak szarpnie przy zasuniętym hamulcu, wyleci pan za burtę.

Co dzień musiałem mu to powtarzać, ale niech tam. Na pięćdziesięciu turystów najwyżej jeden wie coś niecoś o łowieniu ryb. A jak ma już jakie takie pojęcie, to przeważnie zachowuje się, jakby był stuknięty, i chwyta za linkę, która nie utrzyma ciężaru żadnej większej sztuki.

– Co pan myśli o pogodzie?

– Nie może być lepsza – powiedziałem. Dzień naprawdę był ładny.

Oddałem ster Murzynowi; kazałem mu płynąć na wschód, po krawędzi prądu, a sam poszedłem na rufę, gdzie Johnson siedział w fotelu pokładowym i obserwował przynętę podskakującą na fali.

– Chce pan, żebym zarzucił drugą wędkę? – spytałem.

– Nie... chyba nie. Chcę sam wziąć rybę na hak i złowić.

– W porządku. A może Eddy zarzuci wędkę i poda panu, jak ryba dotknie przynęty, żeby pan sam mógł wziąć ją na hak?

– Nie. Wolę łowić na jedną wędkę.

– Zgoda – powiedziałem.

Murzyn wciąż prowadził kuter na otwarte morze; ano tak, zobaczył, że prosto przed nami, już nad samym prądem, ławiczka latających ryb wypryskuje z wody. Obejrzałem się i zobaczyłem Hawanę, naprawdę piękną w słońcu, i statek, który dopiero co wypłynął z portu i mijał Morro.

– Wygląda na to, że będzie pan miał dzisiaj ręce pełne roboty – powiedziałem do Johnsona.

– Najwyższy czas. Od jak dawna pływamy?

– Równy trzy tygodnie.

– Jak na łowienie ryb, to trochę przydługo.

– A bo to dziwne ryby – powiedziałem. – Nie ma ich, dopóki nie przyjdą. Ale jak przyjdą, jest ich kupa. Zawsze tu przychodzą. Jak nie przyjdą dzisiaj, nigdy nie przyjdą. Księżyc jest akurat taki, jak powinien. Prąd mamy dobry i wiatr będzie jak należy.

– Zaraz po naszym przyjeździe zdarzały się mniejsze sztuki.

– Owszem – powiedziałem. – Mówiłem panu, że tak będzie. Te mniejsze sztuki znikają, zanim przyjdą duże.

– Wszyscy szyprowie wynajmujący kutry mówią to samo. Znam tę śpiewkę. Albo jest za wcześnie, albo wiatr nie jest dobry, albo księżyc jest w złej fazie. Ale pieniądze bierzecie.

– Widzi pan – powiedziałem – cała rzecz polega na tym, że przeważnie jest albo za wcześnie, albo za późno, a wiatr najczęściej jest zły. A jak przyjdzie wreszcie dzień w sam raz dobry do połowu, człowiek siedzi na łodzi bez klientów.

– Ale pan uważa, że dzisiejszy dzień jest dobry? – spytał.

– Hm, ja tam jak na swoje potrzeby miałem dzisiaj dosyć ruchu. Ale zakład, że pan się jeszcze zdrowo nameczy.

– Miejmy nadzieję.

Płynęliśmy teraz równo, ciągnąc za sobą linkę. Eddy poszedł na dziób i zasnął. Stałem i pilnowałem, czy nie zobaczę gdzieś sterczącego nad wodą ogona. Murzyn zasypiał od czasu do czasu nad sterem i jego też pilnowałem. Głowę dam, że co noc się łądaczyl.

– Kapitanie, mógłby mi pan podać butelkę piwa? – spytał Johnson.

– Chętnie – powiedziałem wsadzając rękę w lód, żeby wyjąć dobrze zamrożoną.

– A może pan się napije? – spytał.

– Dziękuję, poczekam do wieczora.

Otworzyłem butelkę i kiedy mu ją podawałem, zobaczyłem tego wielkiego brązowego bydlaka, z mieczem dłuższym niż moje ramię; wyprysnął głową i grzbietem nad wodę i skoczył do makreli. Był gruby w sobie jak kłoda drzewa.

– Niech mu pan popuści linki! – wrzasnąłem.

– Nie wziął – odparł Johnson.

– To niech pan uważa.

Wyplłynął z dużej głębokości i chybił. Wiedziałem, że wróci i jeszcze raz spróbuje.

– Niech pan będzie gotowy i popuści mu linki, jak tylko chwyci – powiedziałem.

Potem zobaczyłem go, zawrócił i sunął pod wodą. Widać było wyraźnie płetwy piersiowe rozpostarte jak fioletowe skrzydła i fioletowe pasy na brązowych bokach. Szedł prosto na nas, jak łódź podwodna, płetwą grzbietową tnąc wodę. Podplłynął od tyłu do przynęty, a wtedy wynurzył się też z wody jego miecz, cały jakby rozdygotany.

– Niech mu dobrze wejdzie do pyska – powiedziałem. Johnson odjął rękę od kołowrotka i szpula zaczęła się obracać ze zgrzytem, a marlin zawrócił i poszedł w głąb; zobaczyłem go w całej jego długości, lśniącego srebrzyście, kiedy obrócił się bokiem i śmignął w kierunku brzegu.

– Niech pan zaciśnie trochę hamulec – powiedziałem. – Ale nie za bardzo.

Johnson przykręcił hamulec.

– Ale nie za bardzo – powtórzyłem. Zobaczyłem, że zmienia się ukośnie położenie linki w wodzie. – Teraz trzeba mocno docisnąć hamulec i szarpnąć linkę. Musi mu pan dobrze wbić hak. I tak zaraz zacznie się rzucać.

Johnson docisnął hamulec i wziął do ręki wędzisko.

– Szarp pan – przykazałem. – Niech mu się hak dobrze wbije. Trzeba szarpnąć kilka razy.

Pociągnął dość mocno jeszcze ze dwa razy i zaraz potem wędka złożyła się prawie we dwoje, bębenek zazgrzytał i marlin wzbil się nad wodę w długim, prostym susie, załśnił w słońcu cały srebrzysty i runął w wodę z ciężkim pluskiem, jakby ktoś konia zrzucił z

nabrzeżnej skały.

– Puść pan linki! – zawołałem.

– Poszedł! – odkrzyknął Johnson.

– Głupie gadanie – powiedziałem. – Niech pan prędko zwolni hamulec.

Widziałem, jak linka zmienia położenie, i kiedy marlin wyskoczył następnym razem, był po stronie rufy i płynął na otwarte morze. Potem znowu wyskoczył i spadając wybił w górę bryzgi białej piany; zobaczyłem, że hak utkwiał mu bokiem w pysku. Wyraźnie było widać opasujące go pręgi. Piękna ryba, jasnosrebrna teraz, poznaczona fioletem i taka gruba jak pień drzewa.

– Poszedł – powiedział Johnson. Linka zwisała teraz luźno.

– Niech pan wybiera linkę – zwróciłem się do niego. – Hak dobrze siedzi. Pełny gaz i naprzód! – zawołałem do Murzyna.

Potem marlin kilka razy wypływał sztywny jak kłoda, skakał prosto na nas całym swoim cielskiem i jak spadał, za każdym razem wybijał wodę wysoko w powietrze. Linka naprężyła się i widziałem, że marlin znowu odpływa w kierunku lądu, a potem zaraz zawraca.

– Teraz będzie uciekał – powiedziałem. – Jeżeli zacznie uciekać, pogonimy za nim. Trzeba rozluźnić hamulec. Linki mamy dosyć.

Marlin popłynął na północo-zachód, jak wszystkie duże ryby, i... Chryste, ależ on ciągnął! Wzbijał się nad powierzchnię morza w długich susach i spadając rozcinał wodę jak łódź wyścigowa. Płynęliśmy za nim utrzymując linkę od strony burty. Siedziałem przy sterze i pokrzykiwałem na Johnsona, żeby zluźnił hamulec i prędko rozwijał linkę. Aż tu nagle wędka szarpnęła mu się w rękę i zaraz linka zwisała luźno. Jakby ktoś tego nie wiedział, wcale by nie zauważył, że linka zwisała luźno, bo woda stawiała jej opór na całej długości. Ale ja wiedziałem.

– Poszedł! – zawołałem do Johnsona. Marlin oddalał się wciąż od nas w długich susach, skakał tak, dopóki nie zniknął nam z oczu. Nie ma co, wspaniała ryba.

– Kiedy ją ciągle czuję, jak ciągnie – upierał się Johnson.

– Czuje pan ciężar linki.

– Ledwie ją nawijam. Może on już zdechł?

– Spójrz pan tam – powiedziałem. – Widzi pan, jak skacze? – Marlin był teraz z pół mili przed nami, wciąż wzbijał bryzgi wody w powietrze.

Sprawdziłem hamulec. Johnson docisnął go do samego końca. Nie dałoby się wyciągnąć ani cała linki. Nic dziwnego, że pękła.

– Nie mówiłem, żeby zluźnić hamulec?

– Kiedy ryba ciągle wybierała linkę.

– To co?

– To zwiększyłem opór.

– Niech pan posłucha – powiedziałem. – Jeżeli nie pozwoli im się wybierać linki, kiedy zaczynają uciekać na otwarte morze, zrywają ją, i już. Takiej ryby nie utrzyma żadna linka. Jak marlin chce więcej linki, trzeba mu ją dać. Uciekającego marlina nie utrzymają nawet rybacy używający podczas połowów linki harpunowej. Jest tylko jeden sposób: ścigać go kutrem, żeby nie wybrał całej linki. Jak przestaje uciekać, idzie zawsze w głąb, a wtedy można zacisnąć hamulec i odebrać mu linkę.

– Więc gdyby się linka nie zerwała, schwytałbym go?

– Miałby pan szansę.

– Przecież nie dałby rady długo tak uciekać?

– Marliny potrafią robić różne inne rzeczy. Dopiero jak przestają uciekać, zaczyna się prawdziwa walka.

– No to złapmy drugiego.

– Musi pan wpierw nawinąć linkę.

Wzięliśmy tę rybę na hak i straciliśmy ją, a Eddy się nie obudził. Teraz przyszedł na rufę.

– Co się stało? – spytał.

Dawniej Eddy był dobry na morzu, póki się nie rozpił, ale teraz jest do niczego. Przyjrzałem mu się, kiedy tak stał przede mną, wysoki, z zapadniętymi policzkami, z włosami całkiem spłowiałymi od słońca; usta miał jakieś obwisłe i taką białą mazię w kącikach oczu. Wiedziałem, że się obudził spragniony jak wyschła studnia.

– Napij się piwa – powiedziałem mu. Wziął butelkę ze skrzynki i wypił.

– Wie pan – zagadał do Johnsona – pójdę chyba i zdrzemnę się jeszcze. Bóg zapłać za piwo. – Niech go, tego Eddy'ego. Nic go nie obchodziło, że ryba poszła.

Około południa wzięliśmy drugą na hak, ale się zerwała. Szarpnęła i hak przeleciał ze trzydzieści stóp nad wodą.

– Czy teraz znowu zrobiłem coś złego? – spytał Johnson.

– Nie. Ryba wyrzuciła hak.

– Panie Johnson – powiedział Eddy, który się obudził, żeby wypić drugą butelkę piwa.

– Panie Johnson, pan ma pecha. Może za to ma pan szczęście do kobiet. Co by pan tak powiedział, żebyśmy się dzisiaj gdzieś wypuścili? – Potem poszedł i znowu się położył.

Koło czwartej, kiedy mając słońce za plecami wracaliśmy pod prąd, w tym miejscu

bliski brzegów i rwący ostro jak młynówka, największy czarny marlin, jakiego widziałem w życiu, wziął przynętę Johnsona. Na piórkową przynętę złapaliśmy cztery małe tuńczyki i Murzyn założył jednego na swój hak. Sunął po wodzie ciężko, ale z głośnym pluskiem.

Johnson odczepił kołowrotek od pasków i położył wędkę na kolanach, bo od trzymania wędki we właściwej pozycji rozboleły go ramiona. A że od przytrzymywania zastawki hamulca przy bębenu linki z tak ciężką przynętą ścierpły mu ręce, kiedy ja nie patrzałem, docisnął hamulec. Nie miałem pojęcia, że to zrobił. Złościło mnie, że trzyma w ten sposób wędkę, ale nie chciałem tak się go ciągle czepiać. Przy nie zaciśniętym hamulcu linka odwijają się swobodnie, więc nie było żadnego niebezpieczeństwa. Swoją drogą uważałem, że to jest dziadowski sposób łowienia ryb.

Trzymałem ster i prowadziłem kuter samym skrajem prądu, tam, gdzie naprzeciwko brzegu i gdzie robi się jakby wir, w którym zawsze pełno jest młodzizny. Nagle woda chlusnęła w górę jak od bomby głębinowej i zobaczyłem miecz, oko, rozdziawiony pysk, dolną szczękę i wielki czarnofioletowy łeb czarnego marlina. Wynurzył z wody całą płetwę grzbietową, przez co wyglądał jak łódź z podniesionymi wysoko żaglami, a jak się rzucił na tuńczyka, to pokazał jeszcze cały ogon, ostry niby kosa. Miecz miał gruby jak kij do baseballu i sterczący ukośnie do góry, a kiedy skoczył na przynętę, rozplątał ocean na dwoje. Był cały fioletowoczarny i oko miał wielkie jak waza na zupe. Ogromna ryba. Głowę dam, że ważyła z tysiąc funtów.

Chciałem wrzasnąć na Johnsona, żeby popuścił marlinowi linki, ale zanim zdążyłem powiedzieć słowo, zobaczyłem, że Johnson zawisa w powietrzu nad fotelem, jakby go dźwig podniósł do góry, i przez sekundę trzyma się wędziska, wygiętego teraz jak łuk; potem koniec wędziska trzasnął go w żołądek i całe urządzenie poszło za burtę.

Johnson docisnął hamulec bębenu do samego końca i kiedy ryba wzięła, szarpnięcie wyrzuciło go z fotela i nie mógł utrzymać wędki. Siedział przytrzymując koniec wędziska nogą, samą wędkę miał na kolanach. Gdyby nie odczepił pasków, poleciałby razem z wędką za burtę.

Zgasiłem motor i poszedłem na rufę. Siedział i trzymał się za to miejsce na brzuchu, w które go uderzył koniec wędziska.

– Na dzisiaj chyba dosyć – powiedziałem.

– Co to było? – spytał.

– Czarny marlin.

– Jak się to stało?

– Wiesz pan, coś pan zrobił? – spytałem. – Kołowrotek kosztował dwieście

pięćdziesiąt dolarów. Teraz kosztuje więcej. Za wędkę zapłaciłem czterdzieści pięć. Było prawie sześćset jardów linki, plecionka nr 36.

Akurat wtedy Eddy klepnął go w plecy. – Masz pan pecha, panie Johnson – powiedział. – Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem.

– Zamknij twarz, ty pijusie – powiedziałem.

– Mówię panu – upierał się Eddy – że jak długo żyję, czegoś takiego nie widziałem.

– Co ja bym zrobił z taką wielką rybą na haku? – spytał Johnson.

– Złowiłbyś ją pan bez niczyjej pomocy. Przecież tegoś pan chciał – powiedziałem.

Byłem piekielnie zły.

– Te marliny są za duże – mruknął Johnson. – Dostałoby mi się za swoje.

– Posłuchaj pan – tłumaczyłem. – Taka ryba by pana zabiła.

– Są tacy, co je łapia.

– Ludzie, którzy potrafią łowić ryby. Ale to nie znaczy, że im się czasem nie dostaje za swoje.

– Widziałem fotografię dziewczyny, która sama złowiła marlina.

– A jakże. Z zakotwiczonej łodzi. Połknął przynętę, to mu wyszarpnęli wnętrzności, a wtedy wypłynął na powierzchnię i zdechł. Ja mówię o łowieniu na ruchomą linkę, za łodzią, kiedy hak tkwi w pysku ryby.

– Tak czy inaczej są za duże – upierał się Johnson. – A po co robić coś, co nie sprawia człowiekowi przyjemności?

– Słusznie, panie Johnson – wtrącił Eddy. – Po co robić coś, co nie sprawia człowiekowi przyjemności? Trafieś pan w sedno. Po co robić coś, co nie sprawia człowiekowi przyjemności?

Wciąż byłem przejęty widokiem tej wspaniałej ryby i martwiła mnie cholernie strata sprzętu, więc nie mogłem słuchać ich gadania. Powiedziałem Murzynowi, żeby wziął kurs na Morro. Nie odzywałem się do nich; Eddy siedział w jednym fotelu pokładowym z butelką piwa, Johnson w drugim, też z butelką piwa w ręku.

– Kapitanie, nie zrobiłby mi pan czegoś mocniejszego do wypicia? – spytał po chwili Johnson.

Zrobiłem mu whisky z lodem, ale nie odezwałem się do niego, a potem sam wypilem solidny łyk. Myślałem sobie, jak to jest, że taki Johnson łowi przez piętnaście dni, w końcu bierze na hak rybę, za którą prawdziwy rybak dałby rok życia, traci ją, traci mój najlepszy sprzęt, robi z siebie durnia, a potem siedzi zadowolony i jakby nigdy nic ciągnie z nałogowym pijusem.

Kiedy przybiliśmy do mola i Murzyn stał i czekał, spytałem: – Jak jutro?

– Chyba nie – odparł Johnson. – Bokiem mi już wyłazi to całe łowienie.

– Zapłaci pan Murzynowi?

– Ile mu się należy?

– Jeden dolar. Jak pan chce, może mu pan dodać na piwo.

Johnson dał Murzynowi dolara i dwie kubańskie dwudziestopięciocentówki.

– Na co to? – spytał Murzyn pokazując mi monety.

– Napiwek – powiedziałem po hiszpańsku. – Zwolnił cię. Pieniądze dla ciebie.

– Jutro nie przychodzić?

– Nie.

Murzyn wziął swój kłębek szpagatu do wiązania przynęty, włożył okulary przeciwsłoneczne i słomkowy kapelusz i odszedł bez słowa. Ten Murzyn nie miał o żadnym z nas dobrego wyobrażenia.

– Kiedy się rozliczymy? – zagadnąłem Johnsona.

– Pójdę rano do banku – powiedział. – Możemy się rozliczyć po południu.

– Pan wie, ile było dni?

– Piętnaście.

– Nie. Z dzisiejszym szesnaście. Jeden dzień w tę stronę, drugi z powrotem, razem osiemnaście. A poza tym wędka, kołowrotek i linka.

– Sprzęt jest na pańskie ryzyko.

– Nie, proszę pana. Nie wtedy, kiedy się go traci w taki sposób.

– Zapłaciłem za wynajęcie kutra. Sprzęt był na pańskie ryzyko.

– Nie, nieprawda – powiedziałem. – Gdyby ryba zerwała linkę bez pana winy, wtedy co innego. Pan zmarnował sprzęt przez własną nieuwagę.

– Ryba wyszarpnęła mi wędzisko z ręki.

– Bo pan docisnął hamulec i nie osadził wędziska w łożysku.

– Nie może pan ode mnie wymagać, żebym za to płacił.

– A jakby pan tak wynajął samochód i zrzucił go ze skały? Wtedy też nie musiałby pan płacić, co?

– Jakbym był w środku, na pewno bym nie musiał.

– A to się panu udało! – zawołał Eddy. – Rozumiesz, szefie? Jakby pan Johnson był w środku, toby się zabił. I nie musiałby płacić. Dobrze powiedziane!

Nie zwróciłem uwagi na tego pijusa.

– Jest mi pan winien dwieście dziewięćdziesiąt pięć dolarów za wędkę, linkę i bębenek

– powiedziałem.

– To nie jest w porządku – upierał się Johnson. – Ale jak pan uważa, że jest, może podzielimy stratę na pół?

– Żeby odkupić taki sprzęt, będę musiał wydać najmniej trzysta sześćdziesiąt dolarów. Za linkę nic panu nie liczę. Ryba była duża, więc mogła sama zerwać linkę, bez niczyjej winy. Gdyby zamiast tego pijusa był tu z nami ktoś inny, przyświadczyłby, że postępuję z panem uczciwie. Pan uważa, że to jest kupa pieniędzy, ale dla mnie też była kupa pieniędzy, kiedy kupowałem ten sprzęt. Do takich połowów trzeba używać najlepszego sprzętu, jaki można kupić.

– Panie Johnson, on powiada, że ja jestem pijus. Może i jestem. Ale mówię panu, że on ma rację. Ma rację i nie żąda za dużo – wtrącił Eddy.

– Nie chcę robić trudności – powiedział w końcu Johnson. – Zapłacę, chociaż nie widzę powodu. Należy się panu za osiemnaście dni po trzydzieści pięć dolarów i dwieście dziewięćdziesiąt pięć dolarów ekstra.

– Dostałem sto dolarów à conto. Dam panu spis wszystkich wydatków i odliczę prowianty, które zostaną z tego zapasu, co go pan kupił na drogę tam i z powrotem.

– To bardzo przyzwoicie – przyznał Johnson.

– Coś panu powiem – wtrącił Eddy. – Gdyby pan wiedział, jak inni rybacy zdzierają z obcych skórę, zaraz by pan zrozumiał, że to jest więcej niż przyzwoicie. Powiedzieć panu, co to jest? To jest wyjątkowo przyzwoicie. Kapitan tak się zachowuje, jakbyś pan był jego rodzoną matką.

– Wstąpię jutro do banku i po południu przyjdę tu do pana. Zamówię miejsce na statku na pojutrze.

– Możesz pan wrócić z nami. Po co wydawać na bilet?

– Nie. Statkiem będzie prędeej.

– Pana sprawa – powiedziałem. – Napijemy się?

– Dobra myśl! – zawołał Johnson. – To znaczy, że zgoda między nami?

– Ano, zgoda. – Siedzieliśmy we trzech na rufie, popijając whisky z lodem.

Następnego dnia przez całe rano oporządzałem kuter; trzeba było zmienić oliwę w zbiorniku i sprawdzić kilka rzeczy. W południe poszedłem do miasta, do chińskiej jadłodajni, gdzie za czterdzieści centów dają przyzwoity obiad, a potem kupiłem kilka drobiazgów dla żony i trzech córek. Wiecie – jakieś perfumy, dwa wachlarze i trzy takie wysokie grzebienie. Potem wpadłem do Donovana, wypłem piwo i pogadałem chwilę ze starym, a w końcu piechotą poszedłem na przystań San Francisco, wstępując jeszcze po drodze do kilku barów

na piwo. U Cunarda postawiłem Frankie'emu dwie kolejki i potem w doskonałym humorze wróciłem na pokład. Jak wchodziłem na pokład, miałem w majątku czterdzieści centów. Frankie przyszedł ze mną i kiedyśmy tak siedzieli i czekali na Johnsona, wypiliśmy jeszcze dwie butelki zimnego piwa z lodu.

Eddy nie pokazał się przez całą noc i cały dzień, ale wiedziałem, że przyjdzie, jak tylko skończy mu się kredyt. Donovan powiedział mi, że Eddy był u niego wczoraj wieczorem z Johnsonem, pili na kredyt na rachunek Eddy'ego. Czekaliśmy i zacząłem się już dziwić, że Johnson nie przychodzi. Zanim poszedłem do miasta, powiedziałem na przystani, żeby mu w razie czego kazali poczekać na pokładzie, ale wcale nie przyszedł. Pomyślałem, że może zabałaganiał się późno w noc i wstał dopiero koło południa. Banki są otwarte do wpół do czwartej. Widzieliśmy samolot odlatujący na Florydę, a gdzieś koło wpół do szóstej skończył się już mój dobry humor i zacząłem się cholernie niepokoić.

O szóstej powiedziałem Frankie'emu, żeby poszedł i zobaczył, czy Johnson jest w hotelu. Ciągle sobie wyobrażałem, że może się gdzieś zapił albo czuje się źle po wczorajszej nocy i leży w łóżku. Czekałem i czekałem, aż w końcu zrobiło się późno. Coraz bardziej się denerwowałem, bo Johnson był mi winien osiemset dwadzieścia pięć dolarów.

Frankie'ego nie było może z pół godziny. Wreszcie go zobaczyłem, szedł bardzo szybko i potrząsał głową.

– Odleciał tym samolotem – powiedział.

No, tak. Ładna historia. Konsulat był już zamknięty. Miałem w kieszeni wszystkiego czterdzieści centów, zresztą do tego czasu samolot wylądował w Miami. Nie mogłem nawet wysłać depeszy. No, tak – niech go, tego Johnsona. Ale sam byłem sobie winien. Trzeba było mieć więcej oleju w głowie.

– Swoją drogą piwa możemy się napić – powiedziałem do Frankie'ego. – Kupione za pieniądze pana Johnsona. – Zostały jeszcze trzy butelki.

Frankie był tym przejęty chyba nie mniej ode mnie. Nie wiem, jak to możliwe, ale sprawiał takie wrażenie. Wciąż mnie tylko klepał po plecach i potrząsał głową.

No, tak. Byłem zupełnie goły. Straciłem pięćset trzydzieści dolarów za wynajęcie kutra, a na dodatek sprzęt, którego nie odkupię nawet za trzysta sześćdziesiąt dolarów. Zaraz sobie pomyślałem, jaką frajdę będą mieli niektórzy z tych facetów pętających się całe dni w porcie. Tak, jak się to rozejdzie, niektórzy Conchowie będą zacierali ręce z radości. A jeszcze wczoraj nie chciałem wziąć trzech tysięcy dolarów za przewiezienie i wysadzenie na Keys trzech cudzoziemców. Wszystko jedno gdzie, byleby ich tylko wywieźć z Kuby.

No, dobrze, ale co ja teraz zrobię? O przewiezieniu ładunku wódki szkoda mówić, bo

po pierwsze, trzeba na to pieniędzy, a po drugie, już się nie opłaca. Miasto jest zalane wódką i nikt jej nie kupuje. Ale niech mnie diabli, jeżeli wrócę do domu goły, żeby przez całe lato zdychać z głodu w tej przeklętej dziurze. Zresztą mam rodzinę. Opłaty portowe wniosłem zaraz po wejściu do portu. Taki jest zwyczaj, że płaci się agentowi z góry, a on załatwia wszystkie formalności wejściowe i wyjściowe. Chryste, nie mam nawet za co kupić benzyny do baku. Nie ma co, paskudna sytuacja. Niech go, tego Johnsona.

– Frankie, muszę wziąć jakiś ładunek – powiedziałem. – Muszę zarobić.

– Zobaczą, co i jak – odparł Frankie. Frankie kręci się w porcie, bierze różne roboty, jakie mu się nadarzą, jest mocno przygluchy i pije za dużo co wieczór. Ale trudno o wierniejszego przyjaciela czy faceta o lepszym sercu. Znam go od lat, odkąd zacząłem przeprowiać się na Kubę. Dziesiątki razy pomagał mi ładować worki z wódką. Potem, kiedy przestałem wozić towar i wziąłem się do wynajmowania kutra turystom, i łowiłem z nimi marliny u brzegów Kuby, spotykaliśmy się często w kawiarni albo na molo. Frankie wygląda głupkowato i częściej się uśmiecha, niż mówi, ale to dlatego, że jest głuchy.

– Weźmiesz każdy ładunek? – spytał Frankie.

– Tak – powiedziałem. – Nie mogę grymasić.

– Każdy, bez różnicy?

– Tak.

– Zobaczą, co się da zrobić – powiedział Frankie. – Gdzie będziesz?

– Pójdę do „Perły”. Muszę coś zjeść.

W „Perle” można zjeść przyzwoicie za dwadzieścia pięć centów. Wszystkie dania w karcie kosztują dziesięć centów, oprócz zupy, która kosztuje pięć. Aż do „Perły” szedłem razem z Frankie’em; potem ja wszedłem do środka, a on ruszył dalej. Ale najpierw uściskał mi rękę i znowu poklepał mnie po plecach.

– Nie martw się, Harry – powiedział. – Ja, Frankie. Dużo polityki. Dużo interesów. Dużo picia. Ani centa w kieszeni. Ale dobry przyjaciel. Nie martw się.

– Bywaj, Frankie – odparłem. – Ty się też nie martw, stary.

ROZDZIAŁ II

Wszedłem i usiadłem przy stoliku. Wstawili nową szybę na miejsce tej strzaskanej kula, gablotka z wódkami też była w porządku. Kilku *gallegos* piło przy barze, inni jedli. Przy jednym stoliku grali już w domino. Zjadłem zupę z czarnej fasoli i pieczeń wołową z kartoflami, za piętnaście centów. Razem z butelką piwa rachunek wyniósł ćwierć dolara. Chciałem porozmawiać z kelnerem o strzelaninie, ale nie mogłem wydusić z niego ani słowa. Cholernie się wszyscy bali.

Skończyłem jeść, usiadłem sobie wygodnie, zapaliłem papierosa i zacząłem się martwić od nowa. Nagle patrzę, a tu wchodzi Frankie i jeszcze ktoś za nim. „Żółty towar – pomyślałem. – Więc mam teraz wozić żółty towar.”

– To jest pan Sing – mówi Frankie i uśmiecha się. Nadzwyczajnie się uwinął i wiedział o tym.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedział pan Sing.

Chyba nigdy nie widziałem faceta tak gładkiego jak ten pan Sing. Pewnie, że był Chińczykiem, ale mówił jak Anglik i miał na sobie białe ubranie, jedwabną koszulę i panamę, z tych po sto dwadzieścia pięć dolarów sztuka.

– Napije się pan kawy? – spytał Sing.

– Jeżeli pan będzie pił.

– Bardzo pan uprzejmy – powiedział. – Jesteśmy tu zupełnie sami?

– Owszem, jeżeli nie brać pod uwagę wszystkich tych ludzi w kawiarni.

– Och, to nie ma znaczenia – powiedział. – Pan ma kuter?

– Trzydzieści osiem stóp. Silnik Kermath, sto koni.

– Ach – westchnął Sing. – Myślałem, że jest większy.

– Zabiera lekko dwieście sześćdziesiąt pięć skrzyń.

– Zgodziłby się pan go wynająć?

– Zależy, na jakich warunkach.

– Pan nie musiałby być na pokładzie. Postarałbym się o szypra i załogę.

– Nie – odparłem. – Mój kuter nie wychodzi na morze beze mnie.

– Rozumiem – powiedział Sing. – Czy zechciałby nas pan zostawić samych? – spytał Frankie’ego. Frankie uśmiechnął się tylko, chyba nigdy nie miał takiej zaciekawionej miny.

– Jest głuchy – wyjaśniłem. – Niewiele rozumie po angielsku.

– Ach, tak – powiedział Sing. – Pan zna hiszpański. Niech mu pan powie, żeby nas zostawił na chwilę samych.

Dałem Frankie'emu znak ręką. Wstał i podszedł do bufetu.

– Pan nie mówi po hiszpańsku? – spytałem.

– O, tak – odparł Sing. – Niech mi pan powie... Jakie okoliczności sprawiły, że byłby pan skłonny... że jest pan skłonny przyjąć moją...

– Spłukałem się do suchej nitki.

– Rozumiem. Czy kuter jest obciążony długami? Czy może być zarekwirowany?

– Nie.

– Znakomicie – ucieszył się Sing. – Ilu moich nieszczęśliwych rodaków mógłby pan przyjąć na pokład?

– To znaczy... przewieźć?

– Właśnie to miałem na myśli.

– Jak daleko?

– Dzień drogi.

– Czy ja wiem – powiedziałem. – Dwunastu, jeżeli nie będą mieli bagaży.

– Nie będą mieli żadnych bagaży.

– Dokąd pan chce ich zawieźć?

– Pozostawiłbym to pańskiej decyzji.

– Wybór miejsca, gdzie miałbym ich wysadzić na ląd?

– Zaokrętowałby ich pan na przejazd na wyspę Tortugas, skąd szkuner zabrałby ich w dalszą drogę.

– Proszę pana – powiedziałem. – W Loggerhead Key na Tortugas jest latarnia morska ze stacją nadawczo-odbiorczą.

– Słusznie – przyznał Sing. – Byłoby szczytem głupoty wysadzić ich na Tortugas.

– Jak to?

– Powiedziałem, że pan ich zaokrętuje na przejazd do tego miejsca. Ich bilety opiewają na tę trasę.

– Aha.

– Wysadzi ich pan tam, gdzie pan uzna za stosowne.

– A czy ten szkuner zabierze ich z Tortugas? – spytałem.

– Ależ skąd! – zachnął się Sing. – Co za pomysł!

– Ile od sztuki? – spytałem.

– Pięćdziesiąt dolarów.

- Nie.
- Co by pan powiedział na siedemdziesiąt pięć?
- A ile pan zarabia na sztuce?
- To nie ma nic do rzeczy. Widzi pan, sprawa wystawiania przeze mnie biletów na przejazd ma dużo rozmaitych aspektów, czy są to może raczej... elementy uboczne. Nie kończy się na tym.
- Rozumiem – powiedziałem. – A to, czego pan po mnie oczekuje, też nie musi być dodatkowo opłacone, co?
- Doskonale rozumiem pana stanowisko – przyznał Sing. – Co pan myśli o stu dolarach od sztuki?
- Chwileczkę. Wie pan, ile lat bym dostał, gdyby mnie na tym złapali?
- Dziesięć – powiedział Sing. – Najmniej dziesięć lat. Ale, kochany kapitanie, po co zaraz mówić o więzieniu? Ryzykuje pan tylko jeden niebezpieczny moment: przy braniu ich na pokład. Reszta zależy od pana rozwagi.
- A jeżeli wrócą?
- Nic prostszego. Powiem im, że mnie pan oszukał. Zwrócę im część kosztów i po jakimś czasie znowu ich wyślę. Naturalnie oni zdają sobie sprawę, że podróż nie jest łatwa.
- A co ze mną?
- Przypuszczam, że czułbym się zmuszony zawiadomić konsulat.
- Rozumiem.
- W dzisiejszych czasach, kapitanie, tysiąc dwieście dolarów nie jest sumą do pogardzenia.
- Kiedy dostałbym pieniądze?
- Dwieście dolarów zaraz, reszta po załadunku.
- A jakbym się tak ulotnił z tymi dwiema setkami?
- Cóż, byłbym naturalnie bezsilny – powiedział Sing z uśmiechem. – Ale wiem, że pan tego nie zrobi.
- Ma pan przy sobie te dwieście dolarów?
- Oczywiście.
- To wsuń je pan pod talerz. – Usłuchał.
- W porządku – powiedziałem. – Rano załatwię formalności, a pod wieczór wyjdę z portu. Jeszcze jedno, gdzie ładujemy?
- Może na Bacuranao? Jak pan myśli?
- Dobrze. Wszystko jest przygotowane?

– Naturalnie.

– Teraz co do tego załadunku – powiedziałem. – Pan wywiesi dwa światła, jedno nad drugim, na samym cyplu. Podejdę do brzegu, jak je zobaczę. Weźmie pan łódź, załaduję prosto z łodzi. Pan stawi się osobiście i przyniesie pieniądze. Nie wpuszczę nikogo na pokład, dopóki nie dostanę pieniędzy.

– Nie – przerwał. – Dostanie pan połowę przed rozpoczęciem załadunku, reszta, jak pan skończy.

– Zgoda. Słusznie.

– A więc uzgodniliśmy już wszystko?

– Chyba tak – powiedziałem. – Nie wezmę na pokład bagażu ani broni. Żadnych pistoletów, noży czy brzytw. Nic. Sam sprawdzę.

– Kapitanie – obruszył się Sing – czy pan mi nie ufa? Czy pan nie widzi, jak zbieżne są nasze interesy?

– Pan tego przypilnuje? – spytałem.

– Ach, pan mnie zawstydz. Czy pan naprawdę nie widzi zbieżności naszych interesów?

– W porządku – powiedziałem. – O której tam będziecie?

– Przed samą północą – odparł.

– Dobrze – powiedziałem. – To byłoby chyba wszystko.

– W jakich banknotach mam panu zapłacić?

– Mogą być setki.

Wstał, a ja patrzyłem na niego, jak szedł do drzwi. Frankie uśmiechnął się, kiedy Sing go mijał. Sing nawet nie spojrział na Frankie'ego. Mówię wam, gładka była z niego sztuka. Niech go, tego Chińczyka.

Frankie zbliżył się do mnie.

– No? – spytał.

– Gdzie poznałeś Singa?

– Przewozi Chińczyków – wyjaśnił. – Grube interesy.

– Od jak dawna go znasz?

– Jest dwa lata – odparł Frankie. – Przedtem inny Chińczyk wysyłał Chińczyków. Ktoś zabił tamtego innego Chińczyka.

– Singa też ktoś zabije.

– Aha – powiedział Frankie. – Dlaczego nie. Dużo grubych interesów.

– Cholera nie interesy – mruknąłem.

– Grube interesy. Wysyła Chińczyków, Chińczycy nie wracają. Inni Chińczycy piszą listy, wszystko dobrze.

– Cudownie – powiedziałem.

– Tacy Chińczycy nie umią pisać. Chińczycy umią pisać sami bogaci. Nic nie jedzą. Sam ryż. Sto tysięcy Chińczyków tutaj. Tylko trzy Chinki.

– Dlaczego?

– Rząd nie da.

– Paskudna sytuacja.

– Robisz z nim interesy?

– Może.

– Dobre interesy – zauważył Frankie. – Lepsze jak polityka. Dużo pieniędzy. Dużo grubych interesów.

– Napij się piwa – zaproponowałem.

– Nie martwisz się już?

– Cholera, nie – powiedziałem. – Dużo grubych interesów. Szczerze zobowiązany.

– To dobrze – ucieszył się i poklepał mnie po plecach. – Frankie zadowolony jak diabli. Jak ty szczęśliwy, Frankie więcej nie chce. Chińczycy dobry interes, co?

– Bajeczny.

– Frankie zadowolony – powtórzył. Jeszcze chwila, a rozplakałby się z radości, że tak się wszystko dobrze ułożyło, więc klepnałem go parę razy po plecach. Niech go, tego Frankie'ego.

Na drugi dzień wcześniej rano odszukałem agenta i kazałem mu przygotować papiery na wyjście z portu. Zażądał listy załogi, więc mu powiedziałem, że nikogo nie biorę.

– Jak to, kapitanie? Sam będziesz się pan przeprawiał na drugą stronę?

– Ano, właśnie.

– Co z pana pomocnikiem?

– Zebrało mu się na picie – powiadam.

– Pan wie, że samemu niebezpiecznie płynąć.

– Przecież to jest wszystkiego dziewięćdziesiąt mil – mówię mu. – Pan myśli, że to taka różnica, jak się ma na pokładzie nałogowego pijaka?

Wprowadziłem kuter do basenu Standard Oil, po drugiej stronie portu, i napełniłem oba baki. Razem było tego prawie dwieście galonów. Diabli mnie brali, że muszę płacić po dwadzieścia osiem centów za galon, ale nie wiedziałem, dokąd mi jeszcze wypadnie płynąć.

Od kiedy spotkałem tego Chińczyka i wziąłem pieniądze, gryzłem się bez ustanku tą

sprawą. W nocy nie zmrużyłem oka. Podprowadzam kuter do molo San Francisco, a tam czeka już na mnie Eddy.

– Cześć, Harry! – mówi i macha ręką. Rzuciłem mu cumę rufową, przywiązał i wszedł na pokład; był jeszcze chudszy, jeszcze jakiś mętniejszy i bardziej spity. Nie odezwałem się do niego słowem.

– I co ty na to, Harry, że ten Johnson zwiął? – pyta. – Wiesz coś bliższego?

– Zjeżdżaj stąd – powiedziałem. – Rzygać się chce na twój widok.

– Myślisz, bracie, że ja się tym nie przejmuję?

– Złaż z pokładu.

Rozsiadł się tylko wygodniej i wyciągnął przed siebie te swoje długie nogi. – Słyszałem, że dzisiaj powrót. Pewnie nic tu już więcej nie zdziałamy.

– Ty nie jedziesz.

– O co chodzi, Harry? Dlaczego się tak na mnie ciskasz?

– Dlaczego? Zjeżdżaj stąd!

– Dałbyś spokój, chłopie.

Uderzyłem go w twarz; wstał i wdrapał się na molo.

– Ja bym ci, Harry, nigdy tego nie zrobił – mówi.

– A jakże, nigdy – powiedziałem. – Nie wezmę cię na pokład. To wszystko.

– Ale dlaczego bierzesz się zaraz do bicia?

– Żebyś mi uwierzył.

– Co ja mam teraz zrobić? Chcesz, żebym tu zdechł z głodu?

– Głupie gadanie – mówię. – Możesz wrócić statkiem. Zapracujesz na bilet.

– Nie postępujesz ze mną uczciwie.

– A czy ty, pijusie, postąpił z kim w życiu uczciwie? Rodzoną matkę byś sprzedał.

Wiecie, to była prawda. Ale czułem się głupio, że go uderzyłem. Wiecie, jak to jest, kiedy się uderzy pijaka. Tak, jak się rzeczy miały, nie mogłem go wziąć na pokład, nawet gdybym chciał.

Odwrócił się i zaczął iść po nabrzeżu, włókł się jak dzień bez śniadania. Nagle przystanął, wrócił.

– Harry, nie dałbyś mi ze dwóch dolarów?

Dałem mu pięciodolarowy papierek z pieniędzy Chińczyka.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś prawdziwy przyjaciel. Słuchaj, Harry, właściwie dlaczego ty mnie nie weźmiesz?

– Przynosisz pecha.

– Jakiś giez cię ugryzł, nic innego – powiedział. – Mniejsza o to, chłopie. Jeszcze się ucieszysz na mój widok.

Miał teraz pieniądze, więc szedł dużo szybciej, ale mówię wam, że od samego patrzenia na niego człowiekowi robiło się niedobrze. Szedł tak, jakby miał wszystkie członki w stawach złożone odwrotnie.

Poszedłem do „Perły” i spotkałem tam agenta, wziąłem od niego papiery i postawiłem mu kolejkę. Potem, kiedy jadłem obiad, przyszedł Frankie.

– Jeden dał mi to dla ciebie – powiada i podaje mi jakiś twardy rulon zawinięty w papier i związany czerwonym sznurkiem. Po zdjęciu papieru wyglądało to na fotografię i rozwijając rulon myślałem nawet, że pewnie ktoś mi przysłał zdjęcie kutra zrobione gdzieś przy molo.

A jakże, była to fotografia. Powiększone zdjęcie głowy i piersi nieżywego Murzyna, z gardłem rozplatanym od ucha i potem bardzo starannie zeszytym. Na piersiach Murzyna była kartka, a na kartce napisane po hiszpańsku: „Tak postępujemy z *lenguas largas*”.

– Kto ci to dał? – spytałem Frankie’ego.

Pokazał palcem na młodego chłopaka, Hiszpana, który bierze różne roboty w porcie i jest chyba w ostatnim stadium gruźlicy. Ten chłopak stał przy ladzie z zakąskami.

– Zawołaj go tu – powiedziałem.

Chłopak podszedł do stolika. Powiedział, że dali mu ten rulon dwaj młodzi faceci, gdzieś koło jedenastej. Spytały go, czy mnie zna, powiedział, że owszem. Potem oddał rulon Frankie’emu. Dali mu dolara za fatygę. Byli dobrze ubrani.

– Polityka – mruknął Frankie.

– Aha – powiedziałem.

– Myślę, że dałeś znać policji, jak wtedy rano miałeś się tu spotkać z tamtymi Kubańczykami.

– Aha.

– Zła polityka – powiedział Frankie. – Dobra rzecz, że jedziesz.

– Czy kazali mi coś powtórzyć? – spytałem posłańca.

– Nie. Miałem tylko oddać papier.

– Wyjdę zaraz w morze – powiedziałem do Frankie’ego.

– Zła polityka – powtórzył. – Bardzo zła polityka.

Miałem przy sobie złożone w plik wszystkie papiery pokładowe, które mi dał agent, więc zapłaciłem rachunek i wyszedłem z kawiarni; przeciąłem na ukos plac, minąłem bramę i byłem zadowolony, kiedy przez komorę celną wydostałem się na nabrzeże. Nie ma co, ci

smarkacze porządnie mnie nastraszyli. Byli w sam raz głupi na to, żeby sobie wyobrazić, że sypnąłem tamtą trójkę. Przypominali mi Puncho. Jak ich oblatywał strach, zaczęli się denerwować, a jak się denerwowali, koniecznie chcieli kogoś zabić.

Wszedłem na pokład i zapuściłem motor, żeby się zagrzał. Frankie stał na moło i patrzył na mnie. Uśmiechał się tym swoim dziwnym uśmiechem, jak to głuchy. Przeszedłem na rufę, bliżej niego.

– Słuchaj – powiedziałem – żebyś tylko nie miał jakichś nieprzyjemności w związku z tą sprawą.

Nie dosłyszał. Musiałem powtórzyć wrzeszcząc na całe gardło.

– Frankie dobra polityka – powiedział. Odwiązał cumę.

ROZDZIAŁ III

Frankie rzucił linę na pokład. Pomachałem mu ręką i wyprowadziłem kuter z basenu na kanał. Brytyjski frachtowiec wychodził z portu. Płynąłem pod jego burta i wyminąłem go. Wiózł ciężki ładunek cukru, był głęboko zanurzony, wszystkie okucia miał zardzewiałe. Z rufy spoglądał na mnie w dół marynarz w starym niebieskim swetrze. Wypłynąłem z portu, minąłem Morro i wziąłem kurs na Key West, prosto na północ. Zostawiłem ster i poszedłem na dziób, żeby zwinąć cumę, a potem wróciłem i pilnowałem kursu. Z tyłu za mną Hawana rozpościerała się coraz szerzej i szerzej, a potem malała po trochu, w miarę jak wyrastały spoza niej góry.

Po jakimś czasie nie mogłem już dojrzeć Morro, potem znikł Hotel Narodowy, wreszcie widziałem już tylko kopułę Kapitolu. Prąd był dzisiaj słaby w porównaniu z tamtym dniem, kiedyśmy ostatni raz wypłynęli na połów, i wiała tylko lekka bryza. Dwa rybackie żaglowe kutry wracały do Hawany, a że płynęły od zachodu, wiedziałem, że prąd jest słaby.

Przekręciłem kluczyk i zgasilem motor. Nie było sensu marnować paliwa. Niech sobie kuter dryfuje. Jak się ściemni, zawsze będę się mógł zorientować po świetle latarni Morro, a jeżeli mnie znieśie za daleko, po światłach Cojimar, zawrócę do brzegu i wezmę kurs na Bacuranao. Obliczyłem, że przy tej szybkości prądu zdołam przydryfować dwanaście mil do Bacuranao już o zmroku, z tym że cały czas będę się kierował na światła Baracoa.

No więc zgasilem motor i poszedłem na dziób, żeby rzucić okiem na morze. Ale nie było na co patrzeć; przede mną od zachodu tylko te dwa kutry wracające do portu, za mną biała kopuła Kapitolu, jakby na samym skraju morza. Na powierzchni Gólsztromu kępki wodorostów sargassowych i kilka ptaków uwijających się nad wodą, ale niewiele. Przysiadłem na nadbudówce i patrzyłem w wodę; widziałem tylko te małe brązowe rybki, które żerują w kępach wodorostów sargassowych. Och, bracie – niech nikt w nikogo nie wmawia, że między Hawaną a Key West nie ma paskudnej masy wody. Byłem przecież na samym skraju tego pasa.

Po chwili zszedłem do kokpitu i spotykam tam Eddy'ego.

– Co się stało? Co z silnikiem? – pyta.

– Nawalił.

– Dlaczego nie zajrzysz do panewek?

– Och, zamknij gębę.

Wiecie, co on zrobił? Wrócił i wślizgnął się przez przedni luk, wlaź do kabiny i zasnął. Przyniósł ze sobą dwie butelki. Wszedł do pierwszej knajpy z brzegu, kupił te dwie butelki i wrócił na pokład. Kiedy włączyłem motor i wyprowadzałem kuter z portu, obudził się, ale zaraz zasnął. Jak wyłączyłem motor w Gofsztromie i zaczęło nas trochę rzucać, rozbudził się na dobre.

– Harry, wiedziałem, że mnie zabierzesz.

– Diabli zabiorę – powiedziałem. – Nie jesteś nawet na liście załogi. Mam wielką chęć kazać ci wyskoczyć za burtę.

– Ach, Harry, ciebie zawsze trzymają się żarty – zawołał.

– My, Conchowie, powinniśmy się w biedzie wspomagać.

– Wspomagać! Ty z twoim długim ozorem – powiedziałem.

– Kto ci będzie ufał, kiedy się urzniesz?

– Sam wiesz, Harry, że jestem facet do rzeczy. Spróbuj, to się przekonasz.

– Daj mi te butelki – powiedziałem. Przyszła mi do głowy jedna myśl.

Podał mi. Wypiłem łyk z tej, która była otwarta, i odstawiłem obie na sam przód, obok steru. Stał teraz przede mną, a ja patrzyłem na niego. Żal mi go było i żałowałem, że muszę zrobić to, co musiałem zrobić. Chryste, znałem go, kiedy był naprawdę porządnym facetem.

– Harry, co z motorem? – spytał.

– Nic.

– Co się dzieje? Czego tak na mnie patrzysz?

– Bracie – powiedziałem i naprawdę było mi go żal. – Wpakowałeś się w paskudną kabałę.

– Co to wszystko znaczy, Harry?

– Jeszcze nie wiem – odparłem. – Jeszcze nie obmyśliłem wszystkiego dokładnie.

Siedzieliśmy tak chwilę i nie mogłem już nic z siebie wydusić. Odkąd wiedziałem, że to zrobię, jakoś trudno mi było z nim rozmawiać. Potem zszedłem na dół po karabin półautomatyczny i Winchestera kaliber 30.30, które trzymam zawsze w kabinie; zawiesiłem je w pokrowcach pod samym daszkiem nadbudówki, tam, gdzie wieszamy zwykle wędki, tuż nad sterem, żeby je mieć pod ręką. Trzymam zawsze broń w pokrowcach z krótko przyszytych baranicy, włosem wywróconej do środka i nasycionej oliwą. To jedyny sposób, żeby broń nie rdzewiała na morzu.

Zwolniłem bezpiecznik i zarepetowałem kilka razy, włożyłem magazynek i wprowadziłem nabój do komory Winchestera i naładowałem magazynek. Wyjąłem spod materaca Smith-Wessona kaliber 38, miałem go jeszcze z czasów, kiedy pracowałem w

policii w Miami; wyczyściłem go, naoliwiłem, naładowałem magazynek i zawiesiłem na pasku od spodni.

– Co się dzieje? – spytał Eddy. – Co się tu, do cholery, dzieje?

– Nic – odparłem.

– Po co te wszystkie cholerne pukawki?

– Zawsze je ze sobą wożę – powiedziałem. – Żeby strzelać do ptaków, jak szarpią przynętę, albo do rekinów, albo w powietrze na przejażdżkach przy brzegach Keys.

– Co się tu, do cholery, dzieje? – powtórzył Eddy. – Powiedz, co to wszystko znaczy?

– Nic – odparłem. Siedziałem ze starym Smith-Wessonem, dyndającym mi między nogami, i patrzyłem na niego. Powiedziałem sobie: „Nie ma sensu robić tego teraz. Będzie mi jeszcze potrzebny”.

– Czeką nas robota – powiedziałem. – Przybijemy do brzegu w Bacuranao. Jak będzie czas, powiem ci, co i jak.

Wolałem mu nie mówić za wcześnie, bo ze strachu tak by się spił, że byłby do niczego.

– Nie mogłeś lepiej trafić, Harry! – zawołał. – Jestem jak stworzony dla ciebie. Nie ma takiej rzeczy, której bym razem z tobą nie zrobił.

Przyglądałem mu się, kiedy tak stał przede mną, wysoki, cały rozdygotany, z mętnym spojrzeniem, i nie powiedziałem ani słowa.

– Słuchaj, Harry, czy nie dałbyś mi raz pociągnąć z butelki? – spytał. – Nie chciałbym, żeby mnie teraz zaczęło trząść.

Dałem mu łyk i siedzieliśmy czekając, aż się ściemni. Zachód był naprawdę piękny i wiała lekka, przyjemna bryza; kiedy słońce zeszło już całkiem nisko, zapuściłem motor i powoli, na wolnych obrotach poprowadziłem kuter w kierunku lądu.

ROZDZIAŁ IV

Znajdowaliśmy się jakąś milę od brzegu, w zupełnej ciemności. Odkąd słońce zaszło, prąd rwał szybciej; zauważyłem, że mnie spycha do lądu. Daleko na zachodzie widziałem błyski latarni Morro i łunę nad Hawaną; przed nami świeciło się Rincon i Baracoa. Prowadziłem kuter pod prąd, dopóki nie minąłem Bacuranao i nie znalazłem się prawie naprzeciwko Cojimar. Wtedy wyłączyłem silnik i zaczęliśmy dryfować z powrotem. Było cholernie ciemno, ale mogłem dość dokładnie określić, gdzie jesteśmy. Zgasłem wszystkie światła.

– Harry, powiedz, co to będzie? – spytał Eddy. Znowu go strach obleciał.

– No, jak ci się zdaje?

– Nie wiem – powiedział. – Zdenerwowałeś mnie. – Niewiele brakowało, a znowu by go chwyciły dreszcze, a jak się do mnie zbliżył, zajechało od niego wódką.

– Która godzina? – spytałem.

– Zejdę na dół i zobaczę. – Wrócił i powiedział, że jest dziewiąta trzydzieści.

– Zjadłbyś coś?

– Nie, Harry – odparł. – Wiesz chyba, że nie mógłbym nic przelknąć.

– Jak chcesz. Możesz teraz nalać jednego.

Kiedy wypił, spytałem, jak się czuje. Powiedział, że świetnie.

– Niedługo dam ci jeszcze dwa kieliszki. Wiem, że bez tego dostajesz pietra, a mam na pokładzie mało wódki. Radzę ci zwolnić tempo.

– Wytlumacz mi, o co chodzi – poprosił.

– Słuchaj uważnie – powiedziałem. Mówiłem do niego w zupełnej ciemności. – Płyniemy do Bacuranao i weźmiemy tam na pokład dwunastu Chińczyków. Kiedy ci powiem, weźmiesz ster i będziesz robił, co ci każę. Weźmiemy tych dwunastu Chińczyków na pokład i zamkniemy w kabinie. Idź teraz na dziób i zamocuj klapę luku od zewnątrz. – Jak szedł, widziałem jego chudą postać na tle czarnej nocy. Wrócił i powiedział: – Harry, nie dałbyś mi teraz jednego kieliszka?

– Nie. Chcę, żeby ci wódka dodała odwagi. Nie chcę, żebyś był do niczego.

– Jestem facet do rzeczy, Harry. Przekonasz się.

– Jesteś pijus – powiedziałem. – Słuchaj teraz. Jeden Chińczyk przywiezie tamtych dwunastu. Zanim ich przyjmieni na pokład, da mi pieniądze. Jak skończymy ładowanie, da

mi więcej pieniędzy. Jak tylko zobaczysz, że podaje mi pieniądze drugi raz, naciskaj starter, dawaj gazu i wal na otwarte morze. Nie zwracaj uwagi na to, co się dzieje. Cokolwiek będzie się działo, wyprowadzaj łódź na morze. Zrozumiałeś?

– Tak.

– Gdyby któryś Chińczyk spróbował wyłamać drzwi kabiny czy też przeleźć przez luk, kiedy już będziemy na morzu, weź karabin półautomatyczny, daj ognia i zmusz go do powrotu. Umiesz się obchodzić z karabinem półautomatycznym?

– Nie. Ale możesz mnie nauczyć.

– Nie spamiętasz. Umiesz się obchodzić z Winchesterem?

– Trzeba odciągnąć kurek i nacisnąć cyngiel?

– Tak – odparłem. – Tylko nie podziuraw kadłuba.

– Dobrze by było, żebyś mi teraz nalał tę drugą miarkę – powiedział Eddy.

Nalałem mu solidną porcję wódki. Wiedziałem, że go to teraz nie upije; wódka nie może upić, jak się ją wlewa w taki cholerny strach. Ale każdy łyk będzie przez pewien czas robił swoje. Kiedy wypił, powiedział takim głosem, jakby był w siódmym niebie: – To znaczy, że bierzemy się teraz za Chińczyków? Słowo daję, zawsze mówiłem, że jak się kiedy spluczę, zacznę handlować żółtym towarem.

– Ale dotąd nigdy się jeszcze nie splukał, co? – spytałem. Śmieszny facet.

Do wpół do jedenastej dałem mu jeszcze trzy kieliszki, żeby go utrzymać w formie. Zabawnie było obserwować tego pijusa i dzięki temu miałem myśli zajęte czym innym. Nie obliczyłem, że to czekanie będzie takie długie. Ułożyłem sobie, że wypłynę o zmroku, wydam się poza zasięg świateł i wzdłuż brzegu podryfuję do Cojimar.

Przed samą dwunastą dwa światła pokazały się na cyplu. Oczekałem chwilę, potem bardzo wolno podprowadziłem kuter bliżej do brzegu. Bacuranao to mała zatoka – było tu kiedyś solidne nabrzeże do ładowania piasku. Płynie tędy rzeczka, jej wody wpadają do zatoki, kiedy deszcz rozmyje ławicę piachu zamykającą ujście. Zimą północne wiatry niosą piach i tarasują ujście. W tamtym czasie szkunery wpływały w koryto rzeki i brały ładunki *guavas*, było tam też miasteczko. Później cyklon zmiotł miasteczko i został tylko jeden dom, który jacyś *gallegos* zbudowali z resztek szop zwałonych przez cyklon; jest to ich klub, przyjeżdżają tu w niedzielę z Hawany i urządzają pikniki albo kąpią się w morzu. Jest jeszcze dom pełnomocnika, ale daleko od plaży.

Wszystkie takie małe dziury wzdłuż całego wybrzeża mają swojego pełnomocnika rządowego, ale przypuszczałem, że Chińczyk ułożył się jakoś z tym facetem i wypłynie w swojej własnej łodzi. Kiedyśmy podeszli bliżej brzegu, poczułem zapach wodorostów i

słodkawy aromat roślinności, jaki idzie zawsze od lądu.

– Przejdź na dziób – powiedziałem.

– Tu nie możesz w nic stuknąć – odparł Eddy. – Skały są po tamtej stronie wejścia do zatoki. – Bo widzicie, Eddy był kiedyś naprawdę coś wart.

– Uważaj na łódź – powiedziałem. Podpłynąłem do miejsca, gdzie musieli nas zauważyć. A ponieważ fale nie pienily się na tym piaszczystym wybrzeżu, wiedziałem, że usłyszą motor. Nie chciałem czekać nie mając pewności, czy nas zauważyli, więc zapaliłem na sekundę światła, tylko boczne czerwone i zielone. Potem wykręciłem kuter dziobem do otwartego morza i tak go trzymałem – blisko brzegu, z silnikiem na najmniejszych obrotach.

– Chodź no tu – powiedziałem do Eddy’ego i nalałem mu solidną porcję wódki.

– Najpierw trzeba kciukiem odciągnąć kurek? – spytał cicho. Siedział teraz przy sterze, a ja sięgnąłem ręką do pokrowców, otworzyłem oba i wyciągnąłem lufy na jakieś sześć cali.

– Tak – odparłem.

– Fajnie – powiedział. Słowo daję, taki jeden łyk wódki robił z nim cuda. I to jak prędko.

Czekaliśmy. Z daleka, spoza krzaków, przeblyskiwało światło w domu pełnomocnika. Nagle zobaczyłem, że światła na cyplu obniżają się i jedno zaczyna okręzać cypel. Musieli zgasić drugą latarnię.

Po chwili zobaczyłem łódź wypływającą z zatoki, prosto na nas, poruszaną jednym wiosłem. Poznałem to po plusku wybieranej wody. Wiedziałem, że wiosłujący ma jedno długie wiosło, w łodzi jest tylko jeden wiosłarz.

Byli już przy nas.

– Dobry wieczór, kapitanie – odezwał się Sing.

– Przyplyniecie do rufy i stańcie pod samą burzą.

Sing wydał chłopcu jakieś polecenie, ale on tym swoim jednym wiosłem nie mógł pchnąć łódki do tyłu, więc chwyciłem za nadburcie od strony dziobu i przeciągnąłem ją pod naszą rufę. W łódce było ośmiu mężczyzn. Sześciu Chińczyków, Sing i chłopiec z wiosłem. Kiedy przeciągałem łódkę pod naszą rufę, spodziewałem się, że coś ciężkiego spadnie mi na głowę. Ale nie. Wyprostowałem plecy i pozwoliłem Singowi uchwycić się krawędzi burty.

– A teraz obejrzymy to sobie – powiedziałem.

Podał mi pieniądze, wziąłem je, zaniósłem do steru, gdzie siedział Eddy, i zapaliłem światło nad szafką z instrumentami. Obejrzałem uważnie banknoty. Wyglądały na dobre, więc zgasiłem światło. Eddy cały dygotał.

– Nalej sobie jednego – poradziłem. Widziałem, jak sięga ręką po butelkę, przechyla ją.

Wróciłem na rufę.

– W porządku. Sześciu może wejść. – Chociaż fala była niewielka, Sing i Kubańczyk zdrowo się musieli napracować, żeby łódka nie stuknęła w naszą burtę. Usłyszałem, że Sing mówi coś po chińsku, i wszyscy Chińczycy jednocześnie zaczęli wdrapywać się na rufę.

– Po jednym na raz – powiedziałem.

Znowu im coś zaszwargotał i teraz jeden po drugim weszli na pokład. Byli najrozmaitszych rozmiarów i kalibru.

– Zaprowadź ich na dziób – zwróciłem się do Eddy’ego.

– Pozwólcie tedy, panowie! – zawołał Eddy. Niech go diabli, Wiedziałem, że musiał zdrowo pociągnąć z butelki.

– Zamknij kabinę – dodałem, kiedy już wszyscy byli w środku.

– Tak jest, kapitanie.

– Pojadę po tamtych – powiedział Sing.

– Dobrze – odparłem.

Odepchnąłem łódź i chłopiec powiosłował do brzegu.

– Słuchaj no – zwróciłem się do Eddy’ego. – Odczep się od tej butelki. Jesteś już dość odważny.

– Rozkaz, szefie.

– A to co znowu?

– Podoba mi się ta robota – odparł. – Mówiłeś, że wystarczy odciągnąć kurek kciukiem?

– Pijane bydlę – powiedziałem. – Nalej mi trochę.

– Wszystka wyszła. Nie gniewaj się, szefie.

– Posłuchaj. Musisz teraz uważać i jak zobaczysz, że Sing daje mi pieniądze, naciśniesz starter.

– Według rozkazu, szefie – powiedział Eddy.

Sięgnąłem ręką po drugą butelkę, wziąłem korkociąg i otworzyłem ją. Nalałem sobie solidną porcję, a potem wróciłem na rufę, wepchnąłem mocno korek i schowałem butelkę między dwa gąsiory wiklinowe z wodą.

– Wraca Sing – powiedziałem do Eddy’ego.

– Tak jest, kapitanie.

Łódź zbliżała się do nas.

Chłopiec podpłynął od strony rufy i tym razem nie pomagałem im, kiedy dobijali do naszej burty. Sing uchwycił się desek pomostu przymocowanego do rufy, po którym wciągaliśmy duże sztuki na pokład.

– Niech wejdą po jednym – powiedziałem.

Sześciu Chińczyków weszło na pokład od strony rufy.

– Otwórz i wpuść ich do środka – poleciłem Eddy’emu.

– Tak jest, kapitanie.

– Zamknij kabinę.

– Tak jest, kapitanie.

Zobaczyłem, że wrócił do steru.

– W porządku, panie Sing – powiedziałem. – Obejrzymy sobie teraz tę resztę.

Wsunął rękę do kieszeni, wyjął pieniądze i podał mi je. Wyciągnąłem rękę i chwyciłem go za przegub dłoni, tej, w której trzymał pieniądze, a kiedy zatoczył się do przodu, na rufę, drugą ręką chwyciłem go za gardło. W tej samej chwili poczułem, jak kuter zadygotał i zaraz potem szarpnął się do przodu nabierając szybkości, a chociaż miałem cholerną robotę z Singiem, zobaczyłem jeszcze Kubańczyka stojącego na rufie czółna z wiosłem w rękach, gdyśmy tak z Singiem rzucającym się i wijącym ruszyli na otwarte morze. Sing bardziej się chyba wił i rzucał niż delfin nadziany na oścień.

Wykręciłem mu rękę do tyłu i szarpnąłem do góry, ale widocznie przesunąłem za daleko, bo poczułem, jak się łamie kość. Kiedy kość pękła, Sing chrapnął tak jakoś śmiesznie, całym ciałem runął do przodu, chociaż wciąż go trzymałem za gardło, i ugryzł mnie w ramię. Ale jak tylko poczułem, że mu kość pękła, puściłem rękę. Nie miał już z niej żadnego pożytku, a za to ja mogłem obiema rękami wziąć go za gardło. Mówię wam, że ten Sing ze swoją dyndającą ręką wił się i rzucał jak ryba. Ale go pchnąłem na kolana, wbiłem mu palce mocno w ciało po obu stronach jadaczki i przechylałem cały ten kram do tyłu, dopóki nie trzasło. Tylko nie myślcie, że jak trzaska, to się tego nie słyszy.

Potrzymałem go tak sekundę, a potem położyłem na deskach. Leżał sobie w tym swoim eleganckim ubraniu twarzą do góry, nieruchomy, z nogami zwisającymi do kokpitu. Zostawiłem go i odszedłem.

Zebrałem z podłogi kokpitu pieniądze, zapaliłem światło nad szafką z instrumentami i przeliczyłem banknoty. Potem wziąłem ster i kazałem Eddy’emu poszukać na rufie i przynieść kawałki żelaza, których używałem zamiast kotwicy, kiedyśmy łowili ryby nad skalistym dnem, gdzie szkoda porządnej kotwicy.

– Nic tu nie mogę znaleźć! – zawołał Eddy. Bał się być sam blisko trupa Singa.

– Weź ster – powiedziałem. – I trzymaj kurs na morze.

Słyszałem na dole jakiś rwetes, ale ani myślałem się tym przejmować.

Znalazłem ciężarki, o które mi chodziło, to jest stare żelastwo z dawnego portu węglowego w Tortugas, wziąłem linkę i przywiązałem dwa duże kawały do kostek u nóg Singa. Potem, kiedyśmy wypłynęli już ze dwie mile od brzegu, spuściłem go za burtę. Stoczył się gładko z pomostu. Nawet nie sprawdziłem, co ma w kieszeniach. Nie miałem ochoty go obmacywać.

Pociekło mu trochę krwi z ust i nosa na deski, więc zanurzyłem kubel w morzu, a że płynęliśmy szybko, kubel o mało co nie wyszarpał mnie za burtę; wziąłem szczotkę ryżową i porządnie wyszorowałem pokład od strony rufy.

– Zwolnij – powiedziałem Eddy’emu.

– A jak on wypłynie? – spytał.

– Wrzuciłem go na głębokość siedmiuset sążni. Zejdzie aż na samo dno, a to jest, bracie, szmat drogi. Nie wypłynie, dopóki gaz nie wypchnie ciała na powierzchnię, a tymczasem prąd go zniesie i będzie służył rybom za przynętę. Możesz się nie martwić o pana Singa.

– Coś ty miał do niego? – spytał Eddy.

– Nic – odparłem. – Pierwszy raz w życiu spotkałem człowieka tak gładkiego w interesach jak pan Sing. Cały czas sobie mówiłem, że coś tu nie jest w porządku.

– Dlaczegoś go zabił?

– Żebym nie musiał zabijać tamtych dwunastu Chińczyków.

– Harry – powiedział – daj mi się napić, bo jeszcze trochę, a zacznie mnie trząść. Mdło mi się zrobiło, jak zobaczyłem, że mu się ta głowa tak obraca na wszystkie strony.

Nalałem mu.

– A co będzie z tymi Chińczykami? – spytał.

– Chcę ich możliwie najprędzej wysadzić – wyjaśniłem. – Zanim mi zasmrodzą całą kabinę.

– Gdzie ich wysadzisz?

– Na długiej plaży.

– Mam zawrócić do brzegu? – spytał.

– Tak. Tylko płyn powoli.

Przeplłynęliśmy wolno nad skałami do miejsca, z którego mogłem dojrzeć pobłyskujący piasek na plaży. Nad skałami jest głębia, ale dalej dno jest piaszczyste i podnosi się stopniowo aż do brzegu.

– Przejdź na dziób i zmierz głębokość – powiedziałem.

Zaczął sondować za pomocą ościenia, dając mi drzewcem znaki, żebym się posuwał naprzód. Wrócił i ruchem ręki kazał mi się zatrzymać. Poszedłem na rufę.

– Masz tu jakie pięć stóp.

– Musimy zarzucić kotwicę – powiedziałem. – Gdybyśmy w razie czego nie mieli czasu jej podnieść, albo odetniemy linkę, albo się urwiemy.

Eddy wyrzucał po trochu linkę, a kiedy kotwica przestała ciągnąć, porządnie linkę umocował. Kuter wykręcił się rufą do brzegu.

– Wiesz, dno jest piaszczyste.

– Ile może być stóp przy rufie? – spytałem.

– Najwyżej pięć.

– Weź karabinek. I bądź ostrożny.

– Daj mi łyk – poprosił. Był cholernie zdenerwowany.

Dałem mu się napić, potem zdjąłem z gwoźdźca karabin półautomatyczny. Przekręciłem klucz, otworzyłem drzwi i powiedziałem: – Wyjdźcie.

Cisza.

Potem jeden Chińczyk wysunął głowę, zobaczył Eddy'ego z karabinem i zaraz się cofnął.

– Wyjdźcie. Nikt wam nie zrobi krzywdy.

Nie pomogło. Tylko tyle, że zaczęli szwargotać po chińsku.

– Wyłazicie czy nie?! – wrzasnął Eddy.

Chryste, zaraz widziałem, że dobrał się do butelki.

– Odstaw tę butelkę, bo jak nie, wykopię cię za burtę – powiedziałem.

– Wyjdźcie – powtórzyłem – bo będę strzelać.

Zobaczyłem, że jeden wygląda zza drzwi; musiał chyba dojrzeć brzeg, bo zaczął coś gadać. Wyszli.

Powiem wam, że trzeba by być wyjątkowym bydlakiem, żeby wymordować w ten sposób gromadę Chińczyków, i głowę dam, że robota wcale nie byłaby łatwa, nie mówiąc już o zapaskudzeniu pokładu.

Wyszli i byli wystraszeni, i nie mieli broni, ale było ich dwunastu. Cofnąłem się na rufę, pistolet trzymałem cały czas wycelowany. – Skaczcie za burtę – powiedziałem. – Nie jest głęboko.

Nikt się nie ruszył.

– Skaczcie za burtę.

Nikt się nie ruszył.

– No, jazda, żółtki, jazda, zjadacze szczurów! – ryknął Eddy.

– Zamknij tę swoją pijacką mordę – powiedziałem.

– Nie umieć pływać – odezwał się któryś z Chińczyków.

– Nie trzeba pływać – wyjaśniłem. – Nie jest głęboko.

– Prędzej, jazda! – wrzasnął Eddy.

– Chodź tu do mnie na rufę – powiedziałem. – Trzymaj karabin w jednej ręce, weź do drugiej osek. Pokaż im, dokąd sięga woda.

Podniósł mokry drąg i pokazał Chińczykom.

– Nie musieć pływać? – spytał ten sam Chińczyk.

– Nie.

– Prawda?

– Tak.

– My gdzie?

– Na Kubie.

– Ty przekłety złodziej – powiedział i zlął za burtę. Przez sekundę czepiał się rękami nadburcia, potem puścił. Głowa znikła mu, ale zaraz się wynurzyła, brodę miał teraz nad wodą. – Przekłety złodziej – powtórzył. – Drań złodziej.

Był wściekły i piekielnie odważny. Powiedział coś po chińsku i tamci jeden za drugim zaczęli zsuwać się do wody.

– W porządku, Eddy, podnieś kotwicę.

Kiedyśmy wychodzili z powrotem na morze, księżyc pokazał się na niebie i widać było Chińczyków, jak unosząc podbródki nad wodą szli do brzegu, a dalej piasek połyskujący na plaży i za nią krzaki.

Przeplłynęliśmy nad rafami i wtedy obejrzałem się jeszcze raz; zobaczyłem plażę i dalej wyrastające powoli góry. Wziąłem kurs na Key West.

– Możesz się teraz przespać – powiedziałem do Eddy’ego. – Nie, czekaj. Zejdź na dół i otwórz wszystkie iluminatory, żeby smród wyszedł. I przynieś mi jodynę.

– Co się stało? – spytał.

– Skaleczyłem się w palec.

– Chcesz, żebym wziął ster?

– Idź spać – powiedziałem. – Obudzę cię później.

Położył się w kokpicie na koi wbudowanej w ścianę, nad bakiem z benzyną, i w chwilę później już spał.

ROZDZIAŁ V

Przytrzymałem ster kolanem, odpiąłem koszulę i obejrzałem miejsce, w które mnie ugryzł Sing. Ukąszenie było niczego sobie; zajodynowałem je, a potem siedziałem przy sterze i zastanawiałem się, czy ukąszenie Chińczyka jest jadowite, i cały czas wsłuchiwałem się w równomierny stuk silnika i szum wody po bokach łodzi. W końcu powiedziałem sobie: „Bzdura. To ukąszenie nie może być jadowite. Taki facet jak Sing na pewno szorował zęby dwa albo trzy razy na dzień. Niech go, tego Singa. Wielki businessman to on nie był. A może był. Może mi tylko zaufał”. Mówię wam, że w żaden sposób nie mogłem go rozgryźć.

Teraz już wszystko byłoby proste, gdyby nie ten Eddy. Jest pijus, więc jak się urżnie, zacznie gadać. Nie odchodząc od steru spojrzałem na niego i pomyślałem: „Cholera, jak umrze, nie będzie mu gorzej, niż mu jest teraz, a ja będę miał spokój”. Kiedy zobaczyłem, że jest na pokładzie, powiedziałem sobie, że trzeba go będzie sprzątnąć, ale nie miałem serca. Ale mówię wam, że kiedy tak patrzałem teraz na niego leżącego na pryczy, znowu zaczęło mnie cholernie kusić. Potem pomyślałem, że byłoby głupio psuć wszystko robieniem czegoś, czego bym później na pewno żałował. Potem znowu przyszło mi do głowy, że nie jest na liście załogi i że będę musiał w porcie zapłacić za niego grzywnę. I już naprawdę nie wiedziałem, co o tym wszystkim myśleć.

Tak czy siak, czasu do myślenia miałem dosyć, więc trzymałem łódź na kursie i jak mi przysłała chęć, pociągałem łyk z butelki, tej, którą Eddy przyniósł. Niewiele tam tego zostało, ale jak wszystko wypilem, otworzyłem swoją, i mówię wam, że dobrze mi było przy sterze i noc na morzu była dobra. Ta moja jazda w końcu nie najgorzej się skończyła, chociaż sytuacja parę razy wyglądała cholernie paskudnie.

O świcie Eddy wstał. Powiedział, że czuje się strasznie.

– Weź na chwilę ster. Chcę zobaczyć, jak i co.

Poszedłem na rufę i chlusnąłem trochę wody na pokład, chociaż deski były zupełnie czyste, i pociągnąłem parę razy szczotką. Rozładowałem broń i odniosłem na miejsce. Ale nie zdjąłem pistoletu z paska. W kabinie powietrze było czyste i świeże, żadnego zapachu. Tylko trochę wody chlupnęło na jedną z koi przez iluminator po stronie starbortu. Żaden celnik na świecie nie wyniuchałby tu teraz Chińczyków.

Pod oprawioną w ramkę kartą licencyjną wisiała siatka, do której przed wyjściem z portu wsunąłem dokumenty pokładowe. Wyjąłem je teraz i przejrzałem, a potem wróciłem do

kokpitu.

- Słuchaj no – zwróciłem się do Eddy’ego – jak tyś zrobił, że jesteś na liście?
- Spotkałem agenta, jak szedł do konsulatu, i wytłumaczyłem mu, że jadę.
- Pan Bóg opiekuje się pijakami – powiedziałem zdejmując z paska Smith-Wessona.

Odniosłem broń na dół do kabiny.

Zrobiłem trochę kawy, potem wróciłem na pokład i wziąłem ster.

- Masz tam kawę na dole – powiedziałem.
- Bracie, co mi po kawie. – Naprawdę litość brała patrzeć na niego. Wyglądał strasznie.

Około dziewiątej zobaczyliśmy światło latarni na Sand Key, prawie w prostej linii przed nami. Już od jakiegoś czasu spotykaliśmy tankowce płynące w górę Golfsztromem.

– Za dwie godziny będziemy w porcie. Dam ci po cztery dolary za dzień, tyle samo, ile byś dostał, gdyby Johnson zapłacił.

- Ile wczoraj zarobiłeś? – spytał.
- Tylko sześćset.

Nie wiem, czy mi uwierzył.

- I z tych sześciuset nie dostanę mojej części?
- To jest twoja część – powiedziałem. – Te cztery dolary za dzień. A jeżeli puścisz kiedy parę z gęby i powiesz chociaż słowo o wczorajszej nocy, dowiem się i sprzątnę cię.
- Wiesz dobrze, że nie jestem donosiciel.
- Jesteś pijus. Ale chociażbyś był schlany do nieprzytomności, zobaczysz, co cię spotka, jeżeli piśniesz słowo.

– Jestem przyzwoity człowiek. Nie masz prawa tak mówić.

– Gorzelnie nie nastarczą z robieniem wódki, żeby cię w tej przyzwoitości utrzymać – powiedziałem. Ale przestałem się nim przejmować, bo kto uwierzy takiemu pijusowi? Sing nie złoży już na mnie żadnego donosu. Chińczycy też nie. Sami wiecie, że mały Kubańczyk będzie trzymał język za zębami. Po co miałyby się narażać na nieprzyjemności? Eddy prędzej czy później pewnie się wygada, ale kto uwierzy takiemu pijusowi?

Zresztą kto mi czeokolwiek dowiedzie? Naturalnie gdyby zobaczyli jego nazwisko na liście załogi, byłoby cholernie dużo gadania. Miałem szczęście, nie ma co. Mógłbym powiedzieć, że wypadł za burtę, ale byłoby cholernie dużo gadania. Eddy też miał szczęście. Cholernie dużo szczęścia, nie ma co.

Potem weszliśmy w prąd i woda nie była już niebieska, tylko jasnozielonkawa, i zobaczyłem antenę radiostacji w Key West, Hotel La Concha górujący nad wszystkimi

małymi domkami i kłęby dymu nad miejscem, gdzie palą śmieci. Latarnia na Sand Key była teraz bardzo blisko, widziałem przystań i małe molo obok; wiedziałem, że mamy już tylko czterdzieści minut drogi, i dobrze mi było, że wracam i że mam za co przeżyć lato.

– Słuchaj, Eddy, a może byśmy się tak napili?

– Ach, Harry, zawsze wiedziałem, że jesteś prawdziwy przyjaciel – powiedział.

Tego wieczora siedziałem w saloniku, paliłem cygaro, piłem whisky z wodą sodową i słuchałem Gracie Allen śpiewającej przez radio. Dziewczęta poszły do kina, a ja siedziałem w fotelu i chciało mi się spać, i było mi dobrze. Ktoś zadzwonił do drzwi i Maria, moja żona, poszła otworzyć. Wróciła i powiedziała: – To ten pijak, Eddy Marshall. Powiada, że musi się z tobą zobaczyć.

– Poradź mu, żeby poszedł, zanim go wyrzucę za drzwi.

Maria wróciła i usiadła, a ja siedząc przy oknie zobaczyłem w świetle łukowych lamp Eddy'ego, jak szedł ulicą z jakimś drugim przygodnie poznanym pijusem; chwiali się obaj, a ich cienie na bruku chwiały się jeszcze bardziej.

– Biedni pijacy – powiedziała Maria. – Żal mi pijaków.

– Ten to szczęściarz – odparłem.

– Żaden pijak nie jest szczęśliwy – powiedziała Maria. – Wiesz dobrze, Harry.

– Tak – przyznałem. – Chyba żaden.

Część druga

JESIEN

ROZDZIAŁ I

Przeprawiali się nocą i wiał silny wiatr północno-zachodni. Kiedy wzeszło słońce, zobaczył tankowiec płynący Gofsztromem, taki jakiś wysoki i biały w zimnym powietrzu prześwietlonym słońcem, że wyglądał jak wysokie budynki wynurzające się z morza. Powiedział do Murzyna: – Gdzie my, u diabła, jesteśmy?

- Nic takiego nie ma po tej stronie Miami.
- Wiesz dobrze, że nas nie zniosło do żadnego Miami.
- Mówię tylko, że nie ma takich domów na Florida Keys.
- Wzięliśmy kurs na Sand Key.
- Tośmy powinni zobaczyć Sand Key. Sand Key albo American Shoals.

W chwilę później zorientował się, że to nie są budynki, tylko tankowiec, a w niecałą godzinę potem zobaczył latarnię na Sand Key, strzelistą, smukłą i brunatną, wyrastającą z morza dokładnie tam, gdzie powinna.

– Jak się trzyma ster, trzeba mieć do siebie zaufanie – powiedział.
– Mam do siebie zaufanie – odparł Murzyn. – Ale z tą drogą tak się wszystko pokręciło, że nie mam już do niczego zaufania.

– Jak twoja noga?

– Ciągłe boli.

– To nic nie jest – powiedział mężczyzna. – Musisz tylko czysto trzymać i bandażować, a samo się zagoi.

Płynął teraz na zachód, do Woman Key, żeby schronić kuter na dzień w gęstwinie mangrowców, gdzie go nikt nie zobaczy i dokąd przyjedzie po nich motorówka.

– Nic ci nie będzie – powiedział do Murzyna.

– Nie wiem – odparł Murzyn. – Bardzo mnie boli.

– Jak zajedziemy na miejsce, zrobię ci porządny opatrunek. Nie jesteś bardzo ranny.

– Nie martw się.

– Jestem ranny – powtarzał Murzyn. – Jeszcze nigdy nie byłem ranny. Dla mnie każda rana jest zła.

– Boisz się, to wszystko.

– Nie! Jestem ranny. I bardzo mnie boli. Całą noc trzęsły mnie dreszcze.

Murzyn dalej narzekał; nie mógł się powstrzymać, zdjął bandaż i obejrzał ranę.

– Zostaw to – rzucił mężczyzna przy sterze. Murzyn leżał na podłodze kokpitu, podłoga była zavalona workami z wódką, z kształtu przypominającymi szynki. Murzyn rozsunął worki i zrobił sobie między nimi legowisko. Przy każdym jego ruchu stłuczone szkło chrzęściło w workach i rozchodził się zapach alkoholu. Wszystko było ochlapane wódką. Mężczyzna prowadził kuter prosto na Woman Key. Widział teraz brzeg wyraźnie.

– Boli mnie – mówił Murzyn. – Coraz bardziej mnie boli.

– Żal mi cię, Wesley – powiedział mężczyzna. – Ale nie mogę odejść od steru.

– Traktujesz pan człowieka jak psa – mamrotał Murzyn. Podłoga przemawiała teraz przez niego. Ale mężczyzna wciąż mu współczuł.

– Zrobię tak, żeby ci było wygodniej, Wesley – powiedział. – Tylko leż spokojnie.

– Pana nic nie obchodzi, co się stanie z człowiekiem – mówił Murzyn. – Pan właściwie w ogóle nie jest człowiek.

– Zabandażuję ci porządnie nogę. Tylko się nie ruszaj.

– Nic mi pan nie zabandażuje. – Mężczyzna, który się nazywał Harry Morgan, nie odpowiedział, ponieważ lubił Murzyna i ponieważ nie pozostawało mu nic innego, jak go uderzyć, a na to by się nie zdobył. Murzyn mówił dalej:

– Dlaczegośmy się nie zatrzymali, kiedy tamci zaczęli strzelać?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Życie człowieka jest chyba więcej warte niż ładunek wódki? Mężczyzna całą uwagę skupił na sterze.

– Wystarczyłoby, żebyśmy się zatrzymali i pozwolili im wziąć wódkę.

– Nie – odezwał się mężczyzna. – Zabierają wódkę i kuter i pakują do więzienia.

– Więzienia się nie boję – powiedział Murzyn. – Ale kulki dostać nie chciałem.

Murzyn zaczynał działać mężczyźnie na nerwy. Męczyło go to ciągle gadanie.

– Kto, do cholery, jest gorzej ranny? Ja czy ty?

– Pan jest gorzej ranny – odparł Murzyn. – Ale ja jeszcze nigdy nie byłem ranny. Nie myślałem, że będę kiedyś ranny. Nie płacą mi za to, żebym był ranny. Nie chcę być ranny.

– Spokojnie, Wesley – powiedział mężczyzna. – Takie mówienie nic ci nie pomoże.

Zbliżali się teraz do Key. Byli już na zalewie i gdy mężczyzna wprowadził łódź w łożysko kanału, oślepił go blask słońca odbijający się od powierzchni wody. Murzyn bredził teraz, czy może zrobił się nagle pobożny, ponieważ był ranny. W każdym razie nie przestawał mówić.

– Dlaczego szmugluje się teraz wódkę? Przecież zniesli prohibicję. Dlaczego prowadzi się dalej ten szmugiel? Dlaczego nie przewozi się wódki statkiem?

Mężczyzna przy sterze śledził oczyma nurt kanału.

– Dlaczego ludzie nie mogą być przyzwoici i uczciwi i zarabiać przyzwoicie i uczciwie na życie?

Mężczyzna dostrzegł zmarszczki na wodzie w miejscu, gdzie fale łagodnie ochłapywały brzeg, chociaż w słońcu nie mógł dojrzeć samego brzegu, i wyłączył gaz. Obracając jedną ręką koło sterowe skręcił raptownie i zaraz potem kanał rozlał się w płyciznę i mężczyzna powoli podprowadził kuter pod samą gęstwinę mangrowców. Przeszedł na rufę i wyłączył oba sprzęgła.

– Mogę zrzucić kotwicę – powiedział. – Ale w żaden sposób nie wciągnę jej potem z powrotem.

– Ja nie mogę się nawet ruszyć – jęknął Murzyn.

– Biedny jesteś, nie ma co – przyznał mężczyzna.

Namordował się, zanim zdołał odczepić, podnieść i zrzucić za burtę małą kotwicę, ale w końcu dał jakoś radę, wypuścił sporo linki i kuter, okręciwszy się, przywarł burtą do samej gęstwiny, tak że gałęzie mangrowców rozpostarły się nad kokpitem. Mężczyzna wrócił na rufę i zszedł do kokpitu. Pomyślał, że kokpit wygląda strasznie. Naprawdę.

Przez całą noc, po tym, jak już opatrzył ranę Murzyna i Murzyn zabandażował mu rękę, wpatrywał się w kompas i pilnował kursu, a kiedy przyszedł dzień, widział wprawdzie Murzyna leżącego między workami na środku kokpitu, ale znowu obserwował morze i kompas i wypatrywał latarni na Sand Key, i nie miał kiedy przyjrzeć się dokładnie, jak tam wszystko wygląda. A wyglądało źle.

Murzyn leżał na samym środku, między workami z wódką, nogę miał podniesioną i podpartą workiem. Osiem kul przebiło ścianki kokpitu, wylupując szerokie szpary w drzewie, szyba ochronna była strzaskana. Nie wiedział, ile wódki poszło. A gdzie nie było śladów krwi Murzyna, tam były ślady jego krwi. Ale najgorszy – przynajmniej teraz tak mu się zdawało – był zapach szmuglowanej wódki. Wszystko nią przesiąkło. Kuter stał spokojnie w gęstwinie mangrowców, ale on wciąż jeszcze czuł w sobie kołysanie wzburzonego morza, które przez całą noc ciskało nimi w Gofsztromie.

– Zrobię trochę kawy – powiedział do Murzyna. – Potem zmienię ci opatrunek.

– Nie chcę żadnej kawy.

– Ja chcę – powiedział. Ale na dole zrobiło mu się słabo, więc wrócił na pokład.

– Nie będziemy mieli kawy – oświadczył.

– Chcę wody.

– Dobrze.

Nalał do kubka wody z gąsiora i podał Murzynowi.

– Dlaczego pan uciekał, kiedy oni zaczęli strzelać?

– Dlaczego strzelali?

– Chcę doktora – powiedział Murzyn.

– Myślisz, że doktor zrobi coś więcej, niż ja zrobiłem?

– Doktor mnie wyleczy.

– Będziesz miał doktora wieczorem, jak łódź po nas przyjedzie.

– Nie chcę czekać na żadną łódź.

– No, już dobrze – powiedział mężczyzna. – Spuścimy teraz worki do wody.

Zaczął przerzucać worki za burtę. Ciężka praca, kiedy się ją wykonuje jedną ręką. Worek z wódką waży tylko czterdzieści funtów, ale zaledwie przerzucił kilka, znowu zrobiło mu się słabo. Usiadł na podłodze kokpitu, położył się.

– Zabije się pan, i tyle – powiedział Murzyn.

Mężczyzna leżał bez ruchu, głowę miał opartą o worek. Gałęzie mangrowca rozpościerające się nad kokpitem ocieniały miejsce, na którym leżał. Słyszał wiatr nad drzewami i poprzez liście widział wysokie, zimne niebo i cienkie pasma chmur pędzonych przez północny wiatr.

„Nikt nie wyjdzie na morze przy tym wietrze – pomyślał. – Nie przypuszczają, żebyśmy wypłynęli w taką wichurę.”

– Pan myśli, że oni wyjdą na morze? – spytał Murzyn.

– Ma się rozumieć – odparł. – Czemu nie?

– Za silny wiatr.

– Już nas szukają.

– Przy tym wietrze nie szukają. Po co pan kłamie? – Murzyn mówił z ustami prawie przytkniętymi do worka.

– Nie przejmuj się, Wesley – powiedział mężczyzna.

– On mi mówi, żebym się nie przejmował – mamrotał Murzyn. – Mówi mi, żebym się nie przejmował. Czym mam się nie przejmować? Mam się nie przejmować, że zdycham tu jak pies? Pan mnie w to wpakował. Niech mnie pan teraz ratuje.

– Nie przejmuj się, Wesley – powtórzył mężczyzna łagodnie.

– Nie przyjadą po nas – powiedział Murzyn. – Wiem, że po nas nie przyjadą. Zimno mi, mówię panu. Nie wytrzymam dłużej z tym zimnem i z tym bólem, mówię panu.

Mężczyzna usiadł. Było mu słabo, w głowie czuł pustkę. Murzyn przyglądał mu się, gdy przyklękał na jedno kolano, z prawą ręką dyndającą mu bezwładnie u boku, gdy ujął dłoń

prawej ręki dłonią lewej ręki i umieścił ją sobie między kolanami, a potem chwyciwszy się deski przybitej do nadburcia podciągał się do góry; wreszcie stanął i spoglądał w dół, w dół na Murzyna, z prawą dłonią wciąż uwięzioną między udami. Pomyślał, że nigdy dotąd nie odczuwał prawdziwego bólu.

– Jak ją trzymam wyciągniętą, mocno wyciągniętą, mniej boli – powiedział.

– Pan da, to zrobię panu temblak – mruknął Murzyn.

– Nie mogę zgiąć w łokciu – odparł mężczyzna. – Zesztywniała w ten sposób.

– Co my teraz zrobimy?

– Pozbędziemy się wódki – powiedział mężczyzna. – Czy nie mógłbyś przerzucić tych worków, które masz pod ręką?

Murzyn uniósł się, żeby sięgnąć po worek, ale jęknął i opadł na plecy.

– Tak bardzo cię boli, Wesley?

– O, Boże! – jęknął Murzyn.

– Nie myślisz, że to tylko pierwszy ruch jest taki bolesny? – spytał mężczyzna.

– Jestem ranny – powiedział Murzyn. – Nie ruszę się. Jestem ranny, a ten człowiek chce, żebym zrzucił worki za burtę.

– Spokojnie, Wesley. Nie przejmuj się.

– Jak pan to powie jeszcze raz, zwariuję.

– Nie przejmuj się – powtórzył łagodnie mężczyzna.

Murzyn wydał jęk podobny do szlochu i obmacując rękami pokład natrafił za framugą luku na kamień do ostrzenia noży.

– Zabiję pana – powiedział. – Poderżnę panu gardło.

– Osełką nie dasz rady – odparł mężczyzna. – Spokojnie, Wesley.

Murzyn szlochał z twarzą w worku. Mężczyzna powoli dźwigał worki z wódką i spuszczał je za burtę.

ROZDZIAŁ II

Spuszczał wciąż worki za burłę, gdy nagle usłyszał warkot motoru, obejrzał się i zobaczył łódź zbliżającą się do nich środkiem kanału, opływającą właśnie cypel Key. Biała łódź motorowa z szybą ochronną i pomalowaną na tabaczkowo nadbudówką.

– Łódź nadpływa – powiedział mężczyzna. – Rusz się, Wesley.

– Nie mogę.

– Teraz będę wszystko pamiętał – ostrzegł go mężczyzna. – Przedtem było co innego.

– Może pan sobie pamiętać – odparł Murzyn. – Ja też nic nie zapominam.

Mężczyzna podnosił zdrową ręką worki i spuszczał je do wody; pot spływał mu po twarzy, pracował szybko, nie zatrzymał się ani razu, żeby spojrzeć na łódź płynącą powoli środkiem kanału.

– Rusz się. – Sięgnął po worek, który Murzyn miał pod głową, i zrzucił go za burłę. Murzyn usiadł.

– Są już tu – powiedział. Łódź była prawie na wysokości ich kutra.

– To kapitan Willie – rzekł Murzyn. – Z gośćmi.

Na rufie białej motorówki siedzieli w fotelach pokładowych dwaj mężczyźni z wędkami w ręku; mieli na sobie szare flanelowe ubrania, na głowach płócienne kapelusze. Trzeci, znacznie od nich starszy, w kapeluszu filcowym i płóciennej kurcie, trzymał ster; prowadził łódź tuż obok kępy mangrowców, przy której zakotwiczony był kuter z kontrabandą.

– Jak tam, Harry? – zawołał mijając ich. Mężczyzna pomachał mu w odpowiedzi zdrową ręką. Motorówka zaczęła się oddalać, dwaj mężczyźni w fotelach pokładowych nie odrywali oczu od kutra i o czymś rozmawiali. Harry nie słyszał, co mówili.

– Zrobi koło przy ujściu i wróci – powiedział Harry do Murzyna. Zszedł na dół do kabiny i przyniósł koc. – Daj, przykryję cię.

– Najwyższy czas – powiedział Murzyn. – Nawet jakby nie chcieli, musieliby zobaczyć worki. Co zrobimy?

– Willie to porządny chłop. Powie im tam w mieście, że tu jesteśmy. Ci faceci z wędkami nie będą się nas czepiali. Co im z tego przyjdzie?

Zrobiło mu się słabo, więc usiadł przy sterze, wsunął prawą ręką między uda i trzymał tak ściśniętą. Kolana mu drżały i przy każdym drgnięciu czuł, jak zgrzytają końce złamanej

kości przedramienia. Rozwarł kolana i wyjął ranną rękę, zwisała mu teraz bezwładnie u boku. Siedział tak z ręką zwisającą u boku, gdy łódź znowu ich mijiała w drodze powrotnej przez kanał. Dwaj mężczyźni w fotelach rozmawiali ze sobą. Odłożyli wędki i jeden z nich przytknął do oczu lornetkę. Byli za daleko, żeby mógł usłyszeć, o czym mówią. Lepiej, że nie słyszał.

Na pokładzie wynajętej na połowy łodzi motorowej „South Florida”, ciągnącej linki z przynętą po kanale Woman Key, ponieważ morze za rafami było zbyt burzliwe, kapitan Willie Adams myślał: „Więc Harry przeprowił się zeszłej nocy. Ten chłop ma krzepę. Szedł w najgorszym sztormie. Nie ma co, ten jego kuter to solidna łajba. Swoją drogą, jakim cudem strzaskał szybę ochronną? Niech mnie diabli, żebym się miał przeprowiać w taką noc jak wczorajsza. Niech mnie diabli, żebym miał szmuglować wódkę z Kuby. Cała kontrabanda idzie teraz przez Mariel. Mówią, że nikt tam teraz nikogo nie kontroluje”. – Słucham pana?

– Co to za kuter? – spytał jeden z mężczyzn siedzących w fotelach pokładowych.

– Ten tu?

– Tak, ten.

– Ano, z Key West.

– Chciałem raczej spytać, do kogo należy.

– Nie mam pojęcia, proszę pana.

– Czy właściciel jest rybakiem?

– Hm... niektórzy powiadają, że tak.

– Jak to?

– Zajmuje się wszystkim po trochu.

– Pan nie wie, jak on się nazywa?

– Nie, proszę pana.

– Wołał pan do niego po imieniu.

– Ja? Ale skąd!

– Słyszałem. Nazwał go pan „Harry”.

Kapitan Willie Adams przyjrzał się uważnie swojemu rozmówcy. Pod rondem białego płóciennego kapelusza zobaczył twarz bardzo czerwoną, o szerokich kościach policzkowych, wąskich wargach, głęboko osadzonych szarych oczach i pogardliwym grymasie ust.

– Musiałem się przejęzyczyć – powiedział kapitan Willie.

– Widać wyraźnie, że ten człowiek jest ranny. Proszę spojrzeć, doktorze – przemówił drugi mężczyzna podając swojemu towarzyszowi lornetkę.

– Widzę to bez lornetki – odparł ten, którego nazwano doktorem. – Co to za jeden?

- Żebym to ja wiedział – mruknął kapitan Willie.
- Jeszcze się pan dowie! Proszę zanotować numer kutra.
- Już zanotowałem, doktorze.
- Popłyniemy do nich i obejrzymy wszystko z bliska – powiedział doktor.
- Pan jest doktorem? – spytał kapitan Willie.
- Ale nie medycyny – odparł mężczyzna o szarych oczach i pogardliwym wyrazie ust.
- Jak pan nie jest doktorem medycyny, nie radzę się tam zbliżać.
- Dlaczego?
- Gdyby on chciał czegoś od nas, dawałby znaki. Jak niczego nie chce, nie nasza rzecz. Ludzie w tych stronach nie wtrącają się do cudzych spraw.
- Doskonale. Radzę, żeby się pan też nie wtrącał do cudzych spraw. Proszę nas podwieźć do tego kutra.

Kapitan Willie płynął dalej kanałem, dwucylindrowy silnik jego łodzi pykał miarowo.

- Słyszał pan, co mówiłem?
- Owszem, proszę pana.
- Dlaczego nie wykonuje pan mojego polecenia?
- Niby co się panu, u diabła, zdaje, że kto pan jest? – spytał kapitan Willie.
- To nie ma nic do rzeczy. Proszę zrobić, co kazałem.
- Niby kto pan jest, żeby mi dawać rozkazy?
- Doskonale. Dla pańskiej informacji powiem, że jestem w chwili obecnej jednym z trzech najważniejszych ludzi w Stanach Zjednoczonych.
- O, do diabła. To co pan robi w Key West?
- Drugi mężczyzna pochylił się do przodu. – To jest Frederick Harrison – powiedział z naciskiem.
- Nigdy o takim nie słyszałem – palnął kapitan Willie.
- Jeszcze pan usłyszysz – warknął Frederick Harrison. – Pan i wszyscy inni w tej zatechłej prowincjonalnej dziurze, chociażbym ją musiał zrównać z ziemią.
- Wie pan co? Nawet całkiem miły gość z pana – ucieszył się kapitan Willie. – Jak pan to zrobił, że pan wyrósł na takiego ważniaka?
- Pan Harrison jest jednym z najważniejszych ludzi w administracji państwowej – wtrącił drugi mężczyzna.
- Bajuj-bajuj. Jak jest taka gruba ryba, to po co siedzi w Key West?
- Przyjechał tylko na odpoczynek – wyjaśnił sekretarz. – Zostanie niedługo gubernatorem...

– Dość już, Willie – przerwał Frederick Harrison. – A teraz proszę nas podwieźć do tego kutra – dodał z uśmiechem. Był to uśmiech specjalnie przeznaczony na tego rodzaju okazje.

– Nie, proszę pana.

– Słuchaj, ty głupcze! Potrafię ci tak życie utrudnić...

– Naprawdę? – spytał kapitan Willie.

– Nie wiesz, kim jestem!

– Dla mnie może pan sobie być, kim pan chce.

– Ten człowiek jest przemytnikiem, co?

– Tak pan uważa?

– Na pewno wyznaczono za jego głowę nagrodę.

– E, wątpię.

– Jest przestępcą.

– Ma rodzinę, którą musi wyżywić, i sam musi jeść. Ciekawe, ilu pan objada takich, co tu pracują w Key West na robotach publicznych za sześć i pół dolara na tydzień?

– Jest ranny. Z tego wynika, że był w jakiejś strzelaninie.

– Chyba że się postrzelił dla przyjemności.

– Może pan sobie zaoszczędzić tej ironii. Proszę nas tam podwieźć. Odstawimy tego człowieka i jego kuter do aresztu.

– I dokąd to? – spytał kapitan Willie.

– Do aresztu w Key West.

– To pan jest policjant?

– Mówiłem panu, kim jest pan Harrison – wtrącił sekretarz.

– Dobra – powiedział kapitan Willie. Pchnął mocno dźwignię sterową i zataczając koło podszedł tak blisko brzegu, że śruba wzbila w powietrze wirującą chmurę marglu. Poprowadził łódź kanałem do miejsca, gdzie kuter stał na kotwicy pod kępą.

– Ma pan na pokładzie broń? – spytał Frederick Harrison.

– Nie, proszę pana.

Dwaj mężczyźni we flanelowych ubraniach podnieśli się z foteli i stali teraz, wpatrzeni w przemytniczny kuter.

– Prawda, doktorze, że to lepsza rozrywka niż łowienie ryb? – spytał sekretarz.

– Łowienie ryb to idiotyzm – odparł Frederick Harrison. – Złapie się latającą rybę i co z nią robić? Jest nie do jedzenia. To natomiast mnie interesuje. Cieszę się, że oglądam taką rzecz na własne oczy. Ten człowiek jest ranny, więc nie może uciec. Na morzu sztorm.

Zapisałiśmy numer kutra.

– Pan ujmuje tego przestępcę sam, bez niczyjej pomocy – powiedział sekretarz głosem pełnym podziwu.

– A co więcej, bez użycia broni – dodał Frederick Harrison.

– I bez tych wszystkich tricków stosowanych przez federalną policję – dorzucił sekretarz.

– Edgar Hoover stanowczo przesadza z tą swoją autoreklamą – powiedział Frederick Harrison. – Uważam, że zanadto popuściliśmy mu cugli. Niech pan dobije do burty – polecił kapitanowi Willie’emu. Kapitan Willie zgasił motor i łódź zaczęła dryfować.

– Hej! – zawołał kapitan Willie w stronę kutra. – Schowajcie się!

– Co to znaczy? – spytał rozwścieczony Harrison.

– Milcz pan – powiedział kapitan Willie. – Hej! – zawołał znów w stronę kutra. – Słuchaj uważnie. Wróć do miasta i gwizdź na wszystko. Mniejsza o kuter. Kuter zabiorą. Zrzuć ładunek i wracaj do miasta. Mam tutaj na pokładzie jednego bubka, jakiegoś ważniaka z Waszyngtonu. Powiada, że jest ważniejszy od samego prezydenta. Chce cię przymknąć. Myśli, że jesteś przemytnikiem. Zapisał numer kutra. Nigdy cię na oczy nie widziałem i nie wiem, co ty za jeden. Nie poznałbym cię, jakbym cię drugi raz zobaczył...

Przestrzeń między łodziami powiększała się, kapitan Willie wrzeszczał dalej: – Nie wiem, gdzie jest to miejsce, gdzie cię widziałem! Nie umiałbym tu trafić!

– Dobra! – przyplynał okrzyk z przemytniczego kutra.

– Biorę tę grubą rybę na ryby, będziemy łowili do zmroku.

– Dobra!

– On bardzo lubi łowić ryby! – wołał kapitan Willie. Głos załamywał mu się z wysiłku. – Tylko, sukinsyn, mówi, że są nie do jedzenia.

– Dziękuję, bracie – przyplynał głos Harry’ego.

– To pana brat? – spytał Harrison. Twarz miał bardzo czerwona, ale widocznie nie zaspokoił jeszcze swojego głodu informacji.

– Nie, proszę pana – odparł kapitan Willie. – Prawie wszyscy na morzu nazywają siebie braćmi.

– Wracamy teraz do Key West – powiedział Frederick Harrison, ale powiedział to bez przekonania.

– Nie, proszę pana. Panowie wynajęli mnie na cały dzień. Postaram się, żebyście otrzymali to, co wam się za wasze pieniądze należy. Nazwał mnie pan głupcem, ale dopilnuję, żeby się nie zmarnowała ani jedna godzina z tego dnia.

– Proszę nas odwiedzić do Key West – powtórzył Frederick Harrison.

– Naturalnie, proszę pana. Tylko trochę później. A teraz niech pan posłucha. Latające ryby wcale nie są gorsze do jedzenia od brodaczy skalnych. Kiedyśmy je sprzedawali do Rios, na hawański rynek, płacili nam po dziesięć centów za funt, tyle samo co za brodacze.

– Proszę milczeć – powiedział Frederick Harrison.

– Myślałem, że jak pan jest facet z rządu, to takie rzeczy pana interesują. Pan ma chyba do czynienia z cenami tego, co ludziska jadają, czy czymś takim? Nie? Stara się pan, żeby ceny rosły? Żeby, jak to mówią, chleb drożał, a łzy taniały? Nie?

– Proszę milczeć – powtórzył Frederick Harrison.

ROZDZIAŁ III

Na kutrze z kontrabandą Harry przerzucił przez burtę ostatni worek z wódką.

– Podaj mi nóż do oprawiania ryb – powiedział do Murzyna.

– Nie ma, gdzieś się zapodział.

Harry nacisnął automatyczny starter i zapuścił oba silniki. Wbudował drugi silnik, kiedy zabrał się znów do przemytu alkoholu, bo z nadejściem kryzysu nikt już nie wynajmował kutra na turystyczne połowy. Wziął siekierkę i lewą ręką odrąbał linę kotwiczną. „Pójdzie na dno, ale ją wyciągną, jak będą wyławiali worki – pomyślał. – Wprowadzę kuter do przystani Garrison Bight, jak go mają wziąć, i tak go wezmą. Muszę iść do doktora. Nie chcę tracić kutra i ręki na dodatek. Wódka jest warta tyle co kuter. Niewiele się stłukło. Stłucze się kilka butelek, a śmierdzi, jakby poszło Bóg wie ile.”

Nacisnął lewe sprzęgło i kuter wraz z przyplływem oderwał się od kępy mangrowców. Oba silniki pracowały równo. Łódź kapitana Willie’ego była już teraz w odległości dwóch mil, płynęła w kierunku Boca Grande. „Chyba przyplływ podniósł już na tyle poziom wody, że przepłynę przez jeziora” – pomyślał Harry.

Włączył prawe sprzęgło, dodał gazu i oba silniki zahuczały. Czuł, jak podnosi się dziób; zielone mangrowce śmignęły wzdłuż burty, gdy śruba kutra wysysała wodę spomiędzy ich korzeni. „Żeby mi go tylko nie zabrali – pomyślał. – Żeby mi tylko uratowali rękę. Skąd ja mogłem wiedzieć, że będą do nas strzelali tam w Mariel, skorośmy przez pół roku otwarcie wchodzili i wychodzili z portu. Tacy są Kubańczycy. Ktoś komuś nie posmarował ręki, więc nas poczęstowali ołowiem. A jakże, tacy są Kubańczycy.”

– Hej, Wesley! – zawołał w stronę kokpitu, gdzie leżał Murzyn przykryty derką. – Jak ci tam?

– Chryste – odparł Murzyn. – Nie mogłoby być gorzej.

– Będzie gorzej, jak doktor zacznie ci grzebać w ranie.

– W panu to nie ma nic ludzkiego – powiedział Murzyn. – Pan nie zna żadnych ludzkich uczuć.

„Stary Willie to porządny chłop – mówił sobie Harry. – Nie ma co, porządny chłop. Dobrze robimy, że wracamy. Głupi byłem, że czekałem. Tak mi było jakoś słabo i mętnie, że sam nie wiedziałem, co robić.”

Widział już teraz w oddali białą plamę Hotelu La Concha, maszty radiowe i domy w

mieście. Widział też przystań Trumbo i promy samochodowe przycumowane do molo, które będzie musiał opłynąć, zanim wprowadzi kuter do Garrison Bight. „Niech go, tego starego – pomyślał o kapitanie Willie’ m. – Daje im dobrą szkołę. Ciekawe, kto to są ci śmierziele. Znowu czuję się parszywie. Znowu mi jest cholernie słabo. Dobrze, że wracamy. Dobrze, żeśmy już dłużej nie czekali.”

– Panie Harry – odezwał się Murzyn. – Mnie naprawdę przykro, że nie mogłem pomóc przy zrzucaniu tych worków.

– Diabli tam – powiedział Harry. – Każdy Murzyn jest do luzu, jak go postrzelą. Ty, Wesley, nie jesteś taki najgorszy Murzyn.

Ponad rykiem silników i głośnym pluskiem wody bijącej o dziób kutra słyszał w sercu dziwny głuchy śpiew. Doznawał podobnego uczucia za każdym razem, kiedy wracał do domu. „Mam nadzieję, że mi wyreperują tę rękę – myślał. – Cholernie mi jest potrzebna.”

Część trzecia

ZIMA

ROZDZIAŁ I

Mówi Albert

Wszyscyśmy tam byli, w knajpie u Freddy'ego, kiedy nagle wszedł ten długi, chudy adwokat i pyta: – Gdzie Juan?

– Jeszcze go nie puścili – ktoś powiada.

– Wiem, że go puścili, i muszę się z nim widzieć.

– No pewnie, nasłałeś pan na niego policję, postarałeś się, żeby go zamknęli, a teraz będziesz bronił – powiada Harry. – Lepiej byś pan tu nie przychodził i nie pytał, gdzie on jest, bo każdy wie, że go trzymasz w kieszeni.

– Wypchaj się pan – mówi adwokat. – Mam dla Juana pracę.

– To szukaj go pan sobie gdzie indziej – powiada Harry. – Tu go nie ma.

– Mówię panu, że mam dla niego pracę.

– Pan? Pan nie ma dla nikogo pracy. Pan jesteś zwyczajna zaraza – przygadał mu Harry.

Właśnie wtedy wszedł ten dziadyga z siwymi włosami spadającymi aż na kołnierz, ten, co to sprzedaje takie specjalne wyroby gumowe, i prosi o ćwiartkę. Freddy nalewa mu, a on wypcha korek i z butelką pod pachą drałuje na drugą stronę ulicy.

– Co się stało z pana ręką? – pyta adwokat Harry'ego. Harry miał rękaw założony do góry i podpięty.

– Nie podobała mi się, to ją obciąłem – powiada Harry.

– Kto panu pomagał ją obciąć? – pyta dalej adwokat.

– Doktor pomagał mi ją obciąć – mówi Harry. Wypił sporo i trochę to było widać. – Trzymałem nieruchomo, a on mi ją obciął. Jakby tak obcinali ręce za to, że je ktoś trzyma w cudzych kieszeniach, pan byś już nie miał ani ręki, ani nogi.

– Co się stało, że musieli ją panu obciąć? – pyta adwokat.

– Wolnego – powiada Harry.

– Kiedy chcę wiedzieć, co się stało, że musieli amputować panu rękę, i gdzie to było.

Na to Harry:

– Odczep się pan. Wiesz pan dobrze, co się stało i gdzie to było. Radzę zamknąć twarz

i nie zawracać mi głowy.

Na to adwokat:

– Chcę z panem pomówić.

– No to mów pan.

– Nie tu, za bufetem.

– Ale ja nie chcę z panem mówić. Z pana mówienia nic dobrego nigdy nie wynikło.

Pan jesteś zaraza.

– Mam coś dla pana. Korzystną propozycję.

– No, niech tam. Wyjątkowo mogę posłuchać. I o czym będzie mowa? O Juanie?

– Nie. Nie o Juanie.

Poszli do tej salki za bufetem, gdzie są łoże, i nawet dość długo nie wracali. Przez ten czas, jak ich nie było, przyszła córka grubej Lucie z tą małą z ich domu, co z nią zawsze chodzi, usiadły przy bufecie i zamówiły coca-cole.

– Podobno kobietom nie będzie wolno wychodzić na ulicę po szóstej i pokazywać się w lokalach – mówi Freddy do córki grubej Lucie.

– Tak, słyszałam.

Na to Freddy:

– Pieskie życie zacznie się w tym mieście.

– Pieskie życie. Wystarczy, żeby dziewczyna wyszła z domu zjeść kanapkę i napić się coca-coli, a zaraz ją aresztują i każą płacić piętnaście dolarów grzywny.

– Bo oni się teraz na takich uwzięli – powiada córka grubej Lucie. – Na ludzi, którzy chcą się trochę zabawić.

– Jak się w tym mieście prędko coś nie zmieni, będzie z nami kiepsko.

Właśnie wtedy Harry i adwokat wrócili i adwokat powiada: – Przyjdzie pan?

– A może byś ich pan tu przyprowadził? – pyta Harry.

– Tu nie przyjdą. Spotkamy się na miejscu.

– Dobra – mówi Harry podchodząc do bufetu. Adwokat wyszedł.

– Czego się napijesz, Al? – pyta mnie.

– Baccardi.

– Freddy, dwa baccardi. – Potem obraca się do mnie. – Gdzie teraz pracujesz, Al?

– Dostałem pracę z funduszu bezrobocia.

– Co robisz?

– Kopiemy rowy. Wyjmujemy stare szyny tramwajowe.

– Ile zarabiasz?

– Siedem i pół dolara.

– Na tydzień?

– A coś ty myślał?

– To za co tu pijesz?

– Nie piłem, dopókiś mnie nie poczęstował – powiadam mu. Przysunął się do mnie trochę bliżej. – Chciałbyś wyjść na morze?

– Zależy jak i co.

– Pogadamy.

– Dobra.

– Chodź do samochodu – mówi. – Do widzenia, Freddy. – Oddychał trochę szybciej, jak to on zawsze, kiedy pije. Szedłem za nim chodnikiem wzdłuż jezdni, która była rozkopana, bośmy tu pracowali przy szynach cały dzień, aż na róg, gdzie stał jego samochód.

– Wsiadaj – mówi mi.

– Dokąd mielibyśmy popłynąć? – pytam.

– Nie wiem. Dowiem się.

Pojechaliśmy na Whitehead Street, a Harry ani razu się nie odezwał; na końcu ulicy skręcił w lewo, minęliśmy całą nabrzeżną część miasta aż do White Street i dalej White Street w kierunku plaży. Przez cały ten czas Harry nie otworzył ust. Wreszcie skręciliśmy na piaszczystą drogę i wyjechaliśmy na bulwar. Na bulwarze Harry zjechał na brzeg jezdni i zatrzymał samochód przy chodniku.

– Jacyś cudzoziemcy chcą wynająć kuter – powiada.

– Urząd celny zajął twój kuter – ja mu na to.

– Tamci tego nie wiedzą.

– Dokąd chcą jechać?

– Mówią, że chcą przerzucić na Kubę kogoś, kto ma tam coś do załatwienia, a nie może jechać ani statkiem, ani samolotem. Miodousty mi powiedział.

– To tak się teraz robi?

– Pytanie! Bardzo często, odkąd mieli tam u siebie rewolucję. Kupa ludzi tak się przedostała.

– Co z kutrem?

– Kuter trzeba będzie wykraść. Nie rozmontowali silników, to je uruchomię.

– Jak go wyprowadzisz z basenu?

– Jakoś wyprowadzę.

– A powrót?

– Będę się musiał nad tym zastanowić. Jak nie chcesz jechać, powiedz.

– Dlaczego nie, jeżeli można na tym zarobić.

– Słuchaj – powiada mi Harry. – Dostajesz siedem i pół dolara na tydzień. Masz troje dzieci w szkole, które od południa do wieczora są głodne. Masz rodzinę, która nie dojada, a ze mną możesz zarobić trochę pieniędzy.

– Nie powiedziałaś, ile pieniędzy. Jak człowiek ryzykuje, chce dobrze zarobić.

– Teraz nie ma takiego ryzyka, na którym by się dobrze zarabiało. Weź choćby mnie, Al. Jeździłem z gośćmi na połowy i zarabiałem dzień w dzień trzydzieści pięć dolarów, przez cały sezon. A teraz mnie postrzelili i straciłem rękę, a na dodatek kuter, bo szmuglowałem parszywy ładunek parszywej wódki, która nie była nawet warta tyle co mój kuter. Ale mówię ci, że moje dzieci nie będą głodne, a ja nie będę kopał rządowych rowów za stawkę, której nie wystarczy nawet na życie. Tak czy siak, nie mógłbym już kopać rowów. Nie wiem, kto ułożył prawa, ale wiem, że nie ma takiego prawa, które by kazało człowiekowi głodować.

– Strajkowałem. Chciałem, żeby mi podwyższyli zarobki – mówię mu.

– I wróciłeś do pracy. Ludzie powiadają, żeś strajkował, bo nie chciałeś jałmużny. A przecież pracowałeś całe życie. Prawda, Al? Nigdy nikogo nie prosiłeś o jałmużnę!

– Nie ma teraz pracy – mówię mu. – Nie ma nigdzie pracy, z której można by wyżyć.

– Dlaczego?

– Bo ja wiem?

– Ja też nie wiem – powiada. – Ale dopóki inni będą mieli co włożyć do gęby, moja rodzina też będzie jadła. Wiesz, o co im chodzi? Chcą was, Conchów, zagłodzić, żebyście się stąd wynieśli, bo wtedy zburzą wszystkie te rudery, wybudują kamienice i zrobią tu luksusową miejscowość dla turystów. Tak słyszałem, że wykupują już grunty, a jak głód wypędzi stąd biedaków i pójdą zdychać z głodu gdzie indziej, przerobią tę dziurę na raj dla turystów.

– Mówisz jak jaki radykał – powiadam mu.

– Nie jestem żaden radykał. Tylko mam już tego wszystkiego dosyć. Od dawna mam już tego dosyć.

– To, że straciłeś rękę, też ci nie poprawia humoru.

– Do diabła z moją ręką – powiada. – Jak tracisz rękę, tracisz rękę, i już. Są gorsze rzeczy niż strata ręki. Mężczyzna ma dwie ręce i jeszcze coś. Też dwie sztuki. Mężczyzna dalej jest mężczyzną, nawet jak mu zostanie tylko jedna ręka i jedno tamto. Niech to wszyscy diabli – powiada. – Nie chcę o tym mówić. – Ale zaraz dodał: – Tamte mam jeszcze oba. – Potem nacisnął starter i mówi: – Pojedziemy zobaczyć się z tymi facetami.

Pojechaliśmy dalej bulwarem, wiatr wiał, czasem mijał nas jakiś samochód, pachniało trawą morską schnącą na betonie w tych miejscach, gdzie wysoka fala przelewała się przez falochron podczas przyływu. Harry prowadził samochód lewą ręką. Lubiłem go zawsze i w dawnych czasach wypływałem z nim często na morze, ale bardzo się zmienił, odkąd stracił rękę, odkąd ten facet, co tu przyjechał z Waszyngtonu, złożył na piśmie zeznanie, że widział, jak Harry wyładowywał z kutra wódkę. Urząd celny zabrał mu wtedy kuter. Na kutrze Harry był zawsze w dobrym humorze, a bez kutra było mu cholernie źle. Teraz miał powód, żeby kuter wykraść, i chyba był z tego zadowolony. Wiedział, że mu go zabiorą z powrotem, ale mógł wpierw zarobić trochę pieniędzy. Mnie pieniądze były też potrzebne, ale nie chciałem mieć nieprzyjemności. Więc powiadam mu: – Wiesz, Harry, że nie chciałbym narazić się na jakieś większe kłopoty.

– A czy ty możesz mieć większe kłopoty, niż masz teraz? – pyta. – Czy można mieć większe kłopoty niż zdychanie z głodu?

– Nie zdycham z głodu – mówię. – Coś się tak uwziął, żeby gadać bez przerwy o tym zdychaniu?

– Ty może nie zdychasz z głodu, ale twoje dzieci na pewno – powiada.

– Odczep się – mówię mu. – Mogę z tobą pracować, ale nie chcę słuchać takiego gadania.

– Dobra, dobra. Tylko musisz być pewien, że chcesz tej pracy. Znajdę w mieście innych amatorów.

– Chcę tej pracy – powiadam. – Mówiłem ci, że chcę.

– No to głowa do góry.

– Ja ci to powinienem powiedzieć. Z nas dwóch ty mówisz jak radykał.

– A jakże, głowa do góry. Wy, Conchowie, wszyscy jesteście do siebie podobni. Żaden nie ma krzepy.

– Odkąd to nie jesteś Conchem? – pytam.

– Odkąd zjadłem pierwszy przyzwoity obiad. – Nie ma co, wrednie teraz mówił. On jeszcze jako dziecko nie miał dla nikogo litości. Ale nad samym sobą też się nigdy nie litował.

– Niech ci będzie – mówię mu.

– Wolnego, Al – on mi na to. W tej samej chwili zobaczyłem światła tego domu, do któregośmy jechali.

– Mamy się tu z nim spotkać – powiada Harry. – Trzymaj głowę na kłódkę.

– Idź do diabła.

– Wolnego, Al. – Harry skręcił na podjazd i objechał dom. Cham był z niego i gębę miał niewyparzoną, ale nie mogę powiedzieć, naprawdę go lubiłem.

Zatrzymaliśmy samochód i weszliśmy do kuchni, gdzie żona faceta, który tu mieszkał, gotowała coś na blasze.

– Dobry wieczór, Freda – zwraca się do niej Harry. – Gdzie jest Miodousty?

– W pokoju, Harry. Dobry wieczór, panie Albert.

– Dobry wieczór, pani Richards – ja jej na to. Znałem ją, jeszcze kiedy była w dzielnicy portowej, ale kilka najpracowitszych kobiet w mieście zarabiała kiedyś na ulicy, a ta tyrała teraz jak mało kto, możecie mi wierzyć.

– Jak tam żona i dzieci? – pyta mnie.

– Dziękuję, dobrze.

Przeszliśmy przez kuchnię i dalej do pokoju w głębi domu. Był tam Miodousty, adwokat, i czterej Kubańczyk; siedzieli wszyscy przy stole.

– Siadajcie – powiada po angielsku jeden z nich, ogromny chłop. Miał szeroką gębę, gruby, gardłowy głos i minę bandyty. Pił dużo, zaraz to poznałem. – Jak się pan nazywa? – pyta.

– A pan? – odciął mu się Harry.

– No dobra – powiada Kubańczyk. – Pańskie na wierzchu. Gdzie kuter?

– W basenie jachtowym.

– Kto to jest? – pyta Kubańczyk patrząc na mnie.

– Mój pomocnik – mówi Harry. Kubańczyk zaczął mi się uważnie przyglądać, a tamci trzej przyglądali się uważnie nam obu. – Ma taką minę, jakby był głodny – mówi Kubańczyk i jak nie ryknie śmiechem. Tamci trzej się nie śmieli. – Napije się pan?

– Mogę – mówi Harry.

– Co? Baccardi?

– To samo co pan.

– Pana pomocnik pije?

– Chętnie wypiję szklaneczkę – powiadam.

– Jeszcze nikt pana nie częstował – mówi dryblas. – Pytałem tylko, czy pan pije.

– Och, dałbyś spokój, Roberto – wtrącił się drugi Kubańczyk, młody chłopak, jeszcze prawie dziecko. – Czy ty zawsze musisz się zachowywać jak ostatni dzikus?

– Dlaczego zaraz dzikus? Pytałem tylko, czy pije. Jak się kogoś bierze do pracy, trzeba spytać, czy pije.

– Daj mu się napić – powiada ten młody – i pomówimy o interesach.

– Ile chcesz za wynajęcie kutra, dryblasie? – pyta Harry’ego ten z grubym głosem, który się nazywał Roberto.

– To zależy, do czego ma być wynajęty – odpowiada Harry.

– Żeby przewieźć nas czterech na Kubę.

– Dokąd na Kubie?

– Cabanas. Niedaleko Cabanas. Kawalek za Mariel. Wie pan, gdzie to jest?

– Wiem. Tylko was tam przewieźć?

– Aha. Przewieźć i wysadzić na brzeg.

– Trzysta dolarów.

– Dużo. A jakbyśmy wynajęli kuter i zagwarantowali dwa tygodnie pływania?

– Czterdzieści dolarów dziennie i półtora tysiąca do depozytu, na wypadek, jakby się coś stało z kutrem. Czy mam załatwić formalności wyjściowe?

– Nie.

– Płacicie jeszcze za benzynę i oliwę – dodał Harry.

– Damy dwieście dolarów za przewiezienie nas na miejsce i wysadzenie na brzeg.

– Nie.

– Ile pan chce?

– Powiedziałem.

– Za dużo.

– Wcale nie za dużo – mówi mu Harry. – Nie wiem, kto jesteście. Nie wiem, co robicie i kto będzie do was strzelał. Muszę dwa razy przepłynąć przez Gofsztrom, w samym środku zimy. Tak czy inaczej, ryzykuję kuter. Przewiozę was za dwieście dolarów, ale pod warunkiem, że złożycie do depozytu tysiąc dolarów gwarancji.

– Rozsądna propozycja – wtrącił Miodousty. – Bardzo rozsądna.

Kubańczycy zaczęli mówić między sobą po hiszpańsku. Ja nie rozumiałem, ale wiedziałem, że Harry rozumie.

– Zgoda – powiada wreszcie. Roberto, ten wielki. – Kiedy pan może jechać?

– W każdej chwili, począwszy od jutra wieczór.

– Może będziemy chcieli jechać dopiero pojutrze wieczór – wtrącił jeden z tamtych.

– Mnie tam wszystko jedno – powiada Harry. – Tylko żebyście mnie zawiadomili na czas.

– Kuter jest w dobrym stanie?

– No chyba – mówi Harry.

– Bardzo ładny kuter – odzywa się ten młodzik.

- Gdzie pan widział mój kuter?
- Mecenas Simmons mi go pokazał.
- Aha – mruknął Harry.
- Napij się pan – powiada jeden z tamtych. – Dużo razy był pan na Kubie?
- Kilka razy.
- Mówi pan po hiszpańsku?
- Nigdy się nie uczyłem.

Patrząc i widząc, że Miodousty, adwokat, łypie okiem na Harry'ego, ale on jest taki oszust, że woli, jak ludzie nie mówią prawdy. Kiedy przyszedł rozmówić się z Harrym co do tej roboty, też nie mógł zagadać do niego wprost. Nie, musiał udawać, że chce się zobaczyć z Juanem Rodriguezem, który jest biedny, śmierdzący i własną matkę by sprzedał, a teraz znowu siedzi, bo go Miodousty wpakował, żeby go potem bronić.

- Pan Simmons mówi dobrze po hiszpańsku – powiada Kubańczyk.
- Bo jest wykształcony.
- Umie pan nawigować?
- Umiem popłynąć na Kubę i wrócić.
- Pan jest rybakiem?
- Tak, proszę pana – odpowiada Harry.
- Jak pan łowi ryby jedną ręką? – pyta ten z grubym głosem.
- Dwa razy szybciej niż dwiema – powiada Harry. – Chciałby się pan jeszcze czegoś dowiedzieć?

– Nie.

Kubańczycy gadali coś do siebie po hiszpańsku.

- To ja już pójdę – mówi Harry.
- Dam panu znać co do kutra – obiecał Miodousty.
- Potrzebne będą pieniądze na wydatki – przypomniał mu Harry.
- Zajmę się tym jutro.
- No to do widzenia.
- Do widzenia – odpowiedział młody Kubańczyk, ten sympatyczny. Ten z grubą gębą nic nie powiedział. Było ich tam jeszcze dwóch, z twarzy podobnych do Indian, ale ci ani razu się nie odezwali, tylko tyle, że mówili po hiszpańsku do tego Roberto.
- Spotkamy się później – powiada Miodousty.
- Gdzie?
- U Freddy'ego.

Wyszliśmy i w kuchni Freda spytała: – Jak się miewa Maria?

– Dziękuję, teraz dobrze – powiada Harry. – Teraz czuje się już dobrze.

Wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy z powrotem na bulwar. I Harry ani razu się do mnie nie odezwał. Widać było, że mu coś chodzi po głowie.

– Chcesz, żeby cię odwieźć do domu? – spytał.

– Owszem.

– Mieszkasz teraz za miastem?

– Tak. Co z tą jazdą?

– Nie wiem – powiada. – Nie wiem, czy w ogóle gdzieś pojedziemy. Do jutra!

Wysadził mnie przed domem. Wchodzę, ale zanim zdążyłem otworzyć drzwi, moja stara napadła na mnie z pyskiem, że mnie tak długo nie było, że piłem i że się spóźniłem na kolację. Spytałem ją, jakim cudem mogłem pić, kiedy nie mam pieniędzy, ale ona na to, że pewnie piłem na kredyt. To ją spytałem, co ona sobie myśli – że niby kto mi da na kredyt, odkąd dostałem pracę z funduszu bezrobocia, ale ona wrzasnęła, że bym na nią nie chuchał, bo śmierdzą wódką, i że bym siadł do stołu. To siadłem. Dzieciaków nie było w domu, poszły na mecz baseballowy, więc siedziałem sam i ona przyniosła kolację, i nie odezwała się do mnie ani słowem.

ROZDZIAŁ II

Harry

Wolałbym się nie pchać w ten interes, ale co robić? Człowiek nie ma teraz wyboru. Powiedzmy, że na to nie pójdę. No i co dalej? Nie szukam takich okazji, ale jak trzeba coś zrobić, to trzeba, i już. Nie powinienem chyba brać Alberta. Miękki facet, za to porządny i pierwsza klasa na morzu. Tchórz nawet nie jest, ale nie wiem, czy dobrze robię, że go biorę. Nie mogę brać Murzyna czy jakiegoś pijusa. Muszę mieć kogoś, na kim można polegać. Jak nam dobrze pójdzie, moja rzecz, żeby mu się to opłaciło. Ale nic mu nie powiem, boby się nie zgodził, a ja muszę mieć kogoś do pomocy. Lepiej byłoby, żeby to zrobił sam, zawsze wolę robić wszystko sam, ale tym razem nie dałbym chyba rady. Tak, byłoby dużo lepiej, żeby to zrobił sam. Dla Alberta lepiej, żeby nic o tym nie wiedział. Jest jeszcze Miodousty. Ten na pewno wie o wszystkim. Swoją drogą oni musieli to wziąć pod uwagę. Musiało im to przyjść do głowy. A może Miodousty jest na tyle głupi, że się nie połapał, co oni chcą zrobić? Ciekawe. Zresztą kto wie, może oni wcale nie chcą tego robić. Może wcale nie mają takiego zamiaru. Tylko że to na nich wygląda, a zresztą słyszałem wyraźnie to słowo. Jeżeli to zrobią, to chyba przed samym zamknięciem, bo inaczej wyślą za nimi samolot straży przybrzeżnej z Miami. Ciemno robi się teraz o szóstej. Samolot nie przyleci z Miami prędzej niż w godzinę. Jak się zrobi ciemno, będą bezpieczni. No więc jeżeli mam ich przewieźć, muszę się dobrze zastanowić, co z kutrem. Nie będzie go trudno wyprowadzić, ale jak go wyprowadzę dzisiejszej nocy, mogą zauważyć, że znikł, i będą go szukać. W każdym razie zrobią nielichy raban. Ale z drugiej strony muszę go dzisiaj wyprowadzić, dzisiaj albo wcale. Wyprowadzę go z przyływem i gdzieś ukryję. Zobaczą, co mu brak, jeżeli mu coś brak, bo może jaką część wyjęli. Muszę zatankować benzynę i wziąć wodę do chłodnicy. Nie ma co, czeka mnie cholerna robota tej nocy. Jak go już ukryję, Albert podwiezie ich motorówką. Może motorówką Waltona. Mógłbym ją wynająć. Albo Miodousty mógłby ją wynająć. To nawet lepiej. Miodousty pomoże mi wyprowadzić dzisiejszej nocy kuter. On się najlepiej do tego nadaje. Bo głowę dam, że co do Miodoustego, to oni już wszystko z góry uplanowali. Powiedzmy, że to samo planują dla mnie i Alberta. Czy któryś z nich wyglądał na żeglarza? Czy któryś z nich sprawiał takie wrażenie, jakby był żeglarzem? Zaraz, muszę się zastanowić.

Może. Ten sympatyczny. Tak, nie jest wykluczone, że ten młody. Muszę to jakoś wywąchać, bo jeżeli oni postanowili, że będą sobie radzili beze mnie i bez Alberta od samego początku, wtedy nie mam żadnych widoków. Prędzej czy później zechcą się nas pozbyć. Ale w Golsztromie będzie czasu do cholery i trochę. A ja cały czas wysilam mózgownicę. Cały czas myślę. Nie mogę się pomylić. Ani razu. Nie mogę zrobić ani jednego głupstwa. No tak, mam teraz o czym myśleć. Mam o czym myśleć i co robić, oprócz tego, że ciągle myślę, jak się to wszystko skończy. Jak się skończy ta cała cholerna sprawa. Kiedy oni pójdą już na całego. Kiedy zagram o tę moją stawkę. Kiedy będę miał tę jedną jedyną marną szansę. Zamiast siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak wszystko diabli biorą. Bez kutra, którym bym mógł zarabiać na życie. Ten Miodousty. Nie wie, w co się wpakował. Nie ma pojęcia, czym to wszystko pachnie. Żeby tylko przyszedł niedługo do tego Freddy'ego. Tyle mam roboty dzisiaj w nocy. Muszę coś zjeść.

ROZDZIAŁ III

Miodousty przyszedł do baru koło wpół do dziesiątej. Zaraz było widać, że mu tam w domu u Richarda nie żalowali wódki, bo jak pije, robi się pewny siebie, a przyszedł cholernie pewny siebie.

– No i jak tam, mistrzu? – spytał Harry’ego.

– Sam pan jesteś mistrz – powiedział Harry.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, mistrzu.

– Gdzie? W kancelarii adwokackiej za bufetem? – odciął się Harry.

– Tak. Freddy, czy jest ktoś w salce za bufetem?

– Od kiedy wprowadzili to prawo, nikogo nigdy nie ma. Niech pan powie, jak długo oni będą męczyli ludzi tą szóstą godziną?

– Mógłby mi pan powierzyć załatwienie tej sprawy – powiada Miodousty.

– Cholerę panu powierzę – mówi Freddy. Miodousty i Harry poszli do salki za bufetem, tam, gdzie są łóżka i gdzie stoją skrzynki z pustymi butelkami.

Pod sufitem paliła się tylko jedna żarówka i Harry zajrzał kolejno do wszystkich łóżek, żeby się upewnić, czy są puste.

– No i jak? – spytał.

– Chcą kuter na pojutrze, późnym popołudniem – odparł Miodousty.

– Co oni mają zamiar zrobić?

– Zna pan hiszpański? – spytał Miodousty.

– Aleś ich pan o tym nie uprzedził?

– Nie. Trzymam z panem. To jasne.

– Aha. Rodzoną matkę byś pan okradł.

– No, dość tego. Może nie damę panu dobrej roboty?

– Od kiedyś się pan zrobił taki skurwysyn?

– Niech pan posłucha. Muszę mieć pieniądze. Muszę się stąd wynieść. W tym mieście ziemia pali mi się pod nogami. Pan to dobrze wie.

– Kto tego nie wie?

– Pan pamięta, jak oni zdobywali pieniądze na tę rewolucję. Porywali ludzi, brali okup i tak dalej.

– Pamiętam.

– Z tym jest tak samo. Robią to w imię dobrej sprawy.

– Aha. Tylko że to się dzieje tutaj. Tutaj, gdzie się pan urodził. Zna pan wszystkich, co tam pracują.

– Nie zrobią nikomu nic złego.

– Takie typy?

– Myślałem, że pan ma *cojones*.

– Mam *cojones*. Niech się pan nie martwi o moje *cojones*. Tylko że ja mam zamiar żyć tutaj dalej.

– Ja nie.

„Chryste – pomyślał Harry. – Sam to powiedział.”

– Muszę się stąd wydostać – ciągnął Miodousty. Kiedy wyprowadzi pan kuter?

– Dziś w nocy.

– Kto panu pomoże?

– Pan.

– Gdzie się go postawi?

– Tam gdzie zawsze.

Nie mieli żadnych trudności z wyprowadzeniem kutra z basenu. Sprawa była tak prosta, jak to Harry przewidywał. Nocny strażnik robił obchód co godzinę, a resztę czasu spędzał przy zewnętrznej bramie starego Doku Marynarki. Przyплыли do basenu czółnem i odwiązali cumę kutra; był odpływ, więc fala sama go wyniosła, a holujące czółno tylko nadawało kierunek. Już na zewnątrz, kiedy kuter dryfował w kanale, Harry sprawdził silniki i przekonał się, że rozłączyli tylko styki w delku. Sprawdził benzynę, było prawie sto pięćdziesiąt galonów. Nie wytoczyli ani kropli i w bakach znajdowało się tyle, ile miał wracając z tamtej ostatniej przeprawy. Wziął wtedy pełne baki, a zużył mało, bo był sztorm i płynęli bardzo powoli.

– Mam w domu pełen zbiornik benzyny – powiedział. – Należę do butli i wezmę, ile się da, na samochód, a jak będzie trzeba, Albert przywiezie więcej. Postawię kuter w odnodze zatoki, tam, gdzie się przecina z drogą. Tamci będą mogli podjechać samochodem.

– Chcą, żeby pan czekał przy Molo Tragarzy.

– Jak ja mogę trzymać ten kuter przy molo?

– Nie może pan. Ale nie myślę, żeby oni się zgodzili na jazdę samochodem.

– W każdym razie na dzisiejszą noc go tam wprowadzę. Napełnię baki i zrobię, co trzeba, a potem w razie czego zmienię miejsce. Wynajmie pan motorówkę i podwiezie ich do kutra. Teraz muszę go tam postawić na kotwicy. Mam cholernie dużo roboty. Pan wróci

łodzią na brzeg, weźmie pan samochód i poczeka przy moście. Będę na drodze za jakieś dwie godziny. Zostawię kuter i wyjdę na drogę.

– Przyjadę po pana – powiedział Miodousty. Harry zmniejszył gaz, tak że kuter sunął teraz cicho po wodzie; potem zatoczył łuk i przyholował czółno blisko brzegu, naprzeciwko miejsca, gdzie widać było światła stojącego na kotwicy szkunera zakładającego kable. Wyłączył sprzęgło i pomógł Miodoustemu przesiąść się do łodzi.

– Za jakie dwie godziny – powiedział.

– Dobrze – odparł Miodousty.

Płynąc powoli w ciemności i omijając z daleka światła nabrzeży, Harry siedział przy sterze i myślał: „Miodousty nieźle się napracuje, żeby zarobić te pieniądze. Ciekawe, co on sobie wyobraża – że ile dostanie? Ciekawe, jak on się spiknął z tymi facetami? Zdolny był chłopak i miał kiedyś ładną przyszłość. I adwokat z niego dobry. Ale zimno mi się zrobiło, jak usłyszałem, że sam to o sobie mówi. Sam się skazał, nie ma co. To zabawne, jak człowiek się czasem wygada. Strach mnie obleciał, kiedy usłyszałem, że się tak sam skazuje”.

ROZDZIAŁ IV

W domu nie zapalił światła, zdjął buty w hallu na dole i w skarpetkach wszedł na schody nie przykryte chodnikiem. Rozebrał się i położył do łóżka w samym podkoszulku, i dopiero wtedy obudziła się jego żona. Spytała w ciemności: – Harry, to ty? – a on odpowiedział: – Śpij, staruszeko.

– Harry, co to wszystko znaczy?

– Wychodzę w morze.

– Z kim?

– Z nikim. Może wezmę Alberta.

– Na czyim kutrze?

– Zabrałem im mój.

– Kiedy?

– Dzisiaj wieczorem.

– Zamkną cię, Harry.

– Nikt nie wie, że go wziąłem.

– Gdzie jest?

– Schowany.

Leżąc nieruchomo w łóżku poczuł na twarzy jej wargi i potem rękę dotykającą ciała; obrócił się cały do niej.

– Chcesz?

– Tak. Zaraz.

– Spałam. Pamiętasz, jak robiliśmy to przez sen?

– Słuchaj, czy ta moja ręka ci nie przeszkadza? Czy nie jest ci nieprzyjemnie z tym kikutem?

– Głuptas jesteś. Lubię twoją rękę. Lubię w tobie wszystko. Połóż ją tu. No, połóż. Lubię to, słowo daję.

– Wygląda jak łapa żółwia.

– Żółw to ty nie jesteś. Powiedz, czy one naprawdę robią to przez trzy dni? Kochają się przez trzy dni?

– Naprawdę. Słuchaj, bądź ciszej. Obudzimy dziewczyny.

– One nie wiedzą, co ja mam. Nigdy nie rozumieją, co ja mam. Och, Harry. Tak

dobrze. Och, mój kochany.

– Poczekaj trochę.

– Nie chcę czekać. No, Harry. O, tak. Tak. Słuchaj, robiłeś to kiedyś z Murzynką?

– Ma się rozumieć.

– Jak to jest?

– Jak z samicą wieloryba.

– Śmieszny jesteś. Harry, tak bym chciała, żebyś nie musiał odchodzić. Tak bym chciała, żebyś nigdy ode mnie nie odchodził. Powiedz, z kim ci było najlepiej?

– Z tobą.

– Kłamiesz. Zawsze mi kłamiesz. O, Harry. Harry. Harry.

– Nie kłamię. Z tobą jest mi najlepiej.

– Jestem stara.

– Nigdy nie będziesz stara.

– Miałam tamto.

– Jak kobieta jest coś warta, to nie ma znaczenia.

– Harry, teraz. Teraz. Daj tu tę rękę. Trzymaj ją. Trzymaj. Trzymaj.

– Za bardzo hałasujemy.

– Mówimy szeptem.

– Muszę wyjść o świcie.

– Śpij. Ja cię obudzę. Po twoim powrocie zabawimy się. Pojedziemy do Miami, do hotelu, tak jak kiedyś. Zupełnie jak kiedyś. Do hotelu, gdzie nikt nas nie zna. A może pojedziemy do Nowego Orleanu?

– Może. Słuchaj, Maria, muszę teraz spać.

– Pojedziemy do Nowego Orleanu?

– Dlaczego nie? Ale teraz muszę spać.

– Śpij. Jesteś moje złote kochanie. Śpij. Obudzę cię. Nie bój się.

Zasnął, leżał z kikutem ręki wyciągniętym na poduszce, a ona długi czas mu się przyglądała. Widziała jego twarz w padającym przez okno świetle latarni ulicznej. „Mam szczęście – myślała. – Te dziewczyny. Nie wiedzą, co im się trafi. Ja wiem, co mam, i wiem, co miałam. Poszczyściło mi się. Powiedział, że jak łapa żółwia. Dobrze, że to ręka, a nie noga. Nie chciałabym, żeby on nie miał nogi. Dlaczego musiał stracić tę rękę? Swoją drogą to śmieszne, ale mi to nie przeszkadza. Nie ma w nim nic takiego, czego bym nie lubiła. Poszczyściło mi się. Nie ma takiego drugiego mężczyzny. Jak ktoś nie miał z mężczyznami do czynienia, to tego nie wie. Ja miałam. Moje szczęście, że na niego trafiłam. Ciekawe, czy

te żółwie odczuwają to samo co my? Ciekawe, czy one cały czas czują to samo? A może ją to tylko boli, tę samicę? Co za bzdury przychodzą mi do głowy. Kiedy tak śpi, wygląda zupełnie jak dziecko. Nie będę wcale spała, żeby go obudzić na czas. Chryste, mogłabym to robić całą noc, jakby mężczyzna mógł. Robiłabym to całą noc i nigdy bym nie spała. Nigdy, nigdy, tak, nigdy. Tak. Nigdy, nigdy, nigdy. Swoją drogą, jak się nad tym zastanowić – ja, w moim wieku. Nie jestem stara. Powiedział, że jestem ciągle do rzeczy. Czterdzieści pięć lat to znowu nie tak dużo. Jestem od niego dwa lata starsza. Jak on śpi. Jak on śpi, zupełnie jak dziecko.”

Na dwie godziny przed świtem byli już w garażu, napełniali butle benzyną, korkowali je i ustawiali z tyłu w samochodzie. Harry miał przyczepiony paskami do kikuta prawej ręki hak i dość zwinnie przesuwiał i podnosił oplecione wikliną butle.

– Nie chcesz śniadania?

– Jak wrócę.

– Napijesz się kawy?

– Masz gotową?

– Naturalnie. Nastawiłam, zanimśmy wyszli.

– Przynieś tu.

Przyniosła kawę, wypił ją w ciemności, siedząc przy kierownicy. Wzięła od niego filiżankę i odstawiła na półkę w garażu.

– Pojadę z tobą, pomogę ci przenosić butle – powiedziała.

– Dobrze – odparł. Usiadła obok niego, rosła kobieta o długich nogach, dużych dłoniach, szerokich biodrach, wciąż przystojna, w kapeluszu wsuniętym głęboko na tlenione blond włosy. Poranek był zimny i ciemny, jechali drogą podmiejską pośród gęstej mgły, która zawisła nad niziną.

– Czym się martwisz, Harry?

– Nie wiem. Zwyczajnie, jestem zdenerwowany. Słuchaj, czy ty chcesz, żeby ci włosy odrosły?

– Chyba zapuszczę, dziewczyny mi dokuczają.

– Niech idą do diabła. Masz mieć włosy takie jak teraz.

– Naprawdę chcesz?

– Tak – powiedział. – Podobają mi się takie, jakie są.

– Nie uważasz, że jestem za stara?

– Wyglądasz lepiej niż one wszystkie trzy razem wzięte.

- W takim razie pójdę do fryzjera. Jak chcesz, mogę je jeszcze bardziej rozjaśnić.
- Co to obchodzi dziewczyny, co ty robisz? – spytał Harry. – Nie chcę, żeby ci się naprzykrzały.
- Wiesz, jakie one są. Wszystkie smarkule są takie same. Słuchaj, jak ci ta droga dobrze pójdzie, pojedziemy do Nowego Orleanu. Dobrze?
- Do Miami.
- Zgoda. Chociażby do Miami. A one zostaną w domu.
- Najpierw muszę wrócić z Kuby.
- Nie martwisz się już?
- Nie.
- Wiesz, prawie cztery godziny leżałam i myślałam o tobie.
- Dobra z ciebie baba.
- Samo myślenie o tobie mnie podnieca.
- Słuchaj, musimy przelać teraz tę benzynę do baków – powiedział Harry.

ROZDZIAŁ V

O godzinie dziesiątej Harry był w barze u Freddy'ego i wraz z kilku innymi stał przy bufecie, a dwaj celnicy dopiero co wyszli. Pytali go o kuter, ale powiedział, że nic nie wie o kutrze.

– Coś pan robił wczoraj wieczorem? – spytał celnik.

– Byłem tu, potem w domu.

– Do którejś pan tu był?

– Do zamknięcia lokalu.

– Widział pana ktoś?

– Kupa ludzi go widziała – wtrącił Freddy.

– O co chodzi? – spytał Harry. – Może wam przyszło do głowy, że ukradłem swój własny kuter? A co ja bym z nim robił?

– Pytałem tylko, gdzieś pan był wczoraj wieczorem. I po co się zaraz denerwować?

– Nie denerwuję się. Denerwowałem się, kiedyście mi zabierali kuter, chociaż nie było żadnych dowodów, że szmuglowałem wódkę.

– Było zeznanie na piśmie, pod przysięgą – powiedział celnik. – Nie ja je złożyłem. Pan wie, kto złożył.

– No, już dobrze – odparł Harry. – Tylko nie mów pan, że się denerwuję, jak mnie pan pytasz. Wolę, żeby kuter był u was. W ten sposób mam przynajmniej widoki, że go dostanę z powrotem. Tak nie mam żadnych widoków.

– Pewnie – przyznał celnik.

– No, a teraz zjeżdżaj pan stąd – powiedział Harry.

– Radzę się nie stawiać, bo inaczej zrobię, żeby się panu raz na zawsze odechciało stawiania.

– Po piętnastu latach – powiedział Harry.

– Przez te piętnaście lat specjalnie się pan nie stawiał.

– Nie. Ani nie siedziałem w mamrze.

– Ale pan siądziesz, jak się będziesz stawiał.

– Wolnego – powiedział Harry. Właśnie w tym momencie wszedł ten stuknięty Kubańczyk, co jeździ na taksówce, przyprowadził jakiegoś gościa z lotniska i Duży Rodger go pyta:

– Hayzooz, podobno dziecko ci się urodziło?
– A jakże, proszę pana – mówi z dumą Hayzooz.
– Kiedyś ty się ożenił, człowieku? – pyta dalej Rodger.
– W zeszłym miesiącu. Tym, co był przed tym, co jest teraz. Był pan na ślubie?
– Nie – powiada Rodger. – Nie byłem na ślubie.
– Żałuj pan, że nie byłeś. Zobaczyłbyś cholernie fajny ślub. Dlaczegoś pan nie przyszedł?

– Bo mnie nie zaprosiłeś.
– A, tak – mówi Hayzooz. – Zapomniałem. Nie zaprosiłem... Dostał pan, co pan chciał? – pyta tego obcego.
– Tak, chyba tak. Czy to jest najlepsze baccardi, jakie pan ma na składzie?
– Tak, proszę pana – powiada Freddy. – Dałem panu prawdziwe *carta del oro*.
– Słuchaj, Hayzooz, skąd ci przyszło do głowy, że to dziecko jest twoje? – pyta dalej Rodger. – To nie jest twoje dziecko.

– Jak to nie moje dziecko? Coś pan? Jezu Chryste, ja panu pokażę, jak pan będzie tak mówił! Nie moje dziecko! Jak kto kupuje krowę, to cielę nie jest jego? To jest moje dziecko. Chryste, jeszcze jak! Moje dziecko. Należy do mnie. No chyba.

Wyszedł z obcym i z butelką baccardi i wszyscy śmieli się z Rodgera, słowo daję. Ten Hayzooz to typ nie z tej ziemi, słowo daję. On i taki drugi Kubańczyk, Sweetwater.

Właśnie wtedy wszedł Miodousty, adwokat. Powiedział do Harry'ego: – Straż celna poszła przed chwilą po pana kuter.

Harry spojrzał na niego i twarz miał taką, jakby go chciał zamordować. Miodousty ciągnął tym samym bezbarwnym tonem: – Ktoś jechał taką wysoką ciężarówką WPA, zobaczył kuter schowany w mangrowcach i zatelefonował do urzędu celnego z budowy obozu w Boca Chica. Spotkałem przed chwilą Hermana Frederichsa.

Harry nic nie powiedział, ale ten morderczy wyraz znikł mu z twarzy i oczy, jak je otworzył, miał znowu normalne. Potem zwrócił się do Miodoustego: – Pan to zawsze o wszystkim usłyszysz, co?

– Myślałem, że ta wiadomość pana zainteresuje – powiedział Miodousty.
– Ani mnie to ziębi, ani grzeje – odparł Harry. – Powinni byli lepiej pilnować kutra.
Stali obaj przy bufecie i nie mówili więcej do siebie, dopóki Duży Rodger i reszta nie opuścili baru. Wtedy poszli do salki za bufetem.

– Pan jesteś zaraza – powiedział Harry. – Zapowietrzasz pan wszystko, do czego się zbliżysz.

– To moja wina, że go zobaczyli z ciężarówki? Pan wybrał miejsce. Pan schował swój kuter.

– Zamknij się pan – warknął Harry. – Widział kto kiedy dawniej takie wysokie ciężarówki? To była moja ostatnia okazja uczciwego zarobku. Ostatnia okazja zarobienia pieniędzy na kutrze.

– Natychmiast pana o tym zawiadomiłem.

– Pan ciągniesz jak szakal do padliny.

– No, dość już – powiedział Miodousty. – Coś im się zmieniło i chcą jechać dzisiaj późnym popołudniem.

– Niech sobie jadą.

– Są czymś wyraźnie zaniepokojeni.

– O której chcą jechać?

– O piątej.

– Postaram się o kuter. Zawiozę ich choćby do samego piekła.

– To nawet niezła myśl.

– Zejdź pan z tego tematu. Zamknij pan twarz, bo inaczej znowu zepsujesz wszystko mówieniem.

– Posłuchaj, ty zbój – powiedział Miodousty. – Staram ci się pomóc, daję ci okazję do...

– Dla mnie pan jesteś zaraza. Mówiłem, żebyś się pan zamknął. Pan jesteś zaraza dla wszystkich. Zapowietrzasz pan wszystkich, co się do pana zbliżą.

– Dość już, ty zbój.

– Wolnego – powiedział Harry. – Muszę się teraz zastanawiać. Dotąd miałem do myślenia tylko o jednej rzeczy i jak ją całą obmyśliłem, to się okazało, że mam znowu co innego do obmyślenia.

– Może pomóc?

– Niech pan tu przyjdzie o dwunastej i przyniesie pieniądze na gwarancję za kuter.

W drzwiach spotkali Alberta. Podszedł do Harry'ego.

– Żałuję, Albert, ale nie mam dla ciebie roboty – powiedział Harry. To jedno zdążył już postanowić.

– Pojadę tanio.

– Naprawdę żałuję – powtórzył Harry – ale nie będziesz mi potrzebny.

– Żaden sensowny facet nie pojedzie tak tanio jak ja.

– Jadę sam.

– Nie możesz jechać sam na Kubę.

– Zamknij gębę – powiedział Harry. – Co ty o tym wiesz? Chyba nie uczą cię w funduszu bezrobocia, co i jak powinienem robić?

– Idź do diabła!

– Może pójdę – odparł Harry. Każdy, kto by na niego spojrział, zaraz by zrozumiał, że myśli i nie chce, żeby mu przeszkadzano.

– Chciałbym z tobą pojechać – powiedział Albert.

– Nie mam dla ciebie roboty. Idź sobie, dobrze?

Albert wyszedł, a Harry stał przy bufecie i patrzył na pięciocentowy automat do gry, na dwa dziesięciocentowe automaty, jeden dwudziestopięciocentowy i na litografię „Ostatniej reduty generała Custer”, jakby ją widział pierwszy raz w życiu.

– Dobrze Hayzooz przygadał Dużemu Rodgerowi o tym dziecku, co? – spytał Freddy kładąc szklanki po kawie do kubła z mydlinami.

– Daj mi paczkę Chesterfieldów – powiedział Harry. Przycisnął papierosy kciukiem do boku, otworzył paczkę z jednej strony, wyjął papierosa, wsadził go sobie do ust, a potem wpuścił paczkę do kieszeni i zapalił.

– W jakim stanie jest twój kuter, Freddy? – spytał.

– Dopiero co był na przeglądzie w stoczni – odparł Freddy. – W dobrym stanie.

– Wynająłbyś go?

– Zależy, na jaki rejs.

– Kuba.

– Tylko jak będzie złożona do depozytu równowartość w dolarach.

– Ile jest wart?

– Tysiąc dwieście dolarów.

– Wynajmę go – powiedział Harry. – Starczy ci moje słowo?

– Nie – odparł Freddy.

– Dam ci dom pod zastaw.

– Nie chcę twojego domu. Chcę tysiąc dwieście dolarów gwarancji.

– Dobra – zgodził się Harry.

– To przynieś gotówkę – powiedział Freddy.

– Jak przyjdzie Miodousty, każ mu na mnie poczekać! – rzucił Harry wychodząc.

ROZDZIAŁ VI

W domu Maria i dziewczyny siedziały przy obiedzie.

– Dzień dobry, tatku! – zawołała najstarsza z córek. – Nareszcie tatko przyszedł.

– Co masz do jedzenia? – spytał Harry.

– Jest pieczeń – odparła Maria.

– Podobno ktoś ukradł twój kuter, tatku.

– Już go znaleźli.

Maria spojrzała na niego.

– Kto go znalazł?

– Straż celna.

– Och, Harry – powiedziała współczująco.

– A to nie lepiej, tatku, że znaleźli twój kuter? – spytała młodsza córka.

– Nie mów z ustami pełnymi jedzenia – skarcił ją Harry. – Gdzie jest mój obiad? Na co czekasz?

– Już daję.

– Spieszę się – powiedział. – Wy, smarkate, zjedzcie prędzej i wyjdźcie. Muszę porozmawiać z matką.

– Tatku, mógłbyś nam dać na kino?

– Możecie iść na pływalnię. Tam się nie płaci.

– Och, tatku, na pływalnię jest za zimno i my mamy taką ochotę pójść do kina.

– No, dobrze, dobrze – zgodził się Harry.

Gdy dziewczyny wyszły, powiedział do Marii: – Pokrajesz mi?

– Naturalnie, kochanie.

Pokrajała mięso na małe kawałki, jak dla dziecka.

– Dziękuję – powiedział. – Masz ze mną cholernie dużo zawracania głowy. Powiedz, te dziewczyny nie bardzo nam się udały?

– Nie bardzo, Harry.

– Ciekawe, że nie mogliśmy mieć chłopca.

– To dlatego, że jesteś taki mężczyzna. Wtedy zawsze rodzą się dziewczyny.

– Nie jestem żaden taki mężczyzna – powiedział Harry. – Słuchaj, jadę na parazywy rejs.

– Opowiedz mi, jak było z kutrem.

– Zobaczyli go z ciężarówki. Z wysokiej ciężarówki.

– Psiakrew.

– Gorzej. Gównno.

– Harry, nie wyrażaj się tak w domu.

– Ty w łóżku używasz gorszych słów.

– To co innego. Nie chcę, żeby mi ktoś mówił g... przy stole.

– Gównno.

– Och, kochanie, jesteś zdenerwowany.

– Nie – odparł Harry. – Tylko myślę.

– Obmyślisz wszystko, żeby było dobrze. Mam do ciebie zaufanie.

– Ja też mam do siebie zaufanie. To jedno mi jeszcze zostało.

– Chcesz mi o tym powiedzieć?

– Nie. Tylko pamiętaj, cokolwiek usłyszysz, nie martw się.

– Nie będę się martwiła.

– Teraz słuchaj, Maria. Idź na strych i przynieś mi ze schowka pistolet Thompsona. Zajrzyj do tej drewnianej skrzynki z nabojami i sprawdź, czy wszystkie magazynki są pełne.

– Nie bierz tego.

– Muszę.

– Czy przynieść ci pudełko z nabojami?

– Nie. I tak nie mógłbym ładować magazynków. Mam cztery magazynki.

– Kochanie, nie jedziesz chyba na taki rejs?

– Jadę na paskudny rejs.

– O Boże – powiedziała. – O Boże, że też musisz to robić.

– Idź, przynieś pistolet. Daj mi kawy.

– Dobrze – odparła Maria. Pochyliła się i przez stół pocałowała go w usta.

– Zostaw mnie teraz. Muszę pomyśleć.

Siedząc przy stole objął wzrokiem pianino, kredens, radio, obraz zatytułowany „Poranek wrześniowy”, obrazki amorków trzymających łuki nad głowami, lśniący stół z prawdziwego dębu, lśniące krzesła z prawdziwego dębu, firanki w oknie i myślał: „Czy ja mam jakie szanse, żeby się nacieszyć tym swoim domem? Dlaczego teraz jest mi gorzej, niż kiedy zaczynałem? Nawet i to wszystko diabli wezmą, jeżeli nie rozegram tej sprawy jak należy. Pewnie, że diabli wezmą. Poza tym domem nie mam w majątku nawet sześćdziesięciu dolarów, ale zagram o tę stawkę. Niech diabli wezmą te dziewczyny. Starej i mnie nie udało

się sfabrykować nic lepszego. Ciekawe, może chłopcy, których miała mieć, wyszli z niej, zanim ją poznałem?”

– Masz, przyniosłam. – Maria trzymała pistolet za taśmę futerału. – Wszystkie są pełne.

– Muszę już iść – powiedział Harry.

Wziął od niej i wyważył w ręce masywny ciężar rozmontowanego pistoletu w płóciennym, nasyconym oliwą pokrowcu.

– Do widzenia – powiedziała Maria.

– Do widzenia, staruszko.

– Nie będę się martwiła. Ale proszę cię, uważaj.

– Ty bądź rozsądna.

– O, Harry – powiedziała przyciskając go mocno do siebie.

– Puść mnie. Muszę iść.

Poklepał ją po plecach kikutem ręki.

– Ta twoja żółwia łapa – powiedziała. – Och, Harry, bądź ostrożny.

– Puść mnie. Do widzenia, staruszko.

– Do widzenia, Harry.

Patrzyła na niego, jak wychodził z domu – wysoki, szeroki w ramionach, o prostych plecach i wąskich biodrach. „Rusza się wciąż jak jakie zwierzę – pomyślała Maria. – Tak zwinnie i lekko, i swobodnie. I jeszcze wcale nie jest stary.” Kiedy wsiadł do samochodu, widziała jego jasne, spłowiałe od słońca włosy, twarz o wystających mongolskich kościach policzkowych, o wąskich oczach, złamanym nosie, o szerokich ustach i zaokrąglonym podbródku. Wsiadając do samochodu uśmiechnął się do niej i wtedy Maria zaczęła płakać. „Ta jego cholerna twarz – pomyślała. – Ile razy spojrzę na tę jego cholerną twarz, zaraz chce mi się płakać.”

ROZDZIAŁ VII

W barze u Freddy'ego było troje turystów i Freddy im usługiwał: bardzo wysoki, chudy mężczyzna, szeroki w ramionach, ubrany w szorty, opalony, w okularach z grubymi szklami, z krótko przyciętym płowym wąsikiem. Kobieta w jego towarzystwie miała jasne kręcone włosy obcięte po męsku, brzydką cerę, twarz i figurę zapaśniczki. Ona także ubrana była w szorty.

– Och, niech pana dunder świśnie – mówiła właśnie do trzeciego turysty, mężczyzny o czerwonej, trochę jakby nabrzmiałej twarzy, rudawym wąsiku, w płóciennej czapce z zielonym celuloidowym daszkiem; kiedy się odzywał, poruszał dziwacznie wargami, jak gdyby jadł coś gorącego.

– Jestem oczarowany – powiedział mężczyzna z zielonym daszkiem. – Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś używał tego wyrażenia. Zdawało mi się, że jest to zwrot przestarzały, że spotyka się go tylko w... hm... pismach humorystycznych, ale nie słyszy w rozmowie.

– Niech pana dunder świśnie, dwa razy – powtórzyła zapaśniczka, wdzięcząc się nagle i pokazując mu swój krościasty profil.

– Zachwycające – powiedział mężczyzna z zielonym daszkiem. – Pani to prześlicznie wymawia. Zwrot pochodzi chyba z Brooklynu?

– Niech pan nie zwraca na nią uwagi. To moja żona – wtrącił wysoki turysta. – Przedstawiliście się już sobie?

– Niech go dunder świśnie, dwa razy – powtórzyła kobieta. – Jak się pan ma?

– Całkiem nieźle – odparł ten z zielonym daszkiem. – A pani?

– Ona ma się fenomenalnie – powiedział mąż. – Wystarczy na nią spojrzeć.

W tym momencie wszedł Harry i żona wysokiego turysty zawołała: – Och, jaki on cudowny! Takiego mi trzeba. Papciu, kup mi go.

– Mógłbym z tobą chwilę porozmawiać? – zwrócił się Harry do Freddy'ego.

– Naturalnie. Niech się pan nie krępuje i wali prosto z mostu – wtrąciła żona turysty.

– Zamknij się, kurwo – powiedział Harry. – Chodź za bufet, Freddy.

W salce za bufetem Miodousty siedział przy stole.

– Cześć, szefie – przywitał Harry'ego.

– Zamknij się pan – odparł Harry.

– Słuchaj no – odezwał się Freddy. – Żeby mi tego więcej nie było. Nie wolno ci

używać takich słów do moich klientów. W przyzwoitym zakładzie nikt nie mówi kobiecie, że jest kurwa.

– Jest kurwa – powtórzył Harry. – Słyszałeś, co mi powiedziała?

– Możliwe, ale to jeszcze nie powód, żeby jej to mówić w twarz.

– No, już dobrze. Przyniósł pan gotówkę?

– Oczywiście – odparł Miodousty. – Dlaczego nie miałbym przynieść? Nie mówiłem, że przyniosę?

– Niech pan pokaże.

Adwokat podał mu pieniądze. Harry przeliczył. Było dziesięć banknotów po sto dolarów i cztery po dwadzieścia.

– Powinno być tysiąc dwieście dolarów.

– Minus moja prowizja – powiedział Miodousty.

– Dalej, wywał pan resztę na stół.

– Nie.

– No, prędzej.

– Niech się pan nie ośmiesza.

– Ty złodzieju.

– Ty dzikusie! – krzyknął Miodousty. – Nie próbuj odbierać mi siłą, bo ich nie mam przy sobie.

– No, tak – przyznał Harry. – Powinienem był o tym pomyśleć. Słuchaj, Freddy. Znasz mnie nie od dzisiaj. Wiem, że twój kuter jest wart tysiąc dwieście dolarów. Masz tu o sto dwadzieścia mniej. Zaryzykuj te sto dwadzieścia i to, co ci się będzie należało za wynajęcie.

– Razem trzysta dwadzieścia dolarów – powiedział Freddy. Niełatwo było mu wymienić taką sumę jako ewentualną stratę i spocił się na samą myśl o tym.

– Mam na pokrycie samochód i radio.

– Mogę sporządzić odpowiedni dokument – zaproponował Miodousty.

– Nie chcę żadnych dokumentów – odparł Freddy. Twarz mu się znowu spociła i w głosie było wahanie. – Dobrze, zaryzykuję. Ale na miłość boską, Harry, uważaj na kuter. Przyrzekasz?

– Jakby to był mój własny.

– Swój straciłeś – powiedział Freddy. Wciąż się pocił, myśl o kutrze Harry'ego zwiększyła jeszcze jego udrekę.

– Będę uważał, Freddy.

– Włóżę pieniądze do sejfku w banku – powiedział Freddy. Harry spojrzął na

Miodoustego.

– Doskonałe miejsce – pochwalił ten, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Barman! – zawołał ktoś z sali.

– Wołają cię – powiedział Harry.

– Barman! – rozległo się znów wołanie.

Freddy wrócił za bufet.

– Ten człowiek mnie obraził. – Harry słyszał piskliwy głos kobiety, ale mówił już do

Miodoustego:

– Przycumuję kuter do molo u samego wlotu ulicy. Stamtąd nie będzie nawet pięćdziesięciu jardów.

– Doskonale.

– To wszystko.

– Doskonale, szefie.

– Nie częstuj mnie pan ciągle tym swoim „szefem”.

– Rozkaz.

– Będę tam czekał od czwartej.

– Jeszcze coś?

– Muszą mnie wziąć siłą, rozumie pan? Nic o niczym nie wiem. Reperuję coś w silniku. Nie przygotowałem kutra do rejsu na Kubę. Wynająłem go od Freddy’ego na połowy z gośćmi. Będą musieli zagrozić mi rewolwerem, żebym włączył silnik, i sami będą musieli odciąć cumę.

– A co z Freddy’em? Nie wynajął pan od niego kutra na połowy.

– Freddy’emu powiem, jak i co.

– Nie radzę.

– Powiem.

– Nie radzę.

– Niech pan posłucha. Zacząłem robić interesy z Freddy’em jeszcze podczas wojny. Dwa razy kombinowaliśmy do spółki i nigdy nie mieliśmy żadnych nieprzyjemności. Sam pan wie, ile wódki dla niego szmuglowałem. Freddy to jedyny skurwysyn w tym mieście, któremu bym zaufał.

– Ja nikomu nie ufam.

– Pan nie powinien. Po takich doświadczeniach, jakie pan ma z samym sobą.

– Odczep się pan ode mnie.

– No, już dobrze. Pojedzie pan teraz rozmówić się ze swoimi przyjaciółmi. Co pan dla

siebie obmyślił?

– Ci czterej to są przecież Kubańczycy. Poznałem ich w knajpie. Jeden z nich chce podjąć w banku pieniądze na poświadczony czek. Co w tym złego?

– I pan nic się nie domyśla?

– Nie. Umawiam się z nimi w banku.

– Kto ich będzie wioził?

– Pierwsza lepsza taksówka.

– A taksówkarz będzie myślał, że co oni za jedni? Skrzypkowie z orkiestry?

– Weźmiemy takiego, który nie będzie myślał. W tym mieście znajdują się tacy.

Chociażby Hayzooz.

– Hayzooz jest inteligentny. Tylko mówi dziwnie.

– Przypilnuję, żeby wzięli kretyna.

– Znajdźcie takiego, który nie ma dzieci.

– Oni wszyscy mają dzieci. Widział pan kiedy bezdzietnego taksówkarza?

– Wie pan, pan to jest wyjątkowa kanalia.

– Ale zabić nigdy nikogo nie zabiłem – powiedział Miodousty.

– I nigdy pan nie zabijesz. No, wyjdźmy stąd. Od samego siedzenia przy panu tak się czuję, jakbym sparszywiiał.

– Możeś pan sparszywiiał.

– Na pewno się nie wygadają?

– Jeżeli tylko będziesz pan trzymał język za zębami.

– Sam pan trzymaj. Idę się napić – powiedział Harry.

W barze trójka turystów siedziała na wysokich stołkach. Kiedy Harry zbliżył się do bufetu, kobieta demonstracyjnie odwróciła głowę.

– Co ci nalać? – spytał Freddy.

– A ta pani co pije? – spytał Harry.

– Cocktail kubański.

– W takim razie daj mi whisky, bez wody.

Wysoki turysta, ten z płowym wąsikiem, przysunął do Harry'ego swoją szeroką twarz o długim prostym nosie i powiedział: – Co pana napadło, żeby odzywać się w ten sposób do mojej żony?

Harry obejrzał go od stóp do głów i zwrócił się do Freddy'ego:

– Jaki ty właściwie lokal prowadzisz?

– Może mi pan odpowie – nalegał wysoki turysta.

– Wolnego – powiedział mu Harry.
– Wypraszam sobie takie chamstwo.
– Niech pan posłucha – zaczął Harry. – Przyjechał pan tutaj, żeby nabrać siły i zdrowia. No nie? Więc radzę, wolnego.

I wyszedł.

– Powinienem był go uderzyć – powiedział turysta. – Jak myślisz, kochanie?
– Ach, że też nie jestem mężczyzną – westchnęła jego żona.
– Z taką figurą daleko by pani zaszła – wymamrotał turysta z zielonym daszkiem do swojego kufła piwa.

– Co pan powiedział? – spytał wysoki turysta.
– Powiedziałem, że mógłby pan spytać o jego nazwisko i adres i napisać mu, co pan o nim myśli.

– A pan jak się właściwie nazywa? I co pan robi, struga pan ze mnie wariata?

– Nazywam się MacWalsey, profesor MacWalsey.

– Moje nazwisko Laughton – przedstawił się wysoki. – Jestem pisarzem.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedział profesor MacWalsey. – Często pan pisze?

Wysoki turysta powiódł dookoła wzrokiem. – Wyjdźmy stąd, kochanie – zwrócił się do żony. – Tutaj wszyscy są albo ordynarni, albo pomyleni.

– To jest dziwna miejscowość – powiedział profesor MacWalsey. – Fascynująca, zapewniam pana. Ludzie nazywają ją Gibraltarem Ameryki, a jest położona o 375 mil na południe od Kairu. Ale poza tym barem nie zdążyłem jeszcze nic zwiedzić. Inna sprawa, że bar jest doskonały.

– Pan to jest chyba autentyczny profesor – zaszczebiotała żona wysokiego turysty. – Wie pan, podoba mi się pan.

– Ty mi się też podobasz, koteczku – odparł profesor. – Ale muszę już iść.

Wstał i wyszedł poszukać swojego roweru.

– Wszyscy tutaj są stuknięci – oznajmił wysoki turysta.

– Napijemy się jeszcze, kochanie?

– Profesor bardzo mi się podoba – odparła kobieta. – Jest taki dobrze wychowany.

– Za to tamten typ...

– Och, miał piękną twarz – zawołała kobieta. – Jak Tatar czy coś takiego. Szkoda, że był ordynarny. Z twarzy to przypominał chyba Czyngis-chana. Niech go, ale był zbudowany!

– Nie miał jednej ręki – wtrącił mąż.

– Nie zauważyłam. Napijemy się? Ciekawe, kto tu jeszcze przyjdzie.

– Może Tamerlan – powiedział wysoki turysta.

– Niech cię, ale jesteś wykształcony! – zawołała kobieta.

– Zresztą mnie ten Czyngis-chan wystarczy. Słuchaj, dlaczego profesorowi tak się podobało, jak mówiłam „dunder świśnie”?

– Nie wiem, kochanie – odparł Laughton, pisarz. – Ja tego nie lubię.

– Spodobałam mu się chyba dlatego, że jestem, jaka jestem – powiedziała kobieta. – Niech go, miły facet.

– Na pewno się jeszcze spotkacie.

– Ile razy pani tu przyjdzie, zawsze go pani zastanie – wtrącił Freddy. – Prawie że tu mieszka. Przyjechał dwa tygodnie temu.

– A kto jest ten drugi, ten taki ordynarny?

– Tamten? Och, tutejszy facet.

– Co robi?

– Zajmuje się wszystkim po trochu – powiedział Freddy. – Jest rybakiem.

– Jak się stało, że stracił rękę?

– Nie wiem. Pewnie ją sobie poranił.

– Niech go, ale on jest ładny – powiedziała kobieta.

Freddy roześmiał się. – Słyszałem, jak różnie o nim mówili, ale jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak o nim mówił.

– Nie uważa pan, że ma ładną twarz?

– Wolnego, paniusiu – odparł Freddy. – Ma twarz jak szynka, ze złamanym nosem na wierzchu.

– Ale ci mężczyźni są głupi! – zawołała kobieta. – On jest moim wyśnionym ideałem.

– Chyba ze złego snu – zakpił Freddy.

Tymczasem Laughton siedział z trochę głupawą miną, wyraz twarzy zmieniał mu się tylko wtedy, kiedy spoglądał z zachwytem na żonę. „Tylko pisarz albo facet z Federalnego Komitetu Opieki może mieć taką żonę – pomyślał Freddy. – Chryste, co za wredna baba.”

Wszedł Albert.

– Gdzie jest Harry?

– Na molo.

– Dzięki – powiedział Albert.

Wyszedł; pisarz i jego żona siedzieli dalej na swoich stołkach, a Freddy stał za bufetem i martwił się o kuter, i mówił sobie, że bolą go nogi od tego stania przez cały dzień. Kazał położyć drewniany pomost na betonowej podłodze, ale niewiele pomogło. Nogi dalej

go bolały. Za to interesy szły mu dobrze, jak mało komu w mieście, i to przy mniejszych nakładach. „Ta kobieta jest rąbnięta, nie ma co. I jaki mężczyzna chciałby z taką żyć? Nie mógłbym, nawet z zamkniętymi oczami – myślał Freddy. – Nawet za pieniądze. Ale piją cocktaile. Drogie trunki. To zawsze coś.”

– Tak, proszę pana – powiedział. – Już podaję.

Opalony, dobrze zbudowany mężczyzna o jasnych włosach, ubrany w rybacką koszulę w paski i szorty koloru khaki, wszedł do baru w towarzystwie bardzo ładnej dziewczyny w cienkim białym swetrze i granatowych spodniach.

– Kogo ja widzę! – zawołał Laughton wstając. – Ryszard Gordon i śliczna pani Helena.

– O, dzień dobry – powiedział Ryszard Gordon. – Nie widział pan tu przypadkiem takiego zbzikowanego profesora?

– Dopiero co wyszedł – wtrącił Freddy.

– Napijesz się wermutu, kochanie? – zwrócił się Ryszard Gordon do żony.

– Jeżeli masz ochotę – powiedziała. A potem do Laughtonów: – Dzień dobry państwu.

– I do Freddy’ego: – Niech mi pan naleje dwie trzecie francuskiego i jedną włoskiego.

Siedziała na wysokim barowym stołku podkurczywszy nogi pod siebie i wyglądała na ulicę. Freddy patrzył na nią z zachwytem. Pomyślał, że jest najładniejszą kobietą w Key West tej zimy. Jest ładniejsza nawet od słynnej piękności, pani Bradley. Pani Bradley trochę się roztyła. Ta miała śliczną, typowo irlandzką twarz, czarne włosy opadające na ramiona i gładką jasną cerę. Wzrok Freddy’ego zatrzymał się na jej opalonej ręce trzymającej szklanekę.

– Jak idzie praca? – zagadnął Laughton Ryszarda Gordona.

– Nieźle – odparł Ryszard Gordon. – A panu?

– James nie chce pracować – wtrąciła pani Laughton. – Nic, tylko pije.

– Niech mi pan powie, kto to jest profesor MacWalsey? – spytał Laughton.

– Och, jest profesorem ekonomii czy czegoś takiego, ma zdaje się roczny urlop z uczelni. To przyjaciel Heleny.

– Podoba mi się – powiedziała Helena.

– Mnie się też podoba! – zawołała pani Laughton.

– Mnie pierwszej się podobał – oznajmiła Helena Gordon z satysfakcją w głosie.

– Może go sobie pani wziąć. Wy, porządne młode panienki, zawsze zdobywacie to, czego chcecie.

– Dlatego jesteśmy takie porządne – powiedziała Helena Gordon.

– Napiję się jeszcze wermutu. A pan? – zwrócił się Ryszard Gordon do Laughtona.

– Chętnie. Idziecie państwo jutro na to wielkie przyjęcie do Bradleyów?

– Ryszard naturalnie pójdzie – odparła Helena.

– Wie pan, ona mi się bardzo podoba – powiedział Ryszard Gordon. – Interesuje mnie i jako kobieta, i jako zjawisko społeczne.

– A niech pana! – zawołała pani Laughton. – Pan to jest chyba tak wykształcony jak profesor MacWalsey.

– Kochanie, nie popisuj się swoją ignorancją – poprosił Laughton.

– Czy mężczyzna kładzie się do łóżka ze zjawiskiem społecznym? – spytała Helena Gordon wyglądając przez drzwi na ulicę.

– Nie mów głupstw – powiedział Ryszard Gordon.

– Chciałam się tylko dowiedzieć, czy może wymaga tego warsztat pisarski – wyjaśniła Helena.

– Pisarz musi poznać wszystko – odparł Gordon. – Przy zdobywaniu doświadczeń nie może się krępować więzami moralności burżuazyjnej.

– Och – powiedziała Helena. – A co w takim wypadku robi żona pisarza?

– Mnóstwo rozmaitych rzeczy – wtrąciła pani Laughton. – Szkoda, że pani nie widziała tego faceta, co tu był przed chwilą i zachowywał się ordynarnie w stosunku do mnie i Jamesa. Wspaniały facet.

– Powinienem go być uderzyć – mruknął Laughton.

– Naprawdę wspaniały facet – powtórzyła jego żona.

– Idę do domu – powiedziała Helena Gordon. – Idziesz ze mną?

– Zostanę jeszcze chwilę w mieście – odparł Ryszard Gordon.

– Tak? – spytała Helena spoglądając w lustro za głową Freddy’ego.

– Tak – odparł Gordon.

Patrząc na nią Freddy pomyślał, że dziewczyna się rozplacze. Żeby tylko nie u niego w barze.

– Nie będziesz już piła? – spytał Ryszard Gordon.

Potrząsnęła głową. – Nie.

– Właściwie, co z panią? – zwróciła się do niej pani Laughton. – Niedobrze się pani bawi?

– Cudownie. Ale mimo to pójdę do domu.

– Wrócę niedługo – powiedział Gordon.

– Nie krępuj się – odparła jego żona. Wyszła. Nie rozplakała się. Ani nie spotkała profesora MacWalseya.

ROZDZIAŁ VIII

Harry Morgan zatrzymał samochód tuż obok kutra przycumowanego do nabrzeża; sprawdził, czy w pobliżu nie ma nikogo, podniósł przednie siedzenie i wyciągnąwszy płaski, brezentowy, nasycony oliwą futerał z pistoletem w środku rzucił go do kokpitu.

Sam zszedł na pokład, odsunął klapę luku komory z silnikami i położył futerał w kącie, tak że nie było go widać. Otworzył przewody benzynowe i zapuścił oba silniki. Po dwóch minutach prawy silnik pracował równo, ale lewy przerywał na drugim i czwartym cylindrze. Sprawdził i przekonał się, że świece są popękane; szukał nowych, ale nie mógł nigdzie znaleźć.

„Muszę się postarać o świece i zatankować benzynę” – pomyślał.

Wrócił na dół do silników, wyjął pistolet z futerału i złożył go. Znalazł dwa kawałki paska od wentylatora i cztery śruby. Zrobił nacięcia w paskach i sprokurował coś w rodzaju temblaka, na którym zawiesił pistolet pod podłogą kokpitu, na lewo od luku, tuż nad lewym silnikiem. Wisiał tam sobie jak w hamaku. Harry założył magazynek, jeden z czterech znajdujących się w kieszeniach brezentowego futerału. Klęcząc między silnikami, sięgnął ręką po pistolet. Wystarczyły dwa ruchy. Najpierw odczepić pasek oplatający zamek tuż za osłoną spustu. Potem wysunąć pistolet z drugiej pętli. Zrobił próbę, łatwo dał sobie radę jedną ręką. Przesunął nastawnik ze strzałów pojedynczych na ogień ciągły i sprawdził bezpiecznik. Zawiesił pistolet z powrotem na paskach. Wahał się przez chwilę, gdzie schować zapasowe magazynki. W końcu wsunął futerał pod jeden z baków z benzyną na dole, magazynkami na zewnątrz, tak że łatwo mógł sięgnąć po nie ręką. „Jak już wypłyniemy, zejść na dół i włożyć ze dwa do kieszeni – pomyślał. – Ale teraz wolę nie mieć tego świństwa przy sobie, bo jeszcze zaczniesz grzechotać.”

Wyprostował się. Było pogodne, słoneczne popołudnie, łagodne, wcale nie zimne, wiała lekka północna bryza. Naprawdę śliczne popołudnie. Zaczął się odpływ, dwa pelikany siedziały na brzegu kanału. Ciemnozielony sapiący kuter motorowy opływał moło w drodze na targ; Murzyn-rybak siedział na rufie, trzymał ster. Harry spojrzał ponad wodą wygładzoną przez wiatr wiejący z falą odpływu, ciemnoszafirową w popołudniowym słońcu, ku piaszczystej wysepce powstałej przy pogłębianiu kanału, w miejscu, gdzie natrafiono na gniazdo rekinów. Nad wysepką krążyły białe mewy.

„Noc będzie ładna – pomyślał Harry. – Dobra noc do przeprawy na Kubę.”

Spocił się, bo na dole przy silnikach było gorąco, więc wyprostował plecy i otarł twarz kłębkami pakuł.

Na molo stał Albert.

– Słuchaj, Harry – powiedział – może byś mnie jednak zabrał?

– Co cię znowu napadło?

– Będziemy teraz mieli z funduszu bezrobocia tylko trzy dni pracy w tygodniu.

Powiedzieli nam o tym dzisiaj rano. Muszę coś zrobić.

– Dobrze – odparł Harry. Jego umysł znowu pracował. – Dobrze.

– To fajno – ucieszył się Albert. – Nie poszedłem do domu, bo się bałem starej. W południe zrobiła mi piekło, zupełnie jakbym to ja sam rzucił pracę.

– Co z tą twoją starą? – spytał wesoło Harry. – Dlaczego nie wyłosisz jej skóry?

– Sam jej wyłój skórę – powiedział Albert. – Chciałbym usłyszeć, jak rozpuści język. Gadać to ona potrafi.

– Teraz posłuchaj, Al. Weźmiesz mój samochód i pojedziesz do składów Marynarki. Kup sześć świec takich jak ta. Potem kup lodu za dwadzieścia centów i kilka ryb na przynętę. Kup dwie puszki kawy, cztery puszki konserw, dwa bochenki chleba, trochę cukru i dwie puszki mleka skondensowanego. Wpadnij do Sinclaira i powiedz im, żeby tu przyjechali i wleli mi sto pięćdziesiąt galonów do baku. Wróc jak najprędzej i zmień drugą i czwartą świecę w lewym silniku, licząc od koła zamachowego. Powiedz im, że jak wrócę, zapłacę za benzynę. Mogą czekać albo niech mnie szukają u Freddy'ego. Spamiętasz wszystko? Jeden gość wynajął kuter, chce łowić tarpony.

– Jest za zimno na tarpony – powiedział Albert.

– Ten gość uważa, że nie jest za zimno – odparł Harry.

– To może kupić kilka przynęt? Na wypadek, gdyby je szczupaki zerwały z linki?

Teraz pełno tu wszędzie szczupaków.

– Zgoda, weź parę. Ale załatw wszystko w godzinę i przypilnuj, żeby napełnili bak.

– Po co bierzesz tyle benzyny?

– Bo może ten gość każe nam pływać od rana do wieczora i nie będzie czasu na tankowanie.

– Co z tamtymi facetami, którzy chcieli jechać na Kubę?

– Nie odezwali się więcej.

– Można było na nich ładnie zarobić.

– Na tym gościu też można ładnie zarobić. No, pośpiesz się, Albert.

– Ile dostanę?

– Pięć dolarów dziennie – powiedział Harry. – Jak ci się nie podoba, możesz nie brać.

– Zgoda – odparł Albert. – Które to świece?

– Druga i czwarta licząc od koła zamachowego.

Albert skinął głową. – Chyba spamiętam wszystko. – Wsiadł do samochodu, wykręcił i odjechał.

Stojąc na pokładzie kutra Harry widział w głębi ulicy kilka domów, budynek z cegły i kamienia i główne wejście do Stanowego Banku Depozytowo-Oszczędnościowego. Wejścia boczne nie widział. Spojrzał na zegarek. Było kilka minut po drugiej. Zatrzasnął klapę luku maszynowni i wdrapał się na molo. „Teraz albo się uda, albo nie – pomyślał. – Zrobiłem, co mogłem. Pójdę pogadać z Freddym, potem wrócę tu i będę czekał.” Z mola skręcił w boczną uliczkę po prawej, żeby nie przechodzić koło banku.

ROZDZIAŁ IX

Chciał powiedzieć Freddy'emu, ale nie mógł. W barze nie było nikogo, Harry siedział na wysokim stołku i chciał mu powiedzieć o wszystkim, ale nie mógł. Kiedy miał już powiedzieć, zrozumiał, że Freddy nigdy się nie zgodzi. W dawnych czasach może by na to poszedł. Tak. Ale teraz, nie. A może w dawnych czasach też by na to nie poszedł? Dopiero jak się zastanawiał, czy ma powiedzieć Freddy'emu, czy nie, zrozumiał, co to za paskudna sprawa. „Mógłbym tu zostać – pomyślał – i nic by nie było. Mógłbym tu zostać, wypić kilka kieliszków, urznąć się i nie miałbym z tamtym nic wspólnego. Tyle tylko, że na kutrze jest mój pistolet. Ale poza moją starą nikt nie wie, że to jest mój pistolet. Kupiłem go na Kubie, kiedy sprzedawałem tamte. Nikt nie wie, że go wtedy kupiłem. Mógłbym tu teraz zostać i nie byłbym w to wmieszany. Ale co one będą, do cholery, jadły? Skąd wezmę pieniądze, żeby utrzymać Marię i dziewczyny? Nie mam kutra, nie mam gotówki, nie mam wykształcenia. Jaką pracę może dostać facet bez ręki? Mam tylko jedno – własne *cojones* do sprzedania. Wystarczyłoby, żebym tu został, wypił jeszcze z pięć kieliszków i byłoby po wszystkim. Byłoby za późno. Mógłbym machnąć na wszystko ręką, niech tam.”

– Nalej mi – powiedział do Freddy'ego.

– Już się robi.

„Mógłbym sprzedać dom, mieszkalibyśmy w jakiejś wynajętej dziurze, dopóki nie dostanę pracy. Jakiej pracy? Nie dostanę żadnej pracy. Mógłbym teraz pójść do banku i puścić farbę, i co bym z tego miał? Podziękowałiby mi. A jakże. Jedna banda kubańskich rządowych fagasów strzelała do mnie, jak jechałem z ładunkiem wódki, chociaż wcale nie musieli, a inna banda amerykańskich rządowych łobuzów zabrała mi kuter. Teraz mogę najwyżej przejeść własny dom i zamiast nagrody usłyszeć parę grzecznych słów. Dziękuję, ale nie chcę. Niech to diabli, nie mam wyboru.”

Chciał powiedzieć Freddy'emu, bo chciał, żeby ktoś wiedział, co robi. Ale nie mógł mu powiedzieć, bo Freddy by na to nie poszedł. Freddy dobrze teraz zarabiał. W dzień było w barze pustawo, ale wieczorem goście schodzili się i siedzieli do drugiej. Freddy nie miał noża na gardle. Tak, Freddy by na to nie poszedł. „Muszę to zrobić sam – pomyślał. – Z tym biednym fajtlapą Albertem. Chryste, dzisiaj na molo wyglądał, jakby był jeszcze głodniejszy. Niektórzy Conchowie prędzej zdechną z głodu, niż co ukradną. W mieście nie braknie teraz takich, co im kiszki marsza grają. Ale ruszyć się nie ruszą. Wolą co dzień po trochu zdychać z

głodu. Zaczęli to zdychanie, kiedy się urodzili. Przynajmniej niektórzy.”

– Słuchaj, Freddy – powiedział. – Wezmę dwie butelki.

– Co ci dać?

– Baccardi.

– Dobrze.

– Zakorkuj, Freddy. Wiesz, że wynająłem kuter, żeby przewieźć Kubańczyków na tamtą stronę?

– Tak, mówiłeś.

– Nie wiem, kiedy będą chcieli jechać. Może dziś wieczorem. Nie dali znać.

– Kuter jest gotowy do drogi. Jeżeli wypłyniesz dzisiaj, będziesz miał dobrą noc.

– Mówili coś, że może pojedą po południu na ryby.

– Masz na pokładzie cały sprzęt, chyba że go pelikany ukradły.

– Jest, widziałem.

– No, to życzę ci dobrej drogi – powiedział Freddy.

– Dziękuję. Nalej mi jeszcze.

– Co?

– Whisky.

– Myślałem, że pijesz baccardi.

– Baccardi wypiję, jak się zrobi zimno w nocy.

– Będziesz cały czas płynął z wiatrem – powiedział Freddy. – Sam chętnie wyszedłbym dzisiaj na morze.

– Tak, noc powinna być ładna. Możesz mi jeszcze nalać?

Wszedł wysoki turysta z żoną.

– Kogo ja widzę? Mój wyśniony, wymarzony! – zawołała kobieta siadając na stołku tuż obok Harry’ego.

Spojrzał na nią, wstał.

– Wrócę niedługo, Freddy – powiedział. – Idę na pokład, bo może ci moi faceci będą chcieli pojechać na ryby.

– Niech pan zostanie – poprosiła kobieta. – No, niechże pan zostanie.

– Ale pani jest śmieszna – powiedział Harry i wyszedł.

Na ulicy zobaczył Ryszarda Gordona, który szedł do okazałej rezydencji zimowej Bradleyów. Ryszard Gordon miał nadzieję, że pani Bradley będzie sama w domu. Tak, będzie sama. Pani Bradley kolekcjonowała pisarzy, podobnie jak kolekcjonowała ich książki, ale Ryszard Gordon jeszcze o tym nie wiedział. Jego żona wracała do domu brzegiem morza. Nie

spotkała Johna MacWalseya. Może będzie przechodził koło ich domu.

ROZDZIAŁ X

Harry zastał Alberta na pokładzie, benzyna była już zatankowana.

– Zapuszczę silniki i sprawdzę, jak z tymi dwoma cylindrami – powiedział Harry. – Schowałeś prowiant?

– Tak.

– To przygotuj przynętę.

– Chcesz dużą przynętę?

– Owszem, dużą. Na tarpony.

Albert krajał na rufie przynętę, a Harry był przy sterze, rozgrzewał silniki, gdy nagle usłyszał huk przypominający wybuch w rurze wydechowej. Spojrzał w głąb ulicy i zobaczył mężczyznę wypadającego z banku. Mężczyzna trzymał w ręce rewolwer, biegł. Po sekundzie zniknął z pola widzenia. Potem ukazali się w drzwiach dwaj inni, ze skórzanymi teczkami i rewolwerami w rękach, i pobiegli za tym pierwszym. Harry spojrzął na Alberta, który wciąż był zajęty przygotowywaniem przynęty. Czwarty mężczyzna, ten najwyższy, wypadł z drzwi trzymając przed sobą pistolet maszynowy; zaczął się wycofywać, jednocześnie rozległo się przeraźliwe wycie syreny alarmowej wewnątrz banku i Harry zobaczył, jak podskakuje lufa pistoletu, i usłyszał bang, bang, bang – nikłe i gubiące się w ryku syreny. Mężczyzna biegł, w pewnej chwili przystanął, obrócił się i jeszcze raz strzelił w drzwi banku. Albert, stojąc teraz, powiedział: – Chryste, rabują bank, Chryste, zrobmy coś – i jednocześnie Harry usłyszał terkot motoru Forda w bocznej ulicy i zobaczył taksówkę ścinającą zakręt i wypadającą na nabrzeże.

Na tylnych siedzeniach siedzieli trzej Kubańcy, czwarty obok szofera.

– Gdzie kuter? – wrzasnął jeden z nich po hiszpańsku.

– Tu, głupcze! – odkrzyknął drugi.

– To nie jest ten kuter.

– Ale ten szyper.

– Prędzej, prędzej, na miłość boską!

– Wsiadaj – powiedział Kubańczyk do szofera. – Ręce do góry.

Szofer stanął obok samochodu, Kubańczyk wsunął mu nóż za pasek spodni, szarpnął do siebie i rozciął pasek i nogawkę prawie do kolan. Jednym ruchem ściągnął spodnie w dół. – Stój i nie ruszaj się – powiedział. Dwaj Kubańcy rzucili teczki do kokpitu i cała czwórka

zwaliała się na pokład.

– No, jazda! – wrzasnął któryś. Ten najwyższy z pistoletem maszynowym dźgnął Harry’ego lufą w plecy.

– Prędzej, dziadu! – zawołał. – Ruszamy!

– Wolnego – powiedział Harry. – Wyceluj pan tę pukawkę gdzie indziej.

– Zdejmuj cumy – zwrócił się ten duży z pistoletem do Alberta. – Ty!

– Harry, czekaj! – zawołał Albert. – Nie ruszaj! To oni rabowali bank!

Dryblas z pistoletem obrócił się i wycelował w Alberta. – Nie! – zawołał Albert. – Nie! Nie!

Lufa znajdowała się tak blisko jego piersi, że kule plasnęły, jakby kto wymierzył trzy klapsy. Albert osunął się na kolana, oczy miał szeroko otwarte, usta rozchylone. Miał taką minę, jakby chciał jeszcze raz wykrzyknąć: „Nie!”

– Obejdiesz się bez pomocnika – powiedział duży Kubańczyk. – Ty skurwysynu z jedną ręką. – Potem po hiszpańsku: – Odetnijcie te liny nożem do ryb. – I znowu po angielsku: – Jazda. Ruszamy.

– Wsadź mu rewolwer pod żebra – dodał po hiszpańsku. I po angielsku do Harry’ego: – Jazda. Ruszamy. Bo strzelam w łeb.

– Dobrze. Zaraz – powiedział Harry.

Jeden z dwóch Kubańczyków podobnych do Indian przytknął mu lufę do boku, po stronie amputowanej ręki. Lufa dotykała niemal żelaznego haka na końcu kikuta.

Kiedy odrywał kuter od nabrzeża, obracając koło sterowe zdrową ręką, obejrzał się, żeby sprawdzić odległość między burtą a filarami, i zobaczył Alberta, który klęczał na rufie, z głową przechyloną teraz na bok, w kałuży krwi. Na molo zobaczył taksówkę, obok grubego szofera w kalesonach, ze spodniami wokół kostek u nóg, trzymał ręce wysoko nad głową i usta miał prawie tak szeroko otwarte jak Albert. Ulica wciąż była pusta.

Pale nabrzeża przesuwały się za burtą, gdy Harry wyprowadzał kuter z basenu; po chwili był już w kanale, mijał molo latarni morskiej.

– Jazda. Naciśnij gaz! – powiedział duży Kubańczyk. – Radzę ci się pośpieszyć.

– Zabierz pan ten rewolwer – odparł Harry. Myślał: „Mógłbym wpakować kuter na mieliznę, ale wtedy szkoda gadać, ten drań mnie zatłucze”.

– Dodaj gazu – powiedział duży Kubańczyk. Potem po hiszpańsku do tamtych: – Połóżcie się na brzuchu, wszyscy. Trzymajcie szypra na muszce. – Sam położył się na rufie, zepchnąwszy wpierw ciało Alberta do kokpitu. Harry siedział przy sterze. Patrząc prosto przed siebie wyprowadził kuter z kanału, teraz mijał wejście do dawnej bazy łodzi

podwodnych z tablicą orientacyjną dla jachtów i zielonym sygnałem świetlnym, teraz mijął fort, czerwony sygnał świetlny. Obejrzał się. Duży Kubańczyk wyjął z kieszeni zielone pudełko z nabojami i ładował magazynki. Położył broń obok siebie na deskach i ładował magazynki na ślepo, dotykiem, patrzył zaś ponad rufą w stronę nabrzeża. Dwaj inni też oglądali się za siebie i tylko jeden pilnował Harry'ego. Ten, który go pilnował – taki z twarzy podobny do Indianina – pokazał mu rewolwerem, żeby patrzył przed siebie. Jeszcze żadna łódź nie rozpoczęła pościgu. Silniki pracowały równo, kuter szedł z odpływem. Harry zauważył, że boja, którą mija, jest silnie pochylona ku otwartemu morzu, a u jej podstawy prąd tworzy wiry. „Tylko dwie łodzie motorowe z Key West mogłyby nas dogonić – pomyślał Harry. – Jedna, ta Raya, wozi pocztę z Matecumbe. Gdzie jest druga? Widziałem ją dwa dni temu w warsztacie stoczniowym Eda Taylora – przypomniał sobie. – To ta, którą Miodousty miał dla mnie ewentualnie wynająć. Są jeszcze dwie – poprawił się w myślach. – Jedną Państwowy Zarząd Dróg trzyma w objeździe gdzieś między wyspami. Druga poszła do remontu w Garrison Bight. Ileśmy mogli przepłynąć?” Obejrzał się i daleko za sobą zobaczył fort i wynurzającą się spoza zabudowań doków ceglana bryła budynku starej poczty, i żółte ściany hotelu górującego nad wąską linią dachów miasta. Dalej zobaczył przystań fortu i latarnię morską ponad domami schodzącymi w dół aż do wielkiego hotelu zimowego. „Najmniej cztery miłe – pomyślał. – Teraz idą.” Dwa białe kutry rybackie okrążyły falochron i płynęły za nimi. „Nie robią nawet dziesięciu węzłów – pomyślał. – Śmiech człowieka bierze.”

Kubańczycy mówili między sobą po hiszpańsku.

– Dziadu, ile robisz na godzinę? – zawołał z rufy duży Kubańczyk, obracając się do Harry'ego.

– Ze dwanaście – odparł Harry.

– A ile robią te kutry?

– Może jakie dziesięć.

Teraz wszyscy obserwowali ścigające ich łodzie, nawet ten, który miał nie spuszczać Harry'ego z oka. „Ale czy ja mogę coś zrobić? – myślał Harry. – Jeszcze nic nie mogę zrobić.”

Dwie białe plamki nie powiększały się.

– Spójrz, Roberto! – zawołał jeden z Kubańczyków, ten młody, sympatyczny.

– Co? Gdzie?

– Spójrz, tam!

Daleko, tak daleko, że zaledwie widoczna, trysnęła z morza mała fontanna wody.

– Strzelają do nas – powiedział sympatyczny Kubańczyk. – Jakie to głupie.

– Chryste – jęknął ten duży i gruby na twarzy. – Z odległości trzech mil.

„Czterech – pomyślał Harry. – Prawie czterech.”

Harry widział małe słupki tryskające z gładkiej powierzchni morza, ale strzałów nie słyszał.

„Ci Conchowie są żałośni – pomyślał. – Gorzej, są komiczni.”

– Mają tu jakieś rządowe łodzie? – spytał gruby na twarzy Kubańczyk.

– Straż przybrzeżna ma.

– Ile węzłów robi?

– Ze dwanaście.

– To znaczy, że teraz jesteśmy bezpieczni?

Harry nie odpowiedział.

– Nie jesteśmy?

Harry milczał. Po jego lewej ręce rosła, olbrzymiała wieża latarni morskiej na Sand Key, pale na mieliznach małej Sand Key znajdowały się prawie równoległe ze starbortem. Jeszcze dziesięć minut i będą za rafami.

– Co z tobą, bracie? Nie umiesz mówić?

– O co pan pytał?

– Czy mogą nas dogonić?

– Mogą. Samolotem straży przybrzeżnej – powiedział Harry.

– Zanim przyjechaliśmy do miasta, przecięliśmy druty telefoniczne – wtrącił ten sympatyczny.

– Aleście radia nie odcięli, co? – spytał Harry.

– Myśli pan, że samolot może jeszcze przylecieć?

– Może. Dopóki się nie ściemni.

– A jak ci się zdaje? – spytał Roberto, ten gruby na twarzy.

Harry nie odpowiedział.

– No, gadaj, co o tym myślisz?

– Dlaczegoście pozwolili temu skurwysynowi zabić mojego pomocnika? – zwrócił się Harry do sympatycznego chłopca, który stał teraz przy nim i spoglądał w tarczę kompasu.

– Zamknij gębę – mruknął Roberto. – Ciebie też zabiję.

– Ileście pieniędzy wzięli? – spytał Harry młodego.

– Nie wiem. Nie liczyliśmy jeszcze. Zresztą te pieniądze nie są nasze.

– No chyba – mruknął Harry. Minał już latarnię morską na Sand Key i wziął kurs

dwieście dwadzieścia pięć, zwykły kurs na Hawanę.

– Chciałem powiedzieć, że nie wzięliśmy ich dla siebie, tylko dla organizacji rewolucyjnej.

– Mojego pomocnika też zabiliście dla tej organizacji?

– Strasznie mi przykro – powiedział chłopiec. – Nie umiem panu powiedzieć, jak bardzo.

– Możesz się pan nie wysilać – odparł Harry.

– Widzi pan – ciągnął chłopiec cichym głosem – ten Roberto to zły człowiek. Dobry rewolucjonista, ale zły człowiek. Tylu ludzi zabił za rządów Machado, że w końcu polubił tę robotę. Bawi go zabijanie. Naturalnie zabija w imię dobrej sprawy. Najwspanialszej sprawy. – Obrócił się i spojrzał na Roberto, który siedział teraz w jednym z foteli pokładowych na rufie, z pistoletem maszynowym na kolanach, i obserwował białe kutry, wyraźnie, jak Harry zauważył, malejące.

– Masz pan co do picia? – zawołał Roberto.

– Nie. Nie mam – odparł Harry.

– No to muszę pociągnąć ze swojej butelki – powiedział. Jeden z Kubańczyków leżał na koi nad zbiornikiem z benzyną. Męczyły go już mdłości. Drugi też wyglądał na chorego, ale jeszcze siedział.

Harry obejrzał się i zobaczył stateczek koloru ołowiu, który opłynawszy fort podążał za dwoma białymi kutrami rybackimi.

„Kuter straży przybrzeżnej – pomyślał. – Też śmiech bierze patrzeć.”

– Myśli pan, że ten samolot przyleci? – spytał chłopiec.

– Za pół godziny będzie ciemno – odparł Harry. Usiadł przy sterze. – Co macie zamiar zrobić? Zabijecie mnie?

– Ja tego nie chcę – powiedział chłopiec. – Nienawidzę zabijania.

– Co ty tam robisz? – spytał Roberto. Trzymał w ręce butelkę whisky. – Komitywa z kapitanem? O co ci chodzi? Żeby cię zaprosił do kapitańskiego stołu?

– Niech pan weźmie ster – zwrócił się Harry do chłopca. – Wie pan, jaki kurs? Dwieście dwadzieścia pięć. – Wstał i przeszedł na rufę.

– Daj mi się pan napić – powiedział do Roberto. – Ma pan tę swoją straż przybrzeżną. Ale nas nie dogoni.

Odrzucił gniew, nienawiść, poczucie godności, bo były to teraz luksusy, i zaczął układać plan.

– Pewnie – odparł Roberto. – Nie dogoni nas. Spójrz pan na te dwie chore łamagi. Co

to pan mówiłeś? Że chcesz się napić? Masz jeszcze jakieś inne ostatnie życzenia, dziadu?

– Nawet dowcipny z pana facet – powiedział Harry. Pociągnął duży łyk z butelki.

– Ostrożnie! – wrzasnął Roberto. – Nie mam więcej.

– Ale ja mam – odparł Harry. – Żartowałem tylko.

– Niech mnie pan nie próbuje nabierać – powiedział podejrzliwie Roberto.

– Co by mi z tego przyszło?

– Co pan masz?

– Baccardi.

– To dawaj pan.

– Wolnego – powiedział Harry. – Po co się tak zaraz rzucać?

Idąc na dziób musiał przestąpić przez ciało Alberta. Na kompasie zobaczył, że chłopiec zbczył z kursu o blisko dwadzieścia pięć stopni. „Żeglarz to on nie jest – pomyślał Harry. – To mi daje trochę więcej czasu. Muszę teraz spojrzeć na ślad na wodzie.”

Ślad kutra na wodzie rysował się dwiema pienistymi liniami biegnącymi do latarni na Sand Key, która, widoczna od strony rufy, była już tylko brązową, stożkową, delikatnie ząbkowaną plamką na horyzoncie. Białe kutry były prawie niewidoczne, a w miejscu, gdzie wznosiły się miejskie maszty radiowe, Harry dostrzegł za ledwie niewyraźną smugę. Silniki pracowały równo. Harry sięgnął do kokpitu po butelkę baccardi. Zaniósł ją na rufę. Wypił łyk i podzielił się z Roberto. Spojrzał w dół na ciało Alberta i serce mu się ścisnęło. „Biedny głodomór” – pomyślał.

– A to co znowu? Boisz się go pan? – spytał gruby na twarzy Kubańczyk.

– Może byśmy go tak wyrzucili za burtę? – spytał Harry. – Po co trzymać trupa na pokładzie?

– Dobra – zgodził się Roberto. – Niegłupi pomysł.

– Weź go pan pod pachy – powiedział Harry. – Ja wezmę za nogi. – Roberto położył pistolet maszynowy na szerokim nadburciu rufy, schylił się i podniósł Alberta za ramiona.

– Trup mężczyzny cholernie dużo waży – powiedział. – Podnosiłeś pan kiedy trupa mężczyzny, dziadu?

– Nie – odparł Harry. – Podnosiłeś pan kiedy trupa grubej kobiety?

Roberto przeciągnął ciało Alberta na rufę. – Twardy z pana facet – pochwalił. – Może się tak napijemy?

– Czemu nie – odparł Harry.

– Wiesz pan – powiedział Roberto – głupio mi, że go zabiłem. Jak pana zabiję, będzie mi bardziej głupio.

– Skończ pan z tym gadaniem – powiedział Harry. – Uparłeś się pan, żeby stale to gadać?

– No, jazda! – zawołał Roberto. – Do wody go!

Kiedy schyleni przerzucali ciało przez nadburcie rufy, Harry zepchnął nogą pistolet za burtę. Pistolet wpadł z pluskiem do wody jednocześnie z ciałem Alberta, ale podczas gdy ciało Alberta obróciło się wpierw dwa razy w białej pianie ubijanej śrubą, pistolet poszedł prosto na dno.

– Lepiej teraz, co? – spytał Roberto. – Porządek przede wszystkim. – Nagle spostrzegł, że pistolet zniknął. – Gdzie on jest? Coś pan z nim zrobił?

– Co z czym zrobiłem?

– *Z ametralladora!* – W zdenerwowaniu użył hiszpańskiego słowa.

– O co chodzi?

– Dobrze pan wiesz, o co!

– Nawet nie wiedziałem, gdzie leżał.

– Zepchnąłeś go nogą za burtę, ty! Zabiję cię! Teraz! Zaraz!

– Wolnego – powiedział Harry. – Za co znowu chcesz mnie pan zabijać?

– Daj mi rewolwer! – ryknął Roberto po hiszpańsku do jednego z Kubańczyków złożonych morską chorobą. – Prędejj, daj mi rewolwer!

Harry stał wyprostowany i chyba nigdy w życiu nie wydawał się sobie taki wysoki i taki szeroki, i czuł, jak pot zbiera mu się pod pachami i spływa po bokach.

– Za dużo zabijasz – odpowiedział Kubańczyk po hiszpańsku. – Zabiłeś mata. Teraz chcesz zabić szypra. Kto nas przewiezie na tamtą stronę?

– Zrzucił za burtę pistolet!

– Mamy pieniądze. Po co ci teraz pistolet? Na Kubie nie brak pistoletów.

– Mówię wam, że głupio zrobicie, jak go teraz nie zabijecie. Mówię wam. Daj mi rewolwer.

– Zamknij pysk. Jesteś pijany. Jak się urzniesz, nic, tylko chcesz zabijać.

– Napij się pan – powiedział Harry spoglądając ponad szarą masą wód Gólfstromu na czerwoną kulę słońca, które zaledwie dotykało oceanu. – Patrz pan i uważaj. Jak się słońce całkiem schowa, woda zrobi się jasnozielona.

– Gównu mnie to obchodzi – warknął gruby na twarzy Kubańczyk. – Pewnie myślisz, że ci to ujdzie na sucho?

– Kupię panu drugi – powiedział Harry. – Taki pistolet kosztuje na Kubie wszystkiego czterdzieści pięć dolarów. Nie przejmuj się pan. Jesteście bezpieczni. Teraz już żaden samolot

straży przybrzeżnej nie przyleci.

– Zabiję cię! – ryknął Roberto wpatrując się w Harry’ego. – Zrobiłeś to naumyślnie. Dlatego chciał, żebym ci go pomógł rzucić za burtę!

– Nie zabijesz mnie pan. Kto by was przewiózł na Kubę?

– Powinienem cię teraz zabić.

– Wolnego, wolnego – powiedział Harry. – Pójdę zajrzeć do silników.

Odsunął klapę luku, wszedł do środka, przykręcił kalemitki na dwóch filtrach powietrznych, sprawdził temperaturę obu silników i dotknął ręką lufy pistoletu. „Jeszcze nie – pomyślał. – Lepiej jeszcze nie teraz. Chryste, z tym mi się udało. A niby co to za różnica dla Alberta, kiedy i tak już nie żył? Przynajmniej jego stara nie wyda na pogrzeb. Ten skurwysyn z grubą gębą. Ten morderca, skurwysyn z grubą gębą. Chryste, co ja bym dał, żeby go teraz ukatrupić. Ale poczekam.”

Wyprostował się, wyszedł na pokład i zasunął klapę luku.

– No i jak tam? – spytał Kubańczyka. Położył rękę na grubym ramieniu. Roberto spojrzał na niego, ale nie odpowiedział.

– Widziałeś pan, jakie się zrobiło zielone? – spytał Harry.

– Idź do cholery – warknął Roberto. Był pijany, ale alkohol nie zagłuszył w nim podejrzliwości i czuł zwierzęcym instynktem, że stało się coś złego.

– Teraz ja potrzymam – powiedział Harry do chłopca przy sterze. – Jak panu na imię?

– Emilio. Może mi pan mówić po imieniu – odparł chłopiec.

– Słuchaj, Emilio. W kabinie znajdziesz coś do zjedzenia. Jest chleb, mięso w puszcze. Jeżeli masz ochotę, zrób sobie kawy.

– Za kawę dziękuję.

– Ja potem zrobię – powiedział Harry. Siedział przy sterze, światła nad skrzynką z instrumentami miał teraz zapalone i sterował w blasku dnia utrzymującym się wciąż nad oceanem, i obserwował zmierzch schodzący na wodę. Nie zapalił świateł sygnałowych.

„Noc będzie dobra – pomyślał. – W taką noc dobrze się przeprowadzić. Jak tylko zniknie ta reszta światła, skręcę trochę na wschód. Bo inaczej za godzinę zobaczymy lunę nad Hawanę. Jeżeli nie za godzinę, to za dwie. Najdalej za dwie godziny. A jak ten skurwysyn zobaczy lunę, może mu przyjść ochota mnie sprzątnąć. Miałem szczęście, że zrzuciłem ten pistolet za burtę. Miałem cholerne szczęście. Ciekawe, co Maria ma na kolację? Pewnie się o mnie martwi. Pewnie nic nie je ze zmartwienia. Ciekawe, ile ci dranie zabrali pieniędzy? Że też nie przeliczą. Drański sposób zdobywania pieniędzy na rewolucję. Drański naród ci Kubańczycy.

Kawał bydlaka z tego Roberto. Utłukę go dzisiaj w nocy. Utłukę go, choćby nie wiem jak miało się wszystko inne skończyć. Ale temu biedaczynie Albertowi niewiele to pomoże. Było mi cholernie głupio, że go tak wrzucam do wody. Sam nie wiem, jak na to wpadłem.”

Włożył do ust papierosa i palił w ciemności.

„Nieźle sobie radzę. Lepiej, niż myślałem. Ten smarkacz jest całkiem miły. Dobrze było, żebym tak mógł usadzić tamtych dwóch na jednej koi. Żeby jakimś cudem ściągnął ich w jedno miejsce. Hm, zrobię, co się da. Im bardziej ich teraz obłaskawię, tym będzie lepiej. Im spokojniej da się to załatwić, tym lepiej.”

– Zje pan kanapkę? – spytał chłopiec.

– Chętnie. Poczęstowałaś swojego współnika?

– Pije. Nie chce jeść – odparł Emilio.

– A tamci dwaj?

– Mają mdłości.

– Piękna noc, dobra noc do przeprawy na Kubę – powiedział Harry. Zauważył, że chłopiec nie patrzy na kompas, więc zbaczał wciąż z kursu na wschód.

– Cieszyłbym się, że jestem na morzu – odparł chłopiec – gdyby nie ten pana pomocnik.

– Porządny chłop był z niego. Postrzeliliście kogoś w banku?

– Tak. Adwokata. Jak on się nazywał... Simmons.

– Zabity?

– Chyba zabity.

„Taka sprawa – pomyślał Harry. – Pan mecenas Miodousty. Czego on się, do cholery, spodziewał? Jak mógł przypuszczać, że go to ominie? Takie są skutki, jak ktoś próbuje odstawić bandytę. Takie są skutki, jak ktoś za często chce być za sprytny. Pan mecenas Miodousty. Czołem cześć, panie mecenasie Miodousty.”

– Jak to się stało, żeście go zabili?

– Pewnie się pan domyśla – odparł chłopiec. – To zupełnie inna sprawa niż z pana pomocnikiem. Tego naprawdę żałuję. Wie pan, Roberto w gruncie rzeczy nie jest zły. Tylko obecny etap rewolucji tak go wykoleił.

– Mam wrażenie, że to całkiem porządny chłopak – powiedział Harry. I pomyślał: „Słyszysz, co mówią twoje usta? Chryste, gotów jestem mówić wszystko, co mi ślina na język przyniesie. Ale muszę spróbować przeciągnąć tego smarkacza na swoją stronę, na wypadek...”

– Jaką właściwie rewolucję teraz robicie? – spytał.

– Jesteśmy jedyną partią rewolucyjną w kraju – odparł Emilio. – Chcemy przepędzić wszystkich starych polityków, chcemy skończyć z imperializmem amerykańskim, który nas dusi, z tyranią armii. Chcemy zacząć wszystko od nowa i dać wszystkim równe szanse. Chcemy skończyć z niewolnictwem *guajiros*... wie pan, chłopów... i podzielić wielkie plantacje trzciny cukrowej między robotników, którzy na nich pracują. Ale nie jesteśmy komunistami.

Harry przeniósł wzrok z kompasu na twarz chłopca.

– A jak sobie dajecie radę?

– Tymczasem zbieramy pieniądze na walkę – odparł chłopiec. – W tym celu chwytamy się środków, których nie będziemy potem stosowali. I posługujemy się ludźmi, których potem usuniemy z naszych szeregów. Ale cel uświęca środki.

„Ten smarkacz jest radykał – pomyślał Harry. – A jakże, prawdziwy radykał.”

– Podoba mi się wasz program – powiedział – bo widzę, że chcecie ulżyć robotnikowi. W dawnych czasach sam nieraz strajkowałem, jeszcze kiedyś mieli w Key West fabryki cygar. Jakbym wiedział, co wy za jedni, chętnie bym wam pomógł.

– Dużo ludzi chciałoby nam pomóc – powiedział chłopiec. – Ale z uwagi na obecną sytuację w naszym ruchu nie możemy nikomu ufać. Tak mi przykro, że musimy przejść przez tę fazę. Nienawidzę aktów terroru. Nienawidzę metod, które stosujemy, żeby zdobyć potrzebne fundusze. Ale nie mamy wyboru. Pan sobie nie wyobraża, jak strasznie źle jest na Kubie.

– Wyobrażam sobie, że jest fatalnie – powiedział Harry.

– Nie, pan sobie tego nie może wyobrazić. Cały kraj, każda najmniejsza wioska jęczy pod zbrodniczymi tyrańskimi rządami. Trzem ludziom nie wolno stać razem na ulicy. Kuba nie ma wrogów zewnętrznych i nie jest jej potrzebne wojsko, ale utrzymujemy dwudziestopięcioletnią armię, która cała, od kaprała wzwyż, wysysa krew narodu. Nawet ochotnicy wstępują do wojska, żeby się dorobić. Teraz stworzyli korpus rezerwowy, do którego przyjmują wszystkich bandytów, zwyrodnialców i szpicli z dawnego reżimu Machado, i czego nie zabierze regularna armia, to rabują oni. Nasze pierwsze zadanie to pozbyć się armii. Dawniej rządono nami za pomocą pałek. Teraz rządzą nami za pomocą karabinów, automatów, pistoletów maszynowych i bagnetów.

– Tak, niewesoło to wygląda – powiedział Harry. Trzymał ręce na sterze i coraz bardziej zbaczał z kursu na wschód.

– Pan nie ma pojęcia, jakie to wszystko straszne – ciągnął chłopiec. – Kocham moją nieszczęśliwą ojczyznę i zrobiłbym wszystko, wszystko, żeby ją uwolnić od tej tyranii.

Popelniam czyny, których nienawidzę. Ale jestem gotów popełnić je jeszcze tysiąc razy.

„Muszę się napić – pomyślał Harry. – Cholera, co mnie obchodzi ta jego rewolucja. Pies drapał tę jego rewolucję. Żeby pomóc robotnikom, rabuje bank, zabija faceta, który z nim pracował, a potem zabija tego biedaczynę Alberta, który nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy. Czyli zabija robotnika. Ale mu to nawet nie przyjdzie do głowy. Robotnika, który miał na utrzymaniu rodzinę. Przecież Kubańscy rządzą Kubą. Jeden drugiego oszukuje. Jeden drugiego by sprzedał. Mają to, co im się słusznie należy. Niech diabli wezmą tę ich rewolucję. Chodzi mi tylko o jedno, o to, żebym mógł utrzymać rodzinę. A nie mogę. A ten tu opowiada mi o swojej rewolucji. Cholera tę jego rewolucję.”

– Tak, paskudna sprawa, nie ma co – powiedział do chłopca. – Potrzywasz chwilę ster? Chciałbym się napić.

– Chętnie – odparł chłopiec. – Jaki kurs?

– Dwieście dwadzieścia pięć.

Zrobiło się już ciemno i fala była spora na tej wysokości Gofsztromu. Harry minął dwóch chorych Kubańczyków leżących na kojach i poszedł na rufę, gdzie Roberto siedział w fotelu pokładowym. Za burtą woda umykała niewidoczna w mroku. Roberto trzymał nogi na drugim fotelu, który obrócił do siebie.

– Daj mi się pan napić – powiedział Harry.

– Idź do cholery – wybełkotał Kubańczyk. – To moje.

– Doskonale. – Harry wrócił na dziób i sięgnął po drugą butelkę. W ciemności zalegającej kokpit przytrzymał butelkę kikutem prawej ręki, wyjął korek i napił się.

„Mogę to z równym powodzeniem zrobić teraz – powiedział sobie. – Nie ma sensu czekać dłużej. Mały powiedział, co miał do powiedzenia. To bydlę z grubą gębą jest pijane. Tamci dwaj mają mdłości. Mogę to równie dobrze zrobić teraz.”

Napił się jeszcze. Alkohol rozgrzał go i dobrze mu zrobił, ale w okolicy żołądka czuł nadal zimno i pustkę. Cały w środku był zimny.

– Chcesz się napić? – spytał chłopca.

– Nie, dziękuję – odparł Emilio. – Nie biorę wódki do ust. – W świetle lampy kompasowej Harry zobaczył uśmiech na jego twarzy. Miły i przystojny chłopiec, a jakże. I sympatyczny w rozmowie.

– Ja się napiję – powiedział. Przełknął duży łyk, ale alkohol nie złagodził uczucia wilgotnego zimna wokół żołądka, które rozszerzyło się, objęło całą klatkę piersiową. Odstawił butelkę na podłogę kokpitu.

– Trzymaj kurs – powiedział do chłopca. – Zajrzę do silników.

Otworzył klapę luku i zszedł na dół. Potem zamknął za sobą i umocował klapę od środka długim haczykiem sięgającym do rygla w podłodze. Pochylił się nad silnikami, sprawdził ręką chłodnicę, dotknął cylindrów, pomacał palcami filtry powietrzne. Przykręcił obie kalemity o półtora obrotu. „Dość tego marudzenia – powiedział sobie w duchu. – Jazda, dość tego marudzenia. Gdzie się podziały twoje jaja? Pewnie ci odpadły.”

Wyjrzał na pokład. Mógł niemal dotknąć ręką obu koi nad zbiornikami z benzyną, gdzie leżeli chorzy Kubańcy. Chłopiec siedział na wysokim stołku, odwrócony do niego plecami; zarys jego postaci był wyraźny, obwiedziony światłem lampy kompasowej. Harry obrócił się i na tle czarnej wody zobaczył Roberto rozwalonego na fotelu na rufie.

„Dwadzieścia jeden kul w magazynku to najwyżej cztery serie po pięć strzałów – pomyślał. – Muszę strzelać pewnie. Dobra. No, rusz się. Przestań marudzić, ty śmierzący tchórze. Chryste, co ja bym dał, żeby się jeszcze napić. Ale się nie napiję.” Sięgnął lewą ręką do rzemiennego temblaka i odczepił paski, objął dłonią osłonę spustu, kciukiem odciągnął bezpiecznik i wyjął pistolet spod rzemieni. Przykucnąwszy w otworze luku wycelował starannie w tył głowy chłopca, rysującej się ostrą linią w świetle lampy kompasowej.

W ciemności buchnął z lufy jasny płomień, łuski odbiły się z grzechotem od podniesionej klapy luku i spadły na silnik. Zanim ciało chłopca zważyło się na deski pokładu, Harry wykonał półobrót i strzelił do postaci leżącej na lewej koi, niemal przytykając lufę drgającego, miotającego płomień pistoletu do człowieka, tak blisko, że poczuł swąd przypalonego ubrania; potem obrócił się i puścił serię w drugą koję, na której wpołężący mężczyzna szarpał za rewolwer. Teraz skulił się w sobie i spojrzał na rufę. Gruby na twarzy Kubańczyk znikł z fotela. Harry widział wyraźnie zarys foteli. Z tyłu za nim chłopiec leżał nieruchomo. Co do niego nie było żadnych wątpliwości. Jeden z Kubańczyków rzucał się na koi. Na koi po przeciwnej stronie Harry dostrzegł kątem oka nieruchome ciało leżące twarzą w dół, do połowy przewieszane przez nadburcie.

Usiłował odnaleźć w ciemności grubasa. Kuter zataczał teraz koło i w kokpicie zrobiło się trochę jaśniej. Wstrzymał oddech i wyteżył wzrok. To musi być on, ta trochę ciemniejsza plama na podłodze w kącie. Wpatrzył się w to miejsce. Plama drgnęła. Tak. To on.

Kubańczyk pełził w jego stronę. Nie, w stronę trupa do połowy przewieszzonego przez nadburcie. Po rewolwer. Wciąż skulony, w otworze luku obserwował ruch ciemnej plamy, dopóki nie nabrał absolutnej pewności. Wtedy puścił serię. Buchnął płomień i Harry zobaczył Kubańczyka na czworakach, a gdy płomień zgasł i ustał terkot pistoletu, rozległ się ciężki stuk padającego ciała.

– Ty skurwysynie – powiedział Harry na głos. – Ty morderco z grubą gębą.

Uczucie lodowatego zimna wokół serca znikło i Harry słyszał teraz w piersi dawny głuchy śpiew. Schylił się nisko, wsunął rękę pod osłonięty drewnianą kratą zbiornik na benzynę i szukał nowego magazynku. Znalazł magazynek, ale poczuł na dłoni chłód szybko schnącej benzyny.

„Przedziurawiony zbiornik – pomyślał. – Muszę wyłączyć silniki. Nie wiem, gdzie się tu zamyka dopływ benzyny.”

Nacisnął zakrzywioną dźwigienkę, wyrzucił pusty magazynek, wsunął nowy i wyszedł z komory maszynowej do kokpitu i z kokpitu na pokład.

A gdy stał z pistoletem w lewej ręce i rozglądał się, nie zdążywszy nawet zamknąć luku hakiem na końcu kikuta, Kubańczyk, ten, który leżał na koi po lewej i dostał tylko trzy kule w lewe ramię, bo czwarta i piąta utkwily w zbiorniku z benzyną, podniósł się na posłaniu, wycelował starannie i strzelił mu w brzuch.

Odrzucony do tyłu, Harry usiadł ciężko. Miał takie uczucie, jakby go ktoś zdzielił pałką w żołądek. Siedział oparty plecami o stalową rurę-nogę fotela pokładowego i gdy Kubańczyk strzelił do niego powtórnie, rozszczepiając poręcz nad jego głową, Harry wyciągnął rękę, namacał pistolet, przytrzymał hakiem przedni uchwyt i mierząc starannie wpakował połowę nowego magazynku w Kubańczyka, który siedział pochylony i spokojnie strzelał do niego z koi. Mężczyzna padł na koję jak wór, a Harry obmacywał ręką deski pokładu, dopóki nie natrafił na ciało grubego. Roberto leżał na brzuchu i Harry hakiem przymocowanym do kikuta odszukał jego głowę, przyciągnął ją do siebie, przytknął lufę pistoletu do czaszki i nacisnął cyngiel. Odgłos był taki, jakby ktoś kijem uderzał w dynię. Harry odłożył pistolet i wyciągnął się na boku, na podłodze kokpitu.

– Jestem skurwysyn – powiedział z ustami tuż przy deskach. – Jestem skurwysyn i jest już po mnie.

„Muszę wyłączyć silniki, bo inaczej wszyscy się tu spalimy – pomyślał. – Mam jeszcze szansę. Mam jeszcze cień szansy. Chryste. Jedno głupstwo i wszystko zmarnowane. Jedno głupstwo i wszystko przepadło. Niech to diabli. Niech diabli tego bydlaka Kubaricyka. Skąd ja mogłem wiedzieć, że go nie zatłukłem na śmierć?”

Podniósł się na czworaki i zatrzasnąwszy połowę klapy luku nad komorą z silnikami przepełził przez nią i dalej na dziób, aż do stołka przy sterze. Czepiając się stołka wstał, zdziwiony, że ma jeszcze tyle sił; potem w nagłym przypiływie słabości pochylił się do przodu, oparł kikut prawej ręki na kompasie i wyłączył obie manetki. Silniki umilkły, usłyszał plusk wody uderzającej o burtę. Nie było żadnych innych dźwięków. Kuter wszedł w zatoczkę i zaczął się kołysać.

Zawisł bezwładnie na kole sterowym, potem osunął się na stołek i siedział oparty o stół z mapami. Siły wyciekały z niego w upartym, tępych uczuciu mdłości. Odpiął koszulę zdrową ręką i namacał ranę, najpierw spodem dłoni, potem dotknął jej palcami. Prawie nie krwawiła. „Wszystko idzie do środka – pomyślał. – Jak się położę, może ustanie.”

Księżyc wyszedł na niebo i Harry zobaczył wewnątrz kokpitu.

„Co za śmietnisko – pomyślał. – Co za cholerne śmietnisko.”

„Lepiej chyba, żebym zszedł, zanim zlecę z tego stołka” – pomyślał i osunął się na podłogę kokpitu.

Leżał na boku. A gdy kuter dryfował, blask księżyca przedostał się do kokpitu i oświetlił wszystko.

„Ale tłok – pomyślał. – Nie ma co, parszywy tłok.” I zaraz przyszła inna myśl: „Ciekawe, co ona robi. Ciekawe, co robi Maria. Może jej wypłacą odszkodowanie? Bydlak ten Kubańczyk. Da sobie pewnie radę. Jest sprytna. Pewnie wszyscy dalibyśmy sobie radę. To było wariactwo, nie ma co. Nie trzeba mi się było do tego brać. Dobrze wszystko wykalkulowałem, do samego końca. Nikt nie będzie wiedział, jak się to stało. Żebym tylko mógł pomóc jakoś Marii. Kupa pieniędzy na tym kutrze. Nawet nie wiem, ile. Z taką gotówką każdy żyłby sobie wygodnie. Ciekawe, czy straż przybrzeżna coś buchnie. Pewnie trochę. Tak. Żeby tylko moja stara wiedziała, jak się to wszystko stało. Chciałbym wiedzieć, co ona robi. Nie wiem. Trzeba mi było wziąć pracę na stacji benzynowej albo jakąś taką. Po co ja się pchałem na to morze? Teraz kutrem nikt już uczciwie nie zarobi na życie. Żeby tylko to bydlę przestało się kołysać. Żeby się tylko nie kołysało. Czuję, jak mi tam wszystko w brzuchu chlupoce. Ja. Pan mecenas Miodousty i Albert. Wszyscy, co się tego tknęli. I ci dranie. Jakaś pechowa sprawa. Pechowa, nie ma co. Podług mnie taki facet jak ja nadaje się tylko do prowadzenia stacji benzynowej, czy czegoś takiego. Cholera, nie prowadziłbym żadnej stacji benzynowej. Maria, owszem. Maria zajmie się czymś takim. Puszcząć się nie będzie. Jest na to za stara. Żeby się tylko to bydlę nie kołysało. Muszę się trzymać. Muszę się jakoś wziąć w kupę. Podobno jak człowiek nie pije wody i leży bez ruchu... Najważniejsze, żeby nie pić wody...”

„Przynajmniej odpada mi sprzątanie – pomyślał. – Muszę się trzymać. Muszę. Muszę się jakoś trzymać. Mam jeszcze szansę. Jak człowiek nie pije wody i leży bez ruchu...”

Leżał na plecach i starał się oddychać równo. Kuter podskakiwał, pchany falą Gofsztrumu, a Harry Morgan leżał na plecach w kokpicie. Początkowo czepiał się zdrową ręką desek usiłując złagodzić kołysanie. Potem przestał walczyć i leżał bez ruchu.

ROZDZIAŁ XI

Nazajutrz rano w Key West Ryszard Gordon wracał na rowerze do domu z baru Freddy'ego, dokąd pojechał dowiedzieć się o szczegóły napadu na bank. Po drodze minął wysoką, tęgą kobietę o niebieskich oczach i tlenionych blond włosach wymykających się spod filcowego mężowskiego kapelusza; kobieta szła prędko, oczy miała zaczerwienione od płaczu. „Co za krowa – pomyślał Ryszard Gordon. – O czym takie babsko myśli? Co z taką robić w łóżku? Co na to mąż, kiedy mu się żona tak roztyje? Z kim ją zdradza, w tej dziurze? Aż przykro patrzeć. Herod baba. Potworna.”

Był teraz prawie pod domem. Zostawił rower na ganku i wszedł do sieni zamykając za sobą drzwi przeżarte przez termity.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zawołała z kuchni jego żona.

– Nie mów teraz do mnie. Idę pracować. Mam już wszystko obmyślane.

– To świetnie – powiedziała. – Nie będę ci przeszkadzać.

Usiadł przy dużym stole w pokoju od ulicy. Pisał powieść o strajku w zakładach włókienniczych. Do dzisiejszego rozdziału wprowadzi tę tęgą kobietę o zaczerwienionych oczach, którą spotkał przed chwilą na drodze. Ma męża i ten mąż patrzy na nią ze wstrętem, kiedy wieczorem wraca z pracy do domu, patrzy ze wstrętem na jej rozlane, bezkształtne ciało, budzą w nim obrzydzenie jej tlenione włosy i ogromne piersi, jej brak zainteresowania dla jego pracy w organizowaniu strajków. Przeciwwstawi tę kobietę młodej, drobnej Żydówce, która przemawiała tego wieczora na wiecu. Tak, to było dobre. Było – mogło się stać – wstrząsające. I było prawdziwe. W przeblysku twórczej intuicji Ryszard Gordon ujrzał całe życie duchowe kobiety tego typu. Prędkie zubożenie na pieszczoty męża. Tęsknota za macierzyństwem, za zabezpieczoną przyszłością. Brak zainteresowania dla ideałów męża. Żalosa symulacja podczas aktu płciowego, który w rzeczywistości jest już dla niej wstrętny. Tak, to będzie doskonały rozdział.

Kobietą, którą Ryszard Gordon spotkał na drodze, była Maria, żona Harry'ego Morgana, wracająca do domu z urzędu szeryfa.

ROZDZIAŁ XII

Kuter Freddy'ego Wallace'a, „Queen Conch”, opatrzony numerem rejestracyjnym V Tampa, miał trzydzieści cztery stopy długości i kadłub pomalowany na biało. Pokład od strony dziobu pomalowany był na kolor jaskrawozielony i wnętrze kokpitu pomalowane było na kolor jaskrawozielony. Dach nadbudówki też był jaskrawozielony. Nazwa kutra i nazwa portu macierzystego, Key West, Floryda, wypisane były na rufie czarnymi literami. Kuter nie miał masztów ani rei. Miał szklane wiatrochrony i jeden z nich, osłaniający miejsce przy sterze, był strzaskany. Kilkanaście dziur czerniło się w pokrytych świeżą farbą deskach kadłuba. Świeże odpryski widać było w obu bokach kadłuba, mniej więcej stopę poniżej nadburcia, i trochę dalej w kierunku dzioba, licząc od środka kokpitu. Inne gniazdo takich dziur znajdowało się niemal na linii zanurzenia, w prawym boku kadłuba, naprzeciwko tylnej belki podtrzymującej nadbudówkę. Z dziur najniżej położonych wyciekło coś ciemnego i wisiało w supłowatych pasmach na świeżo pomalowanym kadłubie.

Kuter dryfował burtą pod łagodny wiatr północny, w odległości około dziesięciu mil od utartego szlaku tankowców płynących na północ – wesola plama bieli i zieleni na tle czarnogranatowych wód Golsztromu. Kępki wyblakłych na słońcu wodorostów sargassowych przepływały pod burtami, powoli unoszone prądem na północ i wschód, a wiatr hamował nieco dryfowanie i znosił kuter coraz głębiej w pas Golsztromu. Na pokładzie nie było śladu życia, chociaż spoza nadburcia wyglądało ciało mężczyzny, chyba opuchnięte, leżące na ławce nad lewym zbiornikiem z benzyną, z ławki zaś nad prawym zbiornikiem jakiś mężczyzna wychylał się za burtę, jakby chciał zanurzyć rękę w morzu. Jego głowa i ramiona wystawione były na słońce i tam, gdzie palcami prawie dotykał wody, unosiła się w morzu ławica małych rybek, długich może na dwa cale, owalnych, złotawych, przegowanych fioletem, które porzuciły gęstwiny wodorostów i znalazły schronienie w cieniu dryfującego kutra, a ilekroć kapnęło coś do wody, rzucały się gromadnie na zdobycz i mełły pyszczkami, dopóki nie pożarły wszystkiego. Dwie szare ryby-ssawki długości około osiemnastu cali opływały kuter, cały czas trzymając się w cieniu i otwierając wciąż i zamykając wąskie pyszczki na czubkach głów; ale widocznie nie rozumiały rytmu spadania kropeł, którymi żywiły się małe rybki, i gdy kropla spadła, istniały takie same szanse, że będą tuż obok, jak pod przeciwległą burtą. Już dawno oberwały supłowate, karminowe nitki i gruzły zwisające z najniżej położonych dziur w kadłubie i unoszące się na wodzie, a obrywając je szarpały

brzydkimi łebkami opatrzonymi w ssawki i podługowatymi ciałami o ostro zakończonych ogonach. Teraz nie chciały opuścić miejsca, gdzie pożywiły się tak dobrze i tak niespodziewanie.

Dalej znajdowali się trzej inni mężczyźni. Jeden, nieżywy, leżał na plecach tam, gdzie padł, obok stołka przed sterem. Trup drugiego, skulony i ogromny, leżał przy luku odpływowym, tuż obok belki rufowej, po stronie starbortu. Trzeci, jeszcze żywy, ale od wielu godzin nieprzytomny, leżał na boku, z ręką wsuniętą pod głowę.

Pod pokładem, na dnie, pełno było benzyny chlupocącej przy każdym ruchu kutra. Mężczyzna miał wrażenie, że to chlupoce coś w jego wnętrznościach, i zdawało mu się teraz, że jego brzuch jest wielkim jeziorem, którego wody biją jednocześnie o oba brzegi. Uczucie to brało się stąd, że leżał na plecach, z kolanami podciągniętymi i głową odchyloną do tyłu. Woda w jeziorze, którym był jego brzuch, była bardzo zimna; tak zimna, że gdy zanurzył się u brzegu, zdrętwiały mu członki i teraz było mu przeraźliwie zimno, i wszystko miało smak benzyny, jak gdyby ssał ustami rurkę gumową, żeby opróżnić bak. Wiedział, że wcale nie opróżnia baku, chociaż miał takie uczucie, jakby rurka gumowa dostała mu się do ust i zimna, długa i ciężka wsuwała się coraz głębiej, zwijała gdzieś w samych trzewiach. Przy każdym oddechu zwój zaciskał się, coraz zimniejszy, w dolnej części brzucha i Harry'emu zdawało się, że to wcale nie rurka gumowa, tylko ogromny, zwinny wąż porusza się w chlupocącym jeziorze. Bał się go, ale chociaż wąż był w nim, był jednocześnie gdzieś bardzo daleko i Harry'ego męczyło teraz tylko zimno.

Zimno przenikało go na wskroś, bolesne zimno, które jednak nie odrętwiało, więc leżał spokojnie i poddał mu się. Raz pomyślał, że gdyby mógł się przykryć samym sobą, byłoby mu ciepło jak pod kołdrą, i przez chwilę miał wrażenie, że leży przykryty, że jest mu ciepłej. Ale to wewnętrzne ciepło było tylko krwotokiem spowodowanym przez podciągnięcie kolan; i gdy minęło, Harry wiedział, że człowiek nie może przykryć się samym sobą, że na zimno nie ma żadnej rady, że trzeba mu się poddać. Leżał i całym sobą walczył, żeby nie umrzeć, jeszcze w długi czas po tym, jak nie było już w nim ani jednej myśli. Dryfująca łódź zmieniła położenie i Harry leżał teraz w cieniu, i było mu coraz zimniej.

Kuter dryfował od godziny dziesiątej poprzedniego wieczoru, a teraz znów zbliżał się wieczór. Na wodach Golsztromu nie było widać nic, prócz kępek wodorostów sargassowych, kilku różowych, rozdętych, błoniastych morszczyków, zawadiacko sterczących na grzbietach fal, i nikłej smugi dymu tankowca płynącego z Tampico na północ.

ROZDZIAŁ XIII

- No, więc co? – spytał Ryszard Gordon.
- Masz szminkę na koszuli – odparła jego żona. – I za uchem.
- A co powiesz o tym?
- Co powiem o czym?
- O tym, że jak wszedłem, leżałaś na tapczanie obok tego pijanego dragala.
- Nieprawda.
- Co robiłaś, jak wszedłem?
- Siedzieliśmy na tapczanie.
- Po ciemku.
- Gdzie byłeś?
- U Bradley’ów.
- Tak – powiedziała. – Wiem. Nie zbliżaj się do mnie. Śmierdzisz tą kobietą.
- A ty kim śmierdzisz?
- Nikim. Siedziałam i rozmawiałam z przyjacielem.
- Całowałaś go.
- Nie.
- Ale on cię całował?
- Tak. Bardzo mi było przyjemnie.
- Ty dziwko.
- Doskonale – powiedziała. – Między nami wszystko skończone. Gdybyś nie był taki zarozumiały i gdybym ja nie była dla ciebie taka dobra, dawno byś zrozumiał, że między nami wszystko skończone.
- Ty dziwko.
- Nie – powiedziała. – Nie jestem dziwką. Staralam się być dobrą żoną. Ale ty jesteś tak zapatrzony w siebie i tak zarozumiały jak wiejski kogut. Piejesz od rana do nocy: „Spójrz, czego to ja nie dokonałem. Widzisz, ile ci dałem szczęścia. Teraz zmykaj i pogdacz sobie z radości”. No cóż, nie dałeś mi szczęścia i mam cię dosyć, słyszysz? Mam dosyć tego wiecznego gdakania.
- Prawdę mówiąc nie powinnaś gdakać. Nie zrobiłaś nigdy nic takiego, co by cię upoważniało do gdakania.

– A czyja to wina? Może nie chciałam mieć dzieci? Ale nie było nas stać na dzieci. Za to było nas stać na wyjazdy na plażę do Cap d'Anitibes i do Szwajcarii na narty. I było nas stać na spędzenie zimy tutaj, w Key West. Mam cię dosyć. Wiesz co? Nie cierpię cię. Ta kobieta dzisiaj dopełniła miary.

– Proszę, nie mieszaj jej do tej sprawy.

– Wracasz do domu cały umazany szminką. Mogłeś się chociaż umyć. Masz ślady na czole.

– Całowałaś się z tym pijanym bydlakiem.

– Nie. Nieprawda. Ale całowałabym się z nim, gdybym wiedziała, co ty robisz.

– Dlaczegoś mu się pozwoliła całować?

– Byłam wściekła na ciebie. Czekaliśmy i czekaliśmy. Ani razu do mnie nie podszedłeś. Potem zniknąłeś gdzieś z tą kobietą i nie było cię godzinami. John odprowadził mnie do domu.

– John? To tak mu na imię?

– Tak. John. John. John.

– A na nazwisko? Pewnie Thomas?

– Nazywa się MacWalsey.

– Może powiesz, jak się to pisze?

– Nie mogę – odparła. I roześmiała się. Ale roześmiała się po raz ostatni tego wieczoru. – Nie wyobrażaj sobie, że jak się śmieję, to wszystko jest znów dobrze. Nie. To nie jest taka zwyczajna kłótnia. Między nami wszystko skończone. Tylko nie myśl, że cię nienawidzę. Nie ma we mnie takich gwałtownych uczuć. Po prostu cię nie lubię. Bardzo cię nie lubię i nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– No, już dobrze – powiedział.

– Nie. Niedobrze. Wszystko między nami skończone. Czy ty tego nie rozumiesz?

– Chyba tak.

– Nie chyba, tylko na pewno.

– Nie bądź taka melodramatyczna.

– Jestem melodramatyczna, tak uważasz? Nieprawda. Skończyłam z tobą raz na zawsze.

– Nie skończyłaś.

– Drugi raz tego nie powiem.

– Co masz zamiar robić?

– Jeszcze nie wiem. Może wyjdę za Johna MacWalseya.

- Nie wyjdiesz.
- Wyjdę, jeżeli będę chciała.
- Tylko że on się z tobą nie ożeni.
- Owszem. Dzisiaj po południu prosił mnie, żebym za niego wyszła.

Ryszard Gordon nic nie powiedział. Poczuł pustkę w miejscu, gdzie miał przedtem serce, i wszystko, co mówił lub co ona do niego mówiła, było jakby fragmentem podsłuchanej rozmowy.

- O co cię prosił? – spytał. Zdawało mu się, że jego głos płynie z bardzo daleka.
- Żebym za niego wyszła.
- Dlaczego cię o to prosił?
- Bo mnie kocha. Bo chce, żebym z nim żyła. Bo zarabia dosyć, żeby mnie utrzymać.
- Jesteś moją żoną.
- Tak naprawdę, nie jestem. Nie wobec Kościoła. Nie chciałeś wziąć ze mną ślubu w kościele i to złamało serce mojej biednej matce, o czym dobrze wiesz. Tak cię kochałam, że było mi obojętne, czyje serce łamię dla ciebie. Och, że też mogłam być taka głupia. Sobie samej też złamałam serce. Wyrzekłam się wszystkiego, w co wierzyłam i co było mi drogie, bo byłeś taki cudowny i tak mnie kochałeś, że tylko twoja miłość się liczyła. Miłość była jedyną piękną rzeczą na świecie, prawda? Miłość była skarbem, który tylko myśmy posiadali i którego nikt poza nami nie posiadał, i nie mógł posiadać, prawda? Ty byłeś geniuszem, a ja byłam twoim całym życiem. Byłam twoją towarzyszką życia i twoim ślicznym czarnym kwiatem. Sentymalne bzdury. Miłość to jeszcze jedno plugawe kłamstwo. Miłość to pigułki ergoapiolu brane przed okresem, bo nie chcesz mieć dziecka. Miłość to chinina i chinina, i jeszcze raz chinina, aż głuchnę od szumu w uszach. Miłość to ta koszmarna skrobanka, na którą mnie zaprowadziłeś. Miłość to są moje poszarpane wnętrzności. To w połowie katetery i w połowie irygacje. Wiem dobrze, co to jest miłość. Miłość wisi za drzwiami łazienki i pachnie lizolem. Do diabła z miłością. Miłość to kiedy „dajesz mi szczęście” i zaraz zasypiasz z otwartymi ustami, a ja leżę i nie śpię przez całą noc, i boję się nawet zmówić modlitwę, bo wiem, że nie mam prawa odmawiać modlitwy. Miłość to te wszystkie plugawe sztuczki, których mnie nauczyłeś, a które sam wyczytałeś pewnie w jakichś książkach. Doskonale. Tylko że ja mam dosyć ciebie i mam dosyć miłości. Twojego rodzaju miłości. Ty pisarzu.
- Ty irlandzka kurwo.
- Nie radzę ci używać obelżywych słów. Znam odpowiednie słowo dla ciebie.
- Dobrze, dobrze.

– Nie, wcale nie jest dobrze. Źle, wszystko źle. Gdybyś był dobrym pisarzem, może zniosłabym tamto. Ale patrzałam na twoją zawiść i zazdrość, widziałam, jak zmieniałeś poglądy zależnie od mody, jak podlizywałeś się ludziom w oczy i obgadywałeś ich za plecami. Dość się na ciebie napatrzyłam. I teraz jeszcze ta bogata dziwka. Och, zbrzydło mi to wszystko. Chciałam jak najlepiej – opiekowałam się tobą, dogadzałam ci, dbałam o ciebie, gotowałam dla ciebie, siedziałam cicho jak mysz, kiedy tego chciałeś, i byłam wesoła, kiedy tego chciałeś, i zachęcałam cię do twoich małych szaleństw, i udawałam, że mi sprawiają przyjemność, i znosiłam twoje wybuchy złości i zazdrość, i twoją małostkowość. A teraz mam tego dosyć.

– I zaczniesz nowe życie z zapijaczonym profesorem?

– To jest mężczyzna. Prawdziwy mężczyzna. Jest dobry i wyrozumiały i jest mi z nim dobrze. Pochodzimy z tego samego środowiska i cenimy pewne wartości, które dla ciebie nic nie znaczą. On jest taki, jaki był mój ojciec.

– Jest pijak.

– Tak, pije. Ale mój ojciec też pił. Mój ojciec chodził w wełnianych skarpetkach i wieczorem w domu kładł nogi w tych skarpetkach na poręczu drugiego krzesła i czytał gazetę. Był kotlarzem i miał spracowane ręce, i lubił się bić, jak był podпиты, i umiał się bić, jak był trzeźwy. Chodził na mszę, bo matce sprawiało to przyjemność, i w Wielkim Poście przystępował do spowiedzi. Robił to dla niej i dla Boga, ale przede wszystkim dla niej, i był dobrym związkowcem, a jeżeli ją zdradzał, ona o tym nie wiedziała.

– Na pewno ją zdradzał.

– Możliwe, ale jeżeli ją zdradzał, jej o tym nie mówił, tylko księdzu na spowiedzi, i jeżeli ją zdradzał, to dlatego, że nie mógł się powstrzymać, a potem żałował i robił sobie wyrzuty. Nie robił tego z ciekawości ani z koguciej próżności, ani żeby pokazać żonie, jakim jest wspaniałym mężczyzną. I jeżeli ją zdradzał, to dlatego, że matka wyjeżdżała z nami na wakacje, a on zabałagał się gdzieś z kolegami. Był prawdziwym mężczyzną.

– Szkoda, że nie jesteś pisarką. Napisalabyś książkę o swoim ojcu.

– Pisałabym lepiej od ciebie. John MacWalsey jest dobrym człowiekiem. Ty nie jesteś. Nie mógłbyś być. I to nie ma żadnego związku z twoimi przekonaniem politycznymi czy z twoją religią.

– Nie mam żadnej religii.

– Ja też nie. Ale kiedyś miałam i znów będę miała. A ciebie nie będzie przy mnie, żeby mi ją zabrać. Tak jak zabrałeś mi wszystko inne.

– Nie będzie mnie.

– Właśnie. Będiesz w łóżku z jakąś bogatą kobietą, w rodzaju Heleny Bradley. Dobrze jej było z tobą? Pewnie uważa cię za wspaniałego kochanka?

Patrząc na jej smutną, zagniewaną twarz, tak ładną w płaczu, na wargi nabrzmiące i świeże jak rośliny po deszczu, na wijące się czarne włosy rozrzucone w nieładzie wokół twarzy, Ryszard Gordon stracił nadzieję. Spytał:

– Nie kochasz mnie już?

– Nienawidzę tego słowa.

– Doskonale – powiedział i niespodziewanie wymierzył jej mocny policzek.

Oparła głowę o stół i płakała teraz z bólu, nie z gniewu.

– Niepotrzebnie to zrobiłeś – zaszlochała.

– Przeciwnie – odparł. – Wiesz mnóstwo, ale nie wiesz, jak bardzo mi to było potrzebne.

Tego popołudnia, kiedy otworzyły się drzwi, ona go nie zauważyła. Widziała tylko biały sufit i na nim białe jak lukier gipsowe amorki i gołąbki, które wydobył nagle z ciemności snop światła padający przez otwarte drzwi.

Ryszard Gordon odwrócił głowę i zobaczył go stojącego w drzwiach. Barczysty, brodaty mężczyzna.

– Nie przerywaj – powiedziała Helena Bradley. – Proszę cię, nie przerywaj. – Jej jasne włosy rozsypały się na poduszce.

Ale Ryszard Gordon głowę miał wciąż odwróconą, patrzył.

– Nie zwracaj na niego uwagi. Niech cię nic nie obchodzi. Czy ty nie rozumiesz, że nie wolno ci teraz przerywać? – pytała kobieta tonem nagłym.

Mężczyzna z brodą zamknął cicho drzwi. Uśmiechał się.

– Co się stało, kochanie? – spytała Helena Bradley, teraz znowu w ciemności.

– Muszę iść.

– Czy ty nie rozumiesz, że nie możesz odejść?

– Ten człowiek...

– To tylko Tommy – powiedziała Helena. – On wie wszystko. Nie zwracaj na niego uwagi. No, kochanie. Proszę cię.

– Nie mogę.

– Musisz – powiedziała. Ryszard czuł, jak cała dygoce, jej głowa dotykająca jego ramienia drżała. – Mój Boże, czy ty nic nie rozumiesz? Czy ciebie nic nie obchodzi, co czuje kobieta?

– *Muszę iść* – powtórzył Ryszard Gordon.

W ciemności poczuł na twarzy uderzenie, od którego światło rozbłysło mu pod powiekami. Potem drugie uderzenie. Tym razem w usta.

– *Więc taki z ciebie mężczyzna* – powiedziała Helena Bradley.

– *Zdawało mi się, że jesteś człowiekiem światowym. Wynoś się.*

Było to tego popołudnia. Tak się skończyła jego wizyta u Bradleyów.

Teraz jego żona siedziała z głową pochyloną, opartą na rękach, które położyła na stole, i oboje milczeli. Ryszard słyszał tykanie zegara i pustka w nim była tak wielka, jak wielka była cisza w pokoju. Po chwili powiedziała nie podnosząc głowy: – *Żałuję, że się tak stało. Ale sam widzisz, że to koniec. Prawda?*

– Tak, jeżeli tak wszystko było.

– Nie zawsze tak było, ale już od dawna.

– Przykro mi, że cię uderzyłem.

– Och, drobiazg. Z tamtym nie ma nic wspólnego. Taki a nie inny sposób pożegnania.

– Przestań.

– *Muszę iść* – powiedziała głosem bardzo zmęczonym.

– Przykro mi, ale będę musiała wziąć tę dużą walizkę.

– Zrobisz to rano – odparł. – Zdążysz zrobić to rano.

– *Wolałabym dzisiaj. Dzisiaj będzie łatwiej. Ale jestem taka zmęczona. Zmęczyło mnie to i rozboleła mnie głowa.*

– Rób, jak chcesz.

– *Mój Boże* – westchnęła. – *Tak żałuję, że się to stało. Postaram się jakoś ci wszystko urządzić. Musisz mieć kogoś do pomocy w domu. Gdybym nie powiedziała wszystkiego, co powiedziałam, i gdybyś ty mnie nie uderzył, może by do tego nie doszło.*

– Nie. Koniec był już przedtem.

– Tak mi ciebie żal.

– Jeżeli nie przestaniesz się nade mną litować, jeszcze raz cię uderzę.

– *Przypuszczam, że byłoby mi lżej, gdybyś mnie uderzył. Żal mi ciebie. Naprawdę mi żal.*

– Idź do diabła!

– *Przykro mi, że to mówiłam... wiesz, to, że nie jesteś taki dobry w łóżku. Nie znam się na tym. Na pewno jesteś wspaniały.*

– *Niech ci się nie zdaje, że jesteś taka znowu gwiazda.*

Rozpłakała się.

– To gorsze od uderzenia – powiedziała.

– A coś sama mówiła?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Byłam taka zła i zrobiłeś mi taką przykrość.

– Po co te żale? Przecież wszystko skończone.

– Och, ja nie chcę, żeby wszystko było skończone. Ale jest i nie ma na to żadnej rady.

– Będziesz miała swojego zapijaczonego profesora.

– Przestań. Czy nie moglibyśmy przestać o tym mówić?

– Dobrze.

– Przysrzekasz?

– Tak.

– Prześpię się tutaj.

– Nie. Możesz spać w łóżku. Musisz. Ja i tak wychodzę jeszcze do miasta.

– Nie wychodź.

– Muszę.

– Do widzenia – powiedziała i zobaczył jej twarz, którą tak zawsze kochał, taką ładną nawet w płaczu, zobaczył jej wijące się czarne włosy, małe jędrne piersi opięte swetrem, oparte o krawędź stołu; i nie zobaczył zasłoniętej stołem reszty jej ciała, które tak zawsze kochał i któremu widocznie nie dawał rozkoszy, chociaż tak był pewien, że je zaspokaja, a gdy zamykał za sobą drzwi, ona spoglądała na niego ponad stołem. Brodę miała opartą na rękach i płakała.

ROZDZIAŁ XIV

Zostawił rower i poszedł piechotą. Księżyc wypłynął już na niebo i sylwety drzew były czarne w jego blasku. Minął grupę drewnianych domów o ciasnych podwórkach i nieszczelnych okiennicach, spoza których przedostawało się światło; szedł przez niebrukowane wąskie uliczki między dwoma rzędami domów; przez dzielnicę Conchów, gdzie wszystko było nakrochmalone, starannie ukryte za zasłoną okiennic – cnota, niepowodzenie, odwaga i zapiekła gorycz, niedożywienie, krzywda, prawość, krzyżowanie się ras i pociecha znajdowana w religii; minął skupienie jaskrawo oświetlonych kubańskich *bolito* o zawsze otwartych drzwiach, rudery, które poza nazwami nie miały w sobie nic romantycznego: „Różowy Dom”, „Chicha”; przeszedł obok kościoła z prasowanego żwiru, o wieżach trójkątnych, spiczastych i brzydkich w blasku księżyca; obok rozległego ogrodu i długiego masywu budynków klasztornych pokrytych czarną kopułą, pięknych w blasku księżyca; minął stację benzynową i jarzący się światłami bar, gdzie sprzedawano kanapki, przeszedł obok nie zabudowanego placu, na którym urządzono miniaturowy teren do gry w golfa; przeszedł przez jasno oświetloną główną ulicę mijając po drodze trzy drogerie, jeden sklep z instrumentami muzycznymi, trzy sklepiki żydowskie, trzy sale bilardowe, dwa zakłady fryzjerskie, pięć piwiarni, trzy lodziarnie, pięć trzeciorzędnych i jedną pierwszorzędną restaurację, dwa kioski z gazetami, cztery sklepy ze starzyzną (w jednym z nich wyrabiano klucze), zakład fotograficzny, budynek biurowy z czterema gabinetami dentystycznymi na wyższych piętrach, duży dom towarowy, na rogu hotel i naprzeciwko postój taksówek; a po drugiej stronie, za hotelem, na uliczce prowadzącej do dzielnicy portowej, minął duży, biały, drewniany dom jaskrawo oświetlony; gromadka dziewcząt stała w drzwiach, grała głośno pianola, marynarz siedział na środku chodnika; potem szedł dalej boczną ulicą, za gmachem sądu z czerwonej cegły, pod oświetloną tarczą zegara wskazującego w pół do jedenastej, dalej pod białymi murami więzienia połyskującymi w blasku księżyca, aż wreszcie znalazł się przed ukrytym w zieleni wejściem do „Kwitnących Bzów”, w uliczce zatarasowanej samochodami.

Bar jarzył się od świateł i był pełen ludzi. Pokój do gry też był zatłoczony, koło rulety wirowało, maleńka kulka stuknęła o metalowe przegrody w misie, koło obracało się coraz wolniej, kulka wirowała z warkotem, potem podskakiwała brzękliwie, wreszcie nieruchomiała i wtedy słychać było już tylko szmer obracającego się koła i brzęk sztonów.

Właściciel stał za bufetem, obok niego dwaj barmani. Powiedział: – Witamy, witamy. Pan Gordon. Co mam nalać?

– Sam nie wiem – odparł Ryszard Gordon.

– Kiepsko pan wygląda. Co się stało? Źle się pan czuje?

– Źle.

– Podam panu coś ekstra klasa. Postawi pana na nogi. Pił pan już kiedy hiszpański absynt, *ojen*?

– Niech pan da – powiedział Ryszard Gordon.

– Po jednym *ojenie* poczuje się pan jak nowo narodzony. Zróbcie dla pana Gordona *ojen* specjalny.

Ryszard Gordon wypił przy bufecie trzy *ojeny* specjalne, ale nie było mu lepiej; mętny, słodkawy, zimny, lukrecjowaty w smaku płyn nie poprawił mu samopoczucia.

– Proszę mi dać coś innego – zwrócił się do barmana.

– Niemożliwe. Nie smakuje panu *ojen* specjalny? – spytał gospodarz. – Nie czuje się pan lepiej?

– Nie.

– Po *ojenie* radzę ostrożnie z piciem.

– Niech mi pan da whisky bez wody.

Whisky rozgrzała mu język i krtań, ale nie zmieniła biegu myśli i nagle, spojrzawszy na swoje odbicie w lustrze za bufetem, Ryszard Gordon zrozumiał, że odtąd, od dzisiaj, alkohol już nigdy nie przyniesie mu ulgi. To, co jest w nim, będzie w nim zawsze i nawet jeżeli się upije do nieprzytomności, po obudzeniu nadal w nim to będzie.

Obok niego stał przy bufecie wysoki, bardzo chudy młody mężczyzna o podbródku zarosniętym rzadką szczeciną blond włosów. Spytał: – Czy pan Ryszard Gordon?

– Tak.

– Jestem Herbert Spellmann. Poznaliśmy się kiedyś na przyjęciu, na Brooklynie.

– Możliwe – odparł Ryszard Gordon. – Dlaczego nie mielibyśmy się poznać?

– Podobała mi się pana ostatnia książka – ciągnął Spellmann. – Zresztą lubię wszystkie pana książki.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedział Ryszard Gordon.

– Napije się pan ze mną?

– To ja pana proszę. Pił pan już ten ich *ojen*?

– Jakoś mi nie idzie.

– Co panu dolega?

– Jestem bez humoru.

– Może pan wypije jeszcze jeden?

– Nie. Wolę whisky.

– Wie pan, takie spotkanie z panem to dla mnie wielkie przeżycie – wyznał Spellmann.

– Ale pan chyba sobie mnie nie przypomina

– Nie, ale może to przyjęcie było udane. A wspomnienia z udanych przyjęć są na ogół dość mgliste, prawda?

– Ma pan rację – odparł Spellmann. – Zaprosiła nas do siebie Margaret Van Brunt. Przypomina pan sobie teraz? – spytał z nadzieją w głosie.

– Usiłuję.

– To ja podpaliłem wtedy dom – oznajmił Spellmann.

– Nie pamiętam.

– Tak, ja – powiedział Spellmann z dumą. – We własnej osobie. Chyba nigdy w życiu tak się dobrze nie bawiłem.

– A co pan teraz robi? – spytał Ryszard Gordon.

– Och, nic specjalnego. Kręcę się trochę między ludźmi. Żyję jakby na półobrotach. Pisze pan nową książkę?

– Tak. W połowie gotowa.

– Wspaniale – ucieszył się Spellmann. – O czym?

– O strajku w fabryce włókienniczej.

– Cudownie! – zawołał Spellmann. – Wie pan, jestem kat na wszystko, co dotyczy konfliktów społecznych.

– Co?

– Ubóstwiam problematykę społeczną – wyjaśnił Spellmann.

– Przedkładam ją nad wszystko inne. Pan jest niewątpliwie najlepszy z całej paczki specjalizującej się w tej tematyce. Czy w ostatniej książce wprowadził pan do akcji piękną agitatorkę Żydówkę?

– Bo co? – spytał podejrzliwie Ryszard Gordon.

– Bo to byłaby rola dla Sylwii Sydney – odparł Spellmann. – Kocham się w Sylwii. Chce pan obejrzyć jej zdjęcie?

– Wiem, jak wygląda.

– No, napijmy się – zaproponował wesoło Spellmann. – Kto by pomyślał, że pana tu spotkam. Wie pan, ja mam wyjątkowe szczęście. Naprawdę wyjątkowe.

– Dlaczego?

– Bo jestem wariat – powiedział Spellmann. – Ha, to cudowne uczucie. Zupełnie tak, jak kiedy się jest zakochanym, tylko że zawsze wszystko dobrze się kończy.

Ryszard Gordon odsunął się nieznacznie.

– Niepotrzebnie pan to robi! – zawołał Spellmann. – Ja nie miewam furii. To znaczy, prawie nigdy nie miewam furii. No, napijmy się.

– Dawno jest pan wariatem?

– Myślę, że zawsze byłem – odparł Spellmann. – Niech mi pan wierzy, że tylko w ten sposób człowiek może być w dzisiejszych czasach szczęśliwy. Co mnie obchodzi, jakie samoloty produkują zakłady Douglasa? Co mnie obchodzą skoki akcji A.T. i T.? Nic. Biorę do ręki którąś z pana książek albo napiję się czegoś, albo spojrzę na fotografię Sylwii i jestem szczęśliwy. Jestem jak ptak. Ale nie jakiś byle sobie ptak. Jestem... – Umilkł, jakby szukając właściwego słowa, i zaraz dodał prędko: – Jestem śliczny mały bocian. – Zaczerwienił się. Wbił wzrok w Ryszarda Gordona, wargi drżały mu konwulsyjnie. W tej samej chwili młody blondyn atletycznej budowy odłączył się od gromadki w głębi baru, podszedł do Spellmanna i położył mu rękę na ramieniu.

– Chodź, Harold – powiedział. – Czas pójść do domu.

Spellmann spojrzał dziko na Gordona. – Ten człowiek drwił z bociana! – zawołał. – Odsunął się od bociana. Od bociana, który zatacza kręgi wysoko w powietrzu.

– Chodź, Harold – powtórzył atletyczny blondyn.

Spellmann wyciągnął rękę. – Bez urazy – powiedział. – Pan jest dobrym pisarzem. Powinien pan pisać dalej. Niech pan pamięta, że ja zawsze jestem szczęśliwy. Niech pan nic sobie nie robi z ich gadania. Do zobaczenia.

Atletyczny blondyn objął Spellmanna ramieniem i tak przeszli obaj przez zatłoczoną salę aż do drzwi. Spellmann obejrzał się i mrugnął do Gordona.

– Sympatyczny facet – powiedział gospodarz. Stuknął się palcem w czoło. – Bardzo wykształcony. Moim zdaniem za dużo czyta. Lubi tłuc szklanki. Nie robi tego w złości. Płaci za wszystko.

– Często tu przychodzi?

– Co wieczór. Mówił, kim jest dzisiaj? Pewnie łabędziem?

– Bocianem.

– Wczoraj był koniem. Ze skrzydłami. Takim jak na butelce whisky, tylko że ze skrzydłami. Sympatyczny facet, nie można powiedzieć. Forsy jak lodu. Ale dzikie pomysły przychodzą mu czasem do głowy. Rodzice trzymają go tu z opiekunem. Mówił mi, że lubi pana książki. Czego się pan napije? Na mój rachunek.

– Whisky – odparł Ryszard Gordon. Zobaczył szeryfa, szedł w jego stronę. Szeryf był chudy jak kościotrup i niezwykle przyjacielski. Ryszard Gordon spotkał go tego popołudnia u Bradleyów i rozmawiał z nim o napadzie na bank.

– Jeżeli nie ma pan nic lepszego do roboty – powiedział szeryf – zabiorę pana ze sobą, ale trochę później. Straż przybrzeżna holuje do portu kuter Harry’ego Morgana. Sygnalizowali z jakiegoś tankowca, że go widzą na wysokości Matacumbe. Mają całą bandę.

– Mój Boże! – zawołał Ryszard Gordon. – Złapali wszystkich?

– Tak, ale tylko jeden żyje. Reszta trupy. Taką dostaliśmy wiadomość.

– Nie wie pan, kto?

– Nie, nie podali nam. Bóg jeden raczy wiedzieć co się tam działo na tym kutrze.

– A pieniądze?

– Nie wiadomo. Jeżeli nie dopłynęli na Kubę, pieniądze muszą być na pokładzie.

– Kiedy tu będą?

– Och, najwcześniej za dwie, trzy godziny.

– Gdzie wprowadzą kuter?

– Prawdopodobnie do Doku Marynarki. Tam, gdzie straż przybrzeżna trzyma swoje jednostki.

– Gdzie się spotkamy?

– Wstąpię tu po pana.

– Tu albo do baru Freddy’ego. Mam już dość tej dziury.

– U Freddy’ego będzie dziś gorąco. Cały lokal nabity weteranami z obozu na Keys. Zawsze robią piekło.

– Pójdę zobaczyć – powiedział Ryszard Gordon. – Jestem dzisiaj jakiś bez humoru.

– Tylko niech się pan nie da sprowokować – ostrzegł szeryf. – Wpadnę tam za dwie godziny. Podwieźć pana?

– Tak, bardzo proszę.

Przedostali się przez tłum i wsiedli do samochodu. Ryszard Gordon usiadł obok szeryfa.

– Jak pan myśli, co się mogło dziać na kutrze Harry’ego Morgana?

– Bóg raczy wiedzieć – odparł szeryf. – Wygląda to dosyć ponuro.

– Nie znacie żadnych szczegółów?

– Żadnych – powiedział szeryf. – Niech pan spojrzy. Widzi pan?

Znajdowali się naprzeciwko jasno oświetlonego wejścia i szeroko otwartych drzwi do baru Freddy’ego, skąd tłum wylewał się aż na chodnik. Mężczyźni w drelichach, niektórzy z

gołymi głowami, inni w czapkach z daszkiem, w starych wojskowych furazerkach, w hełmach z tektury, oblegali bufet, z głośnika gramofonu płynęły dźwięki „Capri”. W chwili, gdy szeryf zatrzymywał samochód, z otwartych drzwi baru wypadł jakiś mężczyzna, za nim drugi uczepony jego pleców. Runęli, potoczyli się po chodniku i ten, który był na wierzchu, chwycił drugiego obiema rękami za włosy i zaczął walić jego głową o beton, przy czym rozlegało się ohydne głucho dudnienie. Nikt z obecnych nie zwracał na to uwagi.

Szeryf wysiadł z samochodu i szarpnął za ramię tego, który był na wierzchu.

– Dość już – powiedział. – Wstawaj!

Mężczyzna podniósł się i spojrzał na szeryfa. – Na miłość boską, czego się pan pchasz w nie swoje sprawy?

Ten drugi przysunął się do szeryfa z podniesionymi pięściami. Miał krew we włosach, krew ciekła mu z jednego ucha, spływała po piegowatej twarzy.

– Odczep się od mojego kumpla – wymamrotał. – O co ci chodzi? Myślisz, że ja nie potrafię wytrzymać ciosów?

– Potrafisz, potrafisz, Jack – powiedział ten, który walił jego głową o bruk. – Słuchaj no – zwrócił się do szeryfa – nie mógłbyś mi pożyczyć dolara?

– Nie.

– To idź do diabła. A ty, bracie?

– Postawię wam kolejkę – odparł Ryszard Gordon.

– No to chodźmy! – zawołał weteran biorąc Ryszarda Gordona pod rękę.

– Wpadnę później – powiedział szeryf.

– Doskonale. Będę na pana czekał.

Kiedy przeciskali się przez tłum do bufetu, piegowaty rudzielec o zakrwawionym uchu i twarzy wziął Gordona z drugiej strony pod ramię.

– Mój stary kumpel – powiedział.

– Nic mu nie będzie – wtrącił drugi. – On dobrze wytrzymuje ciosy.

– Słyszysz? Mówi, że ja dobrze wytrzymuję ciosy – ucieszył się zakrwawiony. – W tym jest moja przewaga nad nimi.

– Ale sam bić nie potrafisz! – zawołał ktoś z tłumu. – Przestań się pchać.

– Przepuście nas – zażądał zakrwawiony. – Przepuście mnie i mojego starego kumpla. – Potem wyszeptał do Ryszarda Gordona: – Nie muszę się bić. Dobrze wytrzymuję ciosy. Rozumiesz?

– Wiesz – odezwał się drugi weteran, kiedy wreszcie dotarli do zachłapanego piwem kontuaru – trzeba ci go było widzieć dziś w południe u komisarza obozu piątego. Siadłem na

nim okraciem i grzmociłem go po łbie butelką. Zupełnie jakby kto walił w bęben. Mogę się założyć, że walnąłem go z pięćdziesiąt razy.

– Więcej – sprostował ten zakrwawiony.

– I to nie robiło na nim żadnego wrażenia.

– Bo ja dobrze wytrzymuję ciosy – powiedział tamten. Wyszepiał Gordonowi do ucha:

– To jest sekret.

Ryszard Gordon podał swoim towarzyszom dwa z trzech kufli piwa, które napełnił i podsunął mu brzuchaty Murzyn w białym kitlu barmana.

– Co jest sekret?

– To – wymamrotał zakrwawiony rudzielec. – Ja mam sekret.

– On naprawdę ma sekret – zapewnił Gordona drugi weteran. – To nie żadna bujda.

– Powiedzieć ci? – spytał szeptem rudzielec.

Gordon skinął głową.

– To mnie nic nie boli.

Drugi weteran potwierdził jego słowa ruchem głowy. – Powiedz mu to najgorsze.

Rudowłosy prawie że przytknął zakrwawione wargi do ucha Gordona.

– Czasem jest mi z tym przyjemnie – powiedział. – Co ty na to?

Obok Gordona stał wysoki, chudy mężczyzna, miał na twarzy szramę biegnącą od kącika oka do brody. Spoglądał na rudzielca i uśmiechał się drwiąco.

– Najpierw robił to dla sztuki – powiedział. – Potem w tym zasmakował. Gdybym miał skłonności do rzygania, rzygałbym na twój widok.

– Jakoś łatwo rzygasz – odciął się pierwszy weteran. – W jakiej broni służyłeś?

– I tak nic nie zrozumiesz, pijusie – odparł wysoki.

– Napije się pan? – spytał Gordon.

– Nie, dziękuję. Mam pełną szklanekę.

– Pamiętaj o nas, bracie – powiedział jeden z dwóch mężczyzn, z którymi Gordon wszedł do baru.

– Trzy piwa – zwrócił się Gordon do barmana. Murzyn napełnił kufle i postawił na kontuarze. W tłumie trudno było podnieść rękę z kuflem do ust i Gordon został przyciśnięty do boku wysokiego sąsiada.

– Ze statku? – spytał wysoki.

– Nie, mieszkam tutaj. Pan z Keys?

– Przyjechaliśmy dzisiaj z Tortugas – odparł wysoki. – Robiliśmy takie piekło, że nie mogli nas tam dłużej trzymać.

– On jest czerwony – wyjaśnił pierwszy weteran.

– Ty byś też był czerwony, gdybyś miał chociaż trochę oleju w głowie – powiedział wysoki. – Posłali nas tam całą gromadą, bo chcieli się nas pozbyć, ale robiliśmy takie piekło, że nie dali rady. – Uśmiechnął się do Gordona.

– W łeb tego łachudrę! – wrzasnął ktoś i Ryszard Gordon zobaczył pięść spadającą na twarz, która pokazała się tuż obok niego. Dwaj mężczyźni pochwycili uderzonego i odciągnęli go od bufetu. Kiedy znaleźli się na wolnej przestrzeni, jeden z nich powtórnie grzmotnął go w twarz z całej siły, drugi uderzył w plecy. Upadł na betonową podłogę i zakrył głowę rękami, a wtedy jeden z napastników kopnął go w pośladek. Przez cały czas napadnięty ani razu nie dobył głosu. Jeden z mężczyzn szarpnięciem zmusił go do powstania i pchnął na ścianę.

– Przerób tego skurwysyna – powiedział i gdy tamten, blady, chwiał się pod ścianą, drugi napastnik stanął w boksterskiej postawie, z kolanami lekko zgiętymi, i zamachnął się prawą pięścią zataczając nią łuk od miejsca tuż nad betonową podłogą do szczęki napadniętego. Tamten padł na kolana, a potem miękko osunął się na podłogę i leżał z głową w kałuży krwi. Dwaj weterani zostawili go tam i wrócili do bufetu.

– Bracie, ale ty masz pięść – powiedział ktoś w tłumie.

– Ten skurwysyn przychodzi do miasta i składa cały żołąd na książeczkę oszczędnościową, a potem pęta się po barze i ściąga z bufetu pełne szklanki – odparł zagadnięty. – Już drugi raz go tak przerobiłem.

– Tym razem przerobiłeś go na dobre.

– Jak go teraz trzepnąłem, to pod pięścią szczęka zrobiła mu się jak woreczek z kostkami do gry – powiedział tamten, uradowany. Napadnięty leżał pod ścianą, nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Te, jakbyś mnie tak uderzył, nawet bym nie mrugnął – przechwalał się weteran z rudymi włosami.

– Zamknij się, półgłówku – odparł specjalista od przerabiania. – Masz syfa.

– Nieprawda, nie mam.

– Mdło mi się robi, jak patrzę na was, pijaków – powiedział przerabiacz. – Niby dlaczego miałbym sobie kaleczyć pięści o wasze gęby?

– A właśnie, pokaleczyłybyś sobie pięści – zawołał rudy. Potem do Gordona: – Słuchaj, bracie, może byśmy się tak napili?

– Miłe chłopaczki, co? – spytał wysoki. – Wojna oczyszcza i uszlachetnia. Zagadnienie sprowadza się do jednego: czy tylko ludzie tacy jak my nadają się do żołnierki,

czy też służba w rozmaitych broniach ukształtowała nas w ten sposób?

– Nie wiem – odparł Ryszard Gordon.

– Mógłbym się założyć, że najwyżej trzej w tym barze poszli z poboru – ciągnął wysoki. – Reszta to ochotnicy. Ma pan przed sobą elitę. Kwiat narodu. Dzięki takim jak my Wellington zwyciężył pod Waterloo. No cóż, pan Hoover wysiadał nas z nizin Anticosti, a pan Roosevelt wysłał całe bractwo tutaj, w nadziei, że się nas raz na zawsze pozbędzie. Tak prowadzą obóz, jakby chcieli wywołać epidemię, ale ci biedacy ani myślą zdychać. Przenieśli małą grupę na Tortugas, ale na Tortugas klimat jest teraz zdrowy. Co więcej, nam się tam nie podobało. Wobec tego przywieźli nas z powrotem. Jakie będzie następne posunięcie? Muszą nas w jakiś sposób zlikwidować. Pan to rozumie, prawda?

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że jesteśmy desperatami – odparł wysoki. – Jesteśmy ludźmi, którzy nie mają nic do stracenia. Bydło w najwyższym stopniu. Jesteśmy gorsi od tej hałastry, na której opierał się Spartakus, wie pan, ten historyczny Spartakus. Tylko że niełatwo coś z nami zrobić, bo jesteśmy tak zmaltretowani, że jedyną pociechę znajdujemy w alkoholu, a jedyny powód do dumy w umiejętności picia. Ale nie wszyscy jesteśmy tacy. Niektórzy pokażą jeszcze, co potrafią.

– Dużo jest komunistów w obozie? – spytał Ryszard Gordon.

– Najwyżej czterdziestu – odparł wysoki. – Na dwa tysiące. Nie można być komunistą bez dyscypliny i bez wyrzeczeń. Pijak nie może być komunistą.

– Nie słuchaj, co on gada – przerwał rudy. – On jest śmierzący radykał.

– Posłuchaj lepiej, co ci powiem – odezwał się drugi weteran. – O tym, jak jest we flocie wojennej. Ten śmierzący radykał niech też słucha.

– Ale jego gadania nie słuchaj – upierał się rudzielec. – Jak jednostki floty wpłyną do portu w Nowym Jorku i schodzi się na ląd, wieczorem stają pod bulwarem Riverside Drive starzy faceci i za dolara można im nasikać w brodę. No i co ty na to?

– Postawię ci piwo – powiedział wysoki – tylko o tym zapomnij.

– Ja nigdy niczego nie zapominam – obraził się rudzielec. – Co z tobą, bracie?

– Czy to jest prawda, to o brodach? – spytał Ryszard Gordon. Zrobiło mu się trochę niedobrze.

– Przysięgam na Boga i moją matkę – odparł rudzielec. – Cholera, ale to jeszcze nic.

Trochę dalej przy bufecie jakiś weteran wyklócał się z Freddyem o wypity alkohol.

– Tyleś pan wypił – mówił Freddy.

Ryszard Gordon obserwował twarz weterana. Był bardzo pijany, oczy mu nabiegły

krwią, rwał się do bójki.

– Łżesz jak pies – powiedział do Freddy’ego.

– Osiemdziesiąt pięć centów – powtórzył Freddy.

– Teraz uważaj – mruknął rudzielec do Gordona.

Freddy rozpostarł obie dłonie na kontuarze. Obserwował uważnie weterana.

– Łżesz jak pies – powtórzył weteran chwytając za kufel. W chwili, gdy jego palce zamknęły się na kuflu, Freddy oderwał prawą dłoń od kontuaru, zatoczył nią półkole i grzmotnął weterana w skroń dużą solniczką owiniętą w ścierkę.

– A to mu się udało! – zawołał rudzielec. – Ładne było, co?

– Żałuj, żeś nie widział, jak on ich trzepie po głowach odpiłowanym końcem kija bilardowego – wtrącił drugi weteran.

Dwaj weterani stojący przy bufecie najbliższej miejsca, które opróżnił ten od solniczki, spojrzeli wściekle na Freddy’ego. – I po coś go pan tak przerobił?

– Wolnego, wolnego – powiedział Freddy. – Stawiam kolejkę. Hej, Wallace! – zawołał. – Przenieś tego faceta pod ścianę.

– Ładne było, co? – spytał rudzielec Gordona. – Śliczne, prawda?

Młody mężczyzna atletycznej budowy wywłókł stukniętego solniczką z tłumu. Dźwignął go i postawił na nogi, mężczyzna spojrzał na niego nieprzytomnie. – Zmykaj – powiedział mu. – Przewietrz się trochę.

Pod ścianą, z głową w rękach, siedział mężczyzna, który pierwszy został „przerobiony”. Podeszedł do niego atletyczny młodzieniec.

– Ty też zmykaj – powiedział. – Nic dobrego cię tu nie spotka.

– Złamali mi szczękę – wymamrotał tamten. Krew ciekła mu z ust i spływała po brodzie.

– Masz szczęście, że cię nie zabił tym ciosem – powiedział atleta. – No, zmykaj!

– Złamali mi szczękę – powtórzył tamten tępo. – Złamali mi szczękę.

– Radzę ci zmykać. Nic dobrego cię tu nie spotka.

Pomógł mu się podnieść i mężczyzna ze złamaną szczęką wyszedł chwiejnym krokiem na ulicę.

– Jak wieczór jest udany, widuje się ze dwunastu leżących pod ścianą – objaśnił rudzielec. – A kiedyś rano widziałem, jak ten tu czarny grubas zlewał wszystko wodą z kubła. Nie widziałem, jak zlewałaś wszystko wodą z kubła? – spytał ogromnego Murzyna za barem.

– A jakże, proszę pana – odparł barman. – Dużo razy. A jakże. Ale nie widział pan, żebym się kiedy z kim bił.

– Nie mówiłem? – zawołał rudzielec. – Wodą z kubła.

– Wygląda na to, że będzie zabawa pierwsza klasa – wtrącił drugi weteran. – Mówiłeś co, bracie? – zwrócił się do Ryszarda Gordona. – Może byśmy się tak napili?

Ryszard Gordon czuł, że się powoli upija. Zobaczył swoją twarz w lustrze za barem i wydała mu się obca.

– Jak się pan nazywa? – spytał wysokiego komunistę.

– Jacks – odparł tamten. – Nelson Jacks.

– Gdzie pan był, zanim pan tu przyjechał?

– Och, wszędzie po trochu. W Meksyku, na Kubie, w Ameryce Południowej. Trochę tu, trochę tam.

– Zazdroszczę panu – powiedział Gordon.

– Dlaczego mi pan zazdrości? Dlaczego pan nie pracuje?

– Napisałem trzy książki – odparł Ryszard Gordon. – Teraz piszę powieść o Gastonii.

– Pięknie – pochwalił wysoki. – Wspaniale. A właściwie jak się pan nazywa?

– Ryszard Gordon.

– Och – powiedział wysoki.

– Co miało znaczyć to „och”? – spytał Gordon.

– Nic – odparł tamten.

– Może czytał pan moje książki?

– Uhm.

– Nie podobały się panu?

– Nie.

– Dlaczego?

– Wolałbym nie mówić.

– Niech pan powie.

– Pana książki to gówno – oznajmił wysoki i odwrócił się do Gordona plecami.

– Zdaje się, że mam dzisiaj swój dzień – powiedział Ryszard Gordon. – Swój wielki dzień. Czego się napijesz? – spytał rudzielca. – Mam jeszcze dwa dolary.

– Piwa – odparł rudy. – Słuchaj, jestem twój przyjaciel. Uważam, że piszesz pierwszorzędną książkę. Niech cholera tego czerwonego drania.

– Nie masz przy sobie jakiejś swojej książki? – spytał drugi weteran. – Chętnie bym przeczytał. Pisałeś może kiedy do „Opowieści z Dzikiego Zachodu” albo do „Asów Wywiadu”? Bracie, mógłbym to czytać co dzień.

– Co to za jeden, ten wysoki? – spytał Ryszard Gordon.

– Mówię ci, że to jest zwyczajny czerwony drań – odparł drugi weteran. – W obozie takich pełno. Przegoniliśmy ich, ale mówię ci, że większość facetów nie pamięta.

– Czego nie pamięta? – spytał rudy.

– Nic nie pamięta – odparł tamten.

– Widzisz mnie? – spytał rudy.

– Tak – powiedział Ryszard Gordon.

– Uwierzyłybyś, że mam żonę i że ta moja żona to najmiłsza i najlepsza kobieta na świecie?

– Dlaczego nie?

– No więc, mam żonę – ciągnął rudy. – Facetka za mną szaleje. Jest jak niewolnica. Mówię jej: „Daj mi jeszcze jedną filiżankę kawy”. A ona na to: „Już się robi, mężusiu”. I przynosi kawę. Tak samo ze wszystkim innym. Ubóstwia mnie. Moje kaprysy to dla niej prawo.

– Tylko gdzie ona jest? – spytał drugi weteran.

– O to chodzi – powiedział rudy. – O to chodzi, bracie. Gdzie ona jest?

– On nie wie, gdzie ona jest – wytłumaczył drugi weteran.

– Ale to nie wszystko – dodał rudy. – Nie wiem, gdzie ją ostatni raz widziałem.

– On nawet nie wie, w jakim kraju ona mieszka.

– Ale słuchaj, bracie – powiedział rudy. – Gdziekolwiek się podziewa, na pewno jest mi wierna.

– Święta prawda – zawołał drugi. – Możesz dać za to głowę.

– Czasem mi się zdaje – ciągnął rudzielec – że ona jest Ginger Rogers i gra w filmie.

– Dlaczego nie? – powiedział drugi.

– A kiedy indziej widzę ją, jak siedzi tam, gdzie mieszkałem, i czeka na mnie.

– Pilnuje domowego ogniska – dodał drugi.

– Właśnie. Moja żoneczka to najmiłsza kobieta na świecie.

– Wiesz – odezwał się po chwili drugi – moja matka też jest niczego sobie.

– Racja.

– Moja matka nie żyje – dodał. – Nie mówmy o niej.

– A ty, bracie, jesteś żonaty? – spytał rudy Ryszarda Gordona.

– Owszem – odparł Gordon. Trochę dalej przy bufecie zobaczył czerwoną twarz, niebieskie oczy i płowe, mokre od piwa wąsy profesora MacWalseya, dzieliło go od niego czterech mężczyzn. Profesor MacWalsey spoglądał prosto przed siebie i gdy Ryszard Gordon uporczywie się w niego wpatrywał, dopił do dna kufel piwa, wysunął górną wargę i otarł

pianę z wąsów. Ryszard Gordon zauważył, jak bardzo błękitne są jego oczy.

Patrząc na niego poczuł w piersi ciężar. I po raz pierwszy zrozumiał, co czuje mąż na widok człowieka, dla którego rzuca go żona.

– Co z tobą, bracie? – spytał rudy weteran.

– Nic.

– Nie czujesz się dobrze, widzę, że się źle czujesz.

– Aha – odparł Gordon.

– Masz taką minę, jakbyś zobaczył ducha.

– Widzisz tego faceta? Tego z wąsami? – spytał Ryszard Gordon.

– Tego tam?

– Tak.

– Co on zrobił? – spytał drugi weteran.

– Nic – odparł Ryszard Gordon. – Niech to wszyscy diabli. Nic.

– Naprzykrza ci się? Moglibyśmy go przerobić. Skoczmy na niego we trzech i dasz mu kilka porządnych kopniaków.

– Nie – powiedział Ryszard Gordon. – To nic nie pomoże.

– Przyskrzynimy go, jak wyjdzie na ulicę – zaproponował rudy. – Jego gęba mi się nie podoba. Skurwysyn wygląda na łamistrajka.

– Nienawidzę go – oznajmił Ryszard Gordon. – Zrujnował mi życie.

– Przetramy faceta – postanowił drugi weteran. – Takie bydlę. Słuchaj, rudy, postaraj się o dwie butelki. Zatłuczemy go na śmierć. Powiedz, kiedy on to zrobił? A co ty na to, żebyśmy się jeszcze napili?

– Mam dolara i siedemdziesiąt pięć centów – odparł Ryszard Gordon.

– To może weźmy lepiej butelkę czegoś mocniejszego – podsunął rudzielec. – Wcale nie czuję, że piłem.

– Nie – zaprotestował drugi weteran. – Piwo jest zdrowe. To jest piwo z beczki. Trzymajmy się piwa. Chodźcie, przetramy tego faceta, a potem wrócimy i napijemy się jeszcze po kuflu.

– Nie. Zostawcie go.

– Mowy nie ma. Nie znasz nas, bracie. Mówiłeś, że zrujnował ci żonę.

– Życie. Nie żonę.

– O rany! Przepraszam. Nie gniewaj się, stary.

– On obrabował bank – wtrącił drugi weteran. – Zakład, że wyznaczyci za niego nagrodę? Jak Boga kocham, widziałem dzisiaj na pocście afisz z jego fotografią.

– A coś ty robił na poczcie? – spytał podejrzliwie rudy.

– Nie mam prawa dostawać listów?

– A to obóz nie ma adresu?

– Może ci się zdaje, że chodziłem składać pieniądze na książeczkę?

– Gadaj, coś robił na poczcie?

– Nic. Przechodziłem tamtędy.

– To masz! – powiedział jego kumpel i grzmotnął go pięścią w twarz z takim rozmachem, na jaki pozwalała ciasnota przy bufecie.

– Spójrzcie na tę parę druhów od serca – zawołał ktoś w pobliżu. Złączonych w uścisku, młócących pięściami, kopiących i trykających głowami, wypchnięto obu za drzwi.

– Niech się biją na trotuarze – powiedział młody mężczyzna o szerokich barach. – Ci dranie robią to po kilka razy w ciągu nocy.

– Obaj są pijusy – wtrącił inny weteran. – Rudzielec był kiedyś dobrym bokserem, ale teraz ma zakażę.

– Obaj mają.

– Rudzielec zaraził się od jednego faceta na ringu – powiedział jakiś niski, krępy mężczyzna. – Ten facet miał zakażę i miał całe ramiona i plecy obsypane wrzodami. Ile razy się zwarli, tamten ocierał plecy o nos albo o usta rudzielca.

– Głupie gadanie. Po co rudzielec miałby przytykać twarz do jego pleców?

– Bo miał taki sposób trzymania głowy w zwarcu. O tak, na dół. A tamten facet robił to naumyślnie.

– Mówię ci, że głupie gadanie. Zwyczajna bujda. Nikt nie łapie zakazy na ringu.

– Tak ci się zdaje. Coś ci powiem. Rudzielec był najzdrowszym chłopakiem na świecie. Znałem go. Był w moim oddziale. Był pierwszorzędnym bokserem. A jak mówię, że pierwszorzędnym, to znaczy, że pierwszorzędnym. Miał żonę, miłą dziewczynę. A jak mówię, że miła, to znaczy, że miła. A ten Benny Sampson zaraził go paskudną chorobą, co jest takie pewne jak to, że obok was stoję.

– W takim razie siadaj – wtrącił inny. – Jak Poocky dostał zakazy?

– Gdzieś w Szanghaju.

– A ty gdzieś złapał?

– Ja wcale nie mam.

– A Sud?

– Zaraził się od dziewczyny w Breście, jak wracał do domu.

– Tylko o tym jednym potrafią gadać. O zakazie. Co za różnica, czy ją kto ma, czy nie

ma?

– Żadna, przynajmniej teraz, kiedy z nami jest, jak jest – powiedział inny weteran. – Człowiek żyje sobie z nią równie szczęśliwie jak bez niej.

– Poocky’emu żyje się nawet szczęśliwiej. Nie wie, na jakim jest świecie.

– Co to znaczy „zakaża”? – spytał profesor MacWalsey mężczyzny stojącego obok przy bufecie. Zapytany powiedział mu.

– Ciekawe, jakie jest pochodzenie tego słowa – zastanawiał się profesor MacWalsey.

– Nie wiem – odparł mężczyzna. – Odkąd mnie wzięli do wojska, zawsze słyszałem, jak na to mówili stara zakaża. Niektórzy mówią zakaża. Ale najczęściej stara zakaża.

– Bardzo chciałbym wiedzieć – ciągnął profesor MacWalsey. – W większości wypadków są to stare słowa.

– Dlaczego nazywają to starą zakażą? – zwrócił się weteran stojący obok MacWalseya do swojego sąsiada.

– Nie wiem.

Nikt nie wiedział, ale zasmakowali w atmosferze poważnej filologicznej dyskusji.

Ryszard Gordon stał teraz przy bufecie tuż obok profesora MacWalseya. Kiedy wybuchła bójka między rudzielcem a Poockym, tłum zepchnął go w tę stronę, a on nie stawiał oporu.

– Dobry wieczór – powiedział profesor MacWalsey. – Napije się pan czegoś?

– Z panem na pewno nie – odparł Ryszard Gordon.

– Ma pan chyba rację. Czy widział pan już kiedyś coś takiego?

– Nie – mruknął Gordon.

– To wszystko jest bardzo dziwne – ciągnął MacWalsey. – Ci ludzie mnie zdumiewają.

Wpadam tu zwykle wieczorem.

– I nie miał pan dotąd żadnych nieprzyjemności?

– Nie. Dlaczego miałbym mieć?

– Och, bójki między pijakami.

– Jakoś nigdy nie miewam tego rodzaju przygód.

– Kilka minut temu moi przyjaciele chcieli pana obić.

– Rozumiem.

– Teraz żałuję, że ich powstrzymałem.

– Nie sądzę, żeby to zmieniło cokolwiek – powiedział MacWalsey wymawiając słowa w swój dziwny sposób. – Jeżeli moja obecność panu przeszkadza, mogę odejść.

– Nie – odparł Ryszard Gordon. – W pewnym sensie jest mi nawet przyjemnie, że

stoję blisko pana.

– Rozumiem.

– Był pan już kiedyś żonaty?

– Tak.

– I co?

– Moja żona umarła w 1918 roku, podczas epidemii grypy.

– Dlaczego chce się pan teraz znowu żenić?

– Bo myślę, że teraz lepiej dałbym sobie z tym radę. Że byłbym lepszym mężem.

– I wobec tego wybrał pan moją żonę.

– Tak.

– Niech cię diabli – powiedział Ryszard Gordon i uderzył go w twarz.

Ktoś schwycił go za rękę. Uwolnił się i jednocześnie poczuł za uchem ból potężnego uderzenia. Widział przed sobą profesora MacWalseya, stał wciąż przy bufecie, twarz miał czerwoną, mrugał oczami. Wyciągał właśnie rękę po kufel piwa, w miejsce tego, które rozlał Gordon, i wtedy Gordon zamierzył się, żeby go uderzyć po raz drugi. Jednocześnie coś powtórnie wybuchło za jego uchem, wszystkie światła w barze rozjarzyły się, zawirowały, zgasły.

Potem nagle znalazł się przy drzwiach. W głowie mu huczało, zatłoczona sala chwiała się i wirowała, chwyciły go mdłości. Widział, że tłum na sali wpatruje się w niego. Młodzieniec o szerokich barach stał obok. – Niech pan tu nie wszczyna awantur – powiedział. – Dość mamy bójek i nieprzyjemności z tymi pijakami.

– Kto mnie uderzył? – spytał Ryszard Gordon.

– Ja pana uderzyłem – odparł atleta. – Tamten facet to nasz stały klient. Niech się pan uspokoi. Nie radzę rozpoczynać tu bójek.

Stojąc niepewnie w drzwiach Ryszard Gordon zobaczył, że profesor MacWalsey odrywa się od tłumy przy bufecie i idzie ku niemu. – Bardzo mi przykro – powiedział MacWalsey. – Nie chciałem, żeby pana bito. Nie mam do pana pretensji, że zareagował pan w ten sposób.

– Niech pana diabli – wymamrotał Ryszard Gordon i rzucił się na niego. Więcej nic już nie pamiętał, bo atletyczny młodzieniec przygotował się do ciosu, opuścił lekko ramiona i ponownie go uderzył; tym razem Gordon upadł twarzą na betonową podłogę. Atletyczny młodzieniec obrócił się do profesora MacWalseya. – Teraz już w porządku – powiedział uprzejmie. – Nie będzie się panu naprzykrzał. O co mu właściwie poszło?

– Muszę go odwieźć do domu – powiedział MacWalsey. – Myśli pan, że nic mu się nie

stało?

– Nie ma obawy.

– Niech mi pan pomoże wsadzić go do taksówki. – Wynieśli nieprzytomnego i z pomocą szofera umieścili w staroświeckim Fordzie typu T.

– Jest pan pewien, że nic mu się nie stało? – spytał profesor MacWalsey.

– Jak pan będzie chciał, żeby oprzytomniał, niech go pan pociągnie mocno za uszy. Zimna woda też dobrze robi. Ale niech pan uważa, żeby się na pana znowu nie rzucił.

– Dobrze – odparł MacWalsey.

Głowa Ryszarda Gordona leżała na oparciu taksówki dziwnie przekrzywiona, przy każdym oddechu rozlegało się głośnie rżenie. MacWalsey wsunął mu ramię pod głowę, żeby się nie obijała o oparcie.

– Dokąd? – spytał szofer.

– Na drugi koniec miasta – odparł MacWalsey. – Proszę minąć park i skrócić w tę ulicę, gdzie na rogu jest sklep z rybami.

– To jest Rocky Road, proszę pana.

– Tak – powiedział profesor MacWalsey.

Gdy mijali pierwszy bar kawowy, kazał szoferowi zatrzymać samochód. Chciał kupić papierosy. Ostrożnie położył głowę Gordona na oparciu i wszedł do baru. Gdy w chwilę potem wrócił, Gordona nie było w taksówce.

– Gdzie on jest? – spytał taksówkarza.

– O, idzie tam.

– Niech go pan dogoni.

Gdy taksówka zrównała się z nim, profesor MacWalsey wysiadł i zbliżył się do Gordona, który szedł chwiejnym krokiem po chodniku.

– Proszę pana, wracamy do domu – powiedział.

Ryszard Gordon spojrzał na niego.

– My? – spytał zataczając się.

– Chciałbym, żeby pan tą taksówką pojechał do domu.

– Niech pan idzie do wszystkich diabłów.

– Naprawdę pana proszę – powiedział MacWalsey. – Chciałbym, żeby pan cały i zdrowy wrócił do domu.

– Gdzie pan podział swoich zbirów? – spytał Ryszard Gordon.

– Moich zbirów?

– Tych, którzy mnie pobili.

– To wykidajło pana uderzył. Nie miałem pojęcia, że pana uderzy.

– Kłamię pan – wymamrotał Gordon. Zamierzył się pięścią na stojącego przed nim mężczyznę o czerwonej twarzy i chybił. Upadł na kolana, podniósł się z trudem na nogi. Zdarł sobie skórę z kolan, ale tego nie poczuł.

– Chodź pan tu – wymamrotał. – Zobaczymy, kto silniejszy.

– Nie mam zwyczaju się bić – odparł profesor MacWalsey. – Jeżeli pan wsiądzie do taksówki, zostawię pana samego.

– Idź do diabła – powiedział Ryszard Gordon i zaczął się oddalać.

– Zostaw go pan – zawołał taksówkarz. – Nic mu nie będzie.

– Myśli pan, że mu lepiej?

– Cholera – zaśmiał się taksówkarz. – Nie lepiej, tylko cudownie.

– Martwię się o niego – tłumaczył profesor MacWalsey.

– Nie wsadzi go pan do taksówki inaczej jak siłą – powiedział szofer. – Lepiej niech idzie. Nic mu nie będzie. To pana brat?

– Poniekąd – odparł profesor.

Odprowadzał wzrokiem zataczającego się Ryszarda Gordona, dopóki ten nie zniknął w cieniu ogromnych drzew, których zwisające gałęzie wrastały w ziemię jak korzenie. Jego myśli nie były przyjemne. „To jest straszny grzech – myślał – wielki, śmiertelny grzech i wielkie okrucieństwo, a chociaż religia formalnie godzi się z jego konsekwencjami, nigdy sobie nie wybaczę. Z drugiej strony chirurgowi nie wolno cofać się przed operacją z obawy, że pacjenta będzie bolało. Ale dlaczego wszystkie tego rodzaju operacje w życiu muszą być dokonywane bez środków znieczulających? Gdybym był lepszy, dałbym mu się pobić. To by mu przyniosło ulgę. Biedny, głupi człowiek. Biedny, bezdomny człowiek. Powinienem być z nim zostać, ale wiem, że trudno mu znieść moją obecność. Wstyd mi i mam do siebie obrzydzenie, i nienawidzę się za to, co zrobiłem. I wszystko może się jeszcze źle skończyć. Ale nie będę o tym myślał. Wrócę do środka znieczulającego, który zażywam od siedemnastu lat. Tylko że prawdopodobnie jest to już teraz nałóg, dla którego wymyślam preteksty. Swoją drogą jestem do tego nałogu stworzony. Tak bym chciał pomóc jakoś temu biedakowi, którego krzywdzę.”

– Jedziemy z powrotem do Freddy’ego – zwrócił się do szofera.

ROZDZIAŁ XV

Kuter straży przybrzeżnej holujący „Queen Conch” płynął kanałem między podwodną rafą a skałami. Był przyptyw i kuter podskakiwał na krótkiej fali, którą wzniewała lekka północna bryza wiejąca od lądu, ale łódź dała się holować łatwo i nie stawiała oporu.

– Nic się tej skorupie nie stanie, jeżeli tylko nie zaczniesz silniej dmuchać – powiedział kapitan. – Swoją drogą łatwa jest do holowania. Ten Roddy umiał budować łodzie. Połapałeś się w tym, co on gadał?

– Gadał od rzeczy – odparł mat. – Całkiem jak wariat.

– Moim zdaniem umrze – powiedział kapitan. – Taki postrzał w brzuch. Czy to on zabił tych czterech Kubańczyków?

– Co to można wiedzieć. Pytałem go, ale nie rozumiał, co do niego mówię.

– Może byśmy tak do niego znów zajrzeli?

– Nie zaszkodzi – odparł kapitan.

Zostawili bosmana przy sterze i podczas gdy kuter płynął na światła latarni u wylotu kanału, poszli do kajuty kapitana. Harry Morgan leżał na koi z rur metalowych. Oczy miał zamknięte, ale je otworzył, gdy kapitan dotknął jego szerokiego ramienia.

– Jak ci, Harry? – spytał kapitan. Harry spojrzał na niego, ale nie odpowiedział.

– Może ci coś podać, chłopie? – pytał dalej tamten.

Harry Morgan patrzył na niego.

– On pana nie słyszy – powiedział mat.

– Harry – ciągnął kapitan – może chciałbyś czego?

Wylał na ręcznik trochę wody z termosu wiszącego obok koi i zwilżył spękane wargi rannego. Były suche i szerniałe. Nie odrywając wzroku od kapitana Harry Morgan zaczął mówić: – Człowiek – wyszeptał.

– Właśnie, właśnie – powiedział kapitan. – Mów dalej.

– Człowiek – mówił Harry Morgan bardzo powoli – nie ma... nie... nie może... nie ma naprawdę ratunku. – Zamilkł. Gdy mówił, jego twarz nic nie wyrażała.

– Co dalej, Harry? – spytał kapitan. – Powiedz nam, kto to zrobił. Jak to się wszystko stało?

– Człowiek – powtórzył Harry Morgan wpatrując się w niego swymi wąskimi oczami, osadzonymi w płaskiej twarzy o wystających kościach policzkowych, usiłując mu teraz

powiedzieć.

– Czterej ludzie – podsunął kapitan. Zwilżył mu znów wargi, ścisnął ręcznik palcami i kilka kropel pociekło do ust.

– Człowiek – poprawił Harry Morgan. I umilkł.

– Dobrze. Człowiek – zgodził się kapitan.

– Człowiek – powiedział Harry Morgan spieczonymi wargami, głosem bezbarwnym, bardzo powoli. – Tak jak teraz wszystko jest jak wszystko idzie jak będzie cokolwiek zrobi – nic z tego.

Kapitan spojrział na matę i potrząsnął głową.

– Powiedz, Harry, kto to zrobił? – spytał mat.

Harry przeniósł na niego wzrok.

– Nie oszukuj samego siebie – powiedział. Kapitan i mat pochylili się nad nim. Nareszcie się dowiedzą. – To tak, jakby kto próbował wymijać samochody na szczycie góry. Na tej drodze na Kubie. Wszystko jedno, na jakiej drodze. Wszędzie. Z tym jest tak samo. To znaczy, w tej sytuacji, jaka jest. Jak się wszystko dzieje. Najpierw owszem, jakoś wszystko idzie, tak. Jak się ma trochę szczęścia. Człowiek. – Umilkł. Kapitan spojrział na matę i znowu potrząsnął głową. Harry Morgan wpatrywał się w niego tępo. Kapitan zwilżył mu wargi. Na ręczniku został krwawy ślad.

– Człowiek – powiedział Harry Morgan wpatrując się w nich obu. – Sam człowiek nie da rady. Teraz sam człowiek nic. Żeby nie wiem jak chciał, sam człowiek nie ma żadnych widoków.

Zamknął oczy. Na wypowiedzenie tego zużył dużo czasu, a na zrozumienie tego zużył całe życie.

Leżał z oczami znów otwartymi.

– Chodź – zwrócił się kapitan do maty. – Naprawdę nic nie potrzebujesz, stary?

Harry Morgan spojrział na niego, ale milczał. Powiedział im wszystko, tylko oni nie słyszeli.

– Wrócimy niedługo. Trzymaj się, chłopie.

Harry Morgan odprowadził ich wzrokiem.

Na dziobie w budce sternika mat obserwował zapadający zmrok i światło latarni w Sombrero wynurzające się z morza. – Skóra na mnie cierpła, jak słuchałem tego jego bredzenia – powiedział.

– Biedaczysko – dorzucił kapitan. – Ale już niedługo przybijemy. Zniesie się go na ląd

zaraz po północy. Żebyśmy tylko nie musieli zwolnić przez to holowania.

– Myśli pan, że on będzie żył?

– Nie – odparł kapitan. – Chociaż nigdy nie wiadomo.

ROZDZIAŁ XVI

Tłum zebrał się w ciemnej ulicy przed żelazną bramą zamykającą wejście do dawnej bazy łodzi podwodnych, przeznaczonej obecnie na basen dla jachtów. Tak, jak mu polecono, kubański strażnik nie wpuszczał do środka nikogo, ale ludzie napierali na bramę usiłując zajrzeć przez szpary między żelaznymi prętami w ciemną, ogrodzoną przestrzeń, oświetloną wzdłuż linii wody światłami jachtów przycumowanych do molo. Tłum był spokojny, jak tylko tłum z Key West potrafi być spokojny. Rozpychając się łokciami dwaj jachtsmeni utorowali sobie drogę do bramy i mieli już minąć strażnika.

– Hej, nie wolno wchodzić – zawołał strażnik.

– Oszalałeś pan? Wracamy na jacht.

– Nikomu nie wolno wchodzić – powtórzył strażnik.

– Proszę nie mówić głupstw – powiedział jeden z mężczyzn i odepchnąwszy Kubańczyka ruszył drogą prowadzącą na przystań.

Zostawili za sobą tłum stłoczony przy bramie, obok której stał mały wąsaty strażnik w czapce, zbity z tropu i niespokojny, zgnębiony poczuciem straty autorytetu, żalujący w duchu, że nie ma klucza i nie może zamknąć bramy, a gdy szli różnym krokiem wznoszącą się pod górę drogą, najpierw zobaczyli z daleka, a potem wyminęli gromadkę mężczyzn stojących na molo straży przybrzeżnej. Nie zwróciwszy na nich uwagi szli dalej nabrzeżem mijając kolejno mola, przy których stały zakotwiczone jachty, aż w końcu doszli do miejsca, gdzie w oślepiającym świetle reflektorów trap łączył nieheblowane deski pomostu z mahoniowym pokładem „New Exuma II”. Weszli do głównej kabiny i usiedli w ogromnych skórzanych fotelach obok długiego stołu zarzuconego czasopismami. Jeden z nich zadzwonił na stewarda.

– Whisky z wodą – powiedział. – A ty, Henryku?

– To samo – odparł Henryk Carpenter.

– Co temu głupcowi przy bramie strzeliło do głowy?

– Nie mam pojęcia.

Steward w białym kitlu przyniósł dwie szklanki.

– Nastaw te płyty, które wybrałem po obiedzie – powiedział właściciel jachtu, Wallace Johnston.

– Bardzo mi przykro, proszę pana, ale odłożyłem je na miejsce.

– Niech cię diabli – wybuchnął Wallace Johnston. – Puść w takim razie te z nowego

albumu Bacha.

– W tej chwili, proszę pana. – Steward wyjął z szafki z płytami album i zaniósł go do gramofonu. Nastawił „Sarabandę”.

– Widziałeś dzisiaj Tommy’ego Bradleya? – spytał Henryk Carpenter. – Był na lotnisku.

– Nie znoszę Bradleya – odparł Wallace Johnston. – I tej jego kurwy żony.

– A ja lubię Helenę – powiedział Carpenter. – Umie używać życia.

– Sprawdzałeś?

– Naturalnie. Robi to nadzwyczajnie.

– Dla mnie jest wstrętą – oznajmił Wallace Johnston. – Po co ona tu, na miłość boską, przyjeżdża?

– Mają śliczną posiadłość w Key West.

– Ładny i dobrze utrzymany basen jachtowy – powiedział Wallace Johnston. – Czy to prawda, że Tommy Bradley jest impotentem?

– Nie przypuszczam. Słyszysz się to dosłownie o wszystkich. Jest tylko wyrozumiała. Helena to niezwykle miła kobieta. Na pewno byś ją polubił, Wally.

– Na pewno nie – odparł Johnston. – Ma w sobie wszystko, czego nie cierpię u kobiety, a w Tommym Bradleyu koncentruje się wszystko to, czego nie cierpię u mężczyzny.

– Jesteś dzisiaj bardzo pewny swojego zdania.

– Ty za to nigdy nie jesteś pewny swojego zdania, ponieważ brak ci konsekwencji – powiedział Johnston. – Nie potrafisz się na nic zdecydować. Nawet nie wiesz, czym jesteś.

– Nie mówmy o mnie – poprosił Henryk Carpenter. Zapalił papierosa.

– Dlaczego nie miałbym mówić o tobie?

– Choćby dlatego, że jestem z tobą na tym przeklętym jachcie i przynajmniej w połowie wypadków robię to, na co masz ochotę, dzięki czemu ci, którzy wiedzą, kim są i kim ty jesteś, nie szantażują cię i nie wyciągają od ciebie pieniędzy.

– Skąd ten straszny humor? – spytał Wallace Johnston. – Wiesz doskonale, że nie pozwalam się szantażować.

– Słusznie. Jesteś na to za twardy. Zamiast narażać się na szantaże, wybierasz sobie przyjaciół w moim rodzaju.

– Wiesz, że jesteś moim jedynym przyjacielem.

– Skończ z tym czarowaniem – powiedział Henryk Carpenter. – Nie potrafię zdobyć się dzisiaj na ten ton. Słuchaj sobie Bacha, ubliżaj swojemu służącemu, wypij trochę za dużo i potem idź spać.

– Co się z tobą dzieje? – spytał Johnston wstając. – Dlaczego zrobiłeś się nagle antypatyczny? Między nami mówiąc nie jesteś takim znowu nadzwyczajnym nabytkiem.

– Wiem o tym – powiedział Henryk Carpenter. – Jutro będę znowu wesolutki jak ptaszek. Ale dzisiaj mam złą noc. Nie zauważyłeś, że noce różnią się między sobą? Przypuszczam, że jak się jest dostatecznie bogatym, nie istnieją już żadne różnice.

– Mówisz jak pensjonarka.

– Dobranoc – powiedział Carpenter. – Nie jestem pensjonarką. Ani sztubakiem. Idę spać. Jutro rano wszystko będzie znowu cacy.

– Ile przegrałeś? Czy dlatego jesteś taki ponury?

– Przegrałem trzysta dolarów.

– Widzisz? Zaraz wiedziałem, że to dlatego.

– Ty zawsze wszystko wiesz, prawda?

– Nie o to chodzi. Przegrałeś trzysta dolarów.

– Przegrałem znacznie więcej.

– Ile?

– Główną stawkę – powiedział Henryk Carpenter. – Murowaną główną stawkę. Obecnie gram w grę, w której nie padają żadne stawki. Tylko że akurat dzisiaj przyszło mi to do głowy. Przeważnie o tym nie myślę. Teraz idę spać i nie będę cię więcej nudził.

– Nie nudzisz mnie. Ale postaraj się być trochę mniej impertynencki.

– Niestety, jestem impertynencki, a ty mnie nudzisz. Dobranoc. Jutro wszystko będzie znów dobrze.

– Jesteś piekielnie impertynencki.

– Jak ci się nie podoba, nie słuchaj – powiedział Henryk Carpenter. – Całe życie trzymałem się tej zasady.

– Dobranoc – odparł Johnston z nadzieją w głosie.

Henryk Carpenter nie odpowiedział. Słuchał Bacha.

– Nie kładź się spać w takim nastroju! – przerwał milczenie Wallace Johnston. – Nie bądź przewrażliwiony.

– Daj mi spokój.

– Ani myślę. Zdarzyło się już, że zły humor mijał ci bez śladu.

– Daj mi spokój.

– Napij się whisky. Dobrze ci robi.

– Nie mam ochoty pić whisky i whisky dobrze mi nie robi.

– No to idź spać.

– Zaraz to zrobię.

Taka była tego wieczoru sytuacja na „New Exuma II”. Jachtem dowodził kapitan Nils Larson, a na pokładzie oprócz dwunastu ludzi załogi znajdował się Wallace Johnston, właściciel, lat trzydzieści osiem, magister nauk humanistycznych, wychowanek Uniwersytetu Harvarda, kompozytor czerpiący dochody z fabryk jedwabiu, kawaler, *interdit de sejour* w Paryżu, dobrze znany od Algieru po Biskrę, oraz jego gość, Henryk Carpenter, lat trzydzieści sześć, magister nauk humanistycznych, wychowanek Uniwersytetu Harvarda, aktualne dochody dwieście dolarów miesięcznie dożywocia zostawionego mu przez matkę, przedtem czterysta pięćdziesiąt dolarów miesięcznie, póki bank powierniczy nie zamienił jednych dobrych papierów wartościowych na inne dobre papiery wartościowe, na inne trochę gorsze papiery wartościowe i w końcu na hipotekę budynku biurowego, który był dla banku prawdziwą kulą u nogi i nie dawał żadnych dochodów. Na długo przed tym zmniejszeniem dochodów znajomi mówili o Henryku Carpenterze, że gdyby go zrzucano z wysokości pięciu tysięcy stóp bez spadochronu, wylądowałby przy stole jakiegoś milionera. Ale był dobrym towarzyszem zabaw i tym płacił za okazywaną sobie gościnność, a chociaż dopiero w ostatnim czasie – i to rzadko – wpadał w podobne nastroje czy wybuchał tak, jak się to zdarzyło dzisiejszego wieczoru, jego przyjaciele od dawna odnosili wrażenie, że Henryk Carpenter się kończy. Gdyby nie odgadywano, że się kończy – z charakterystyczną dla ludzi bogatych instynktowną umiejętnością wyczucia momentu, w którym z członkiem własnego klanu zaczyna się dziać coś złego, i ze zdrowym pragnieniem odpędzenia go od siebie, jeżeli nie można go zniszczyć – Henryk Carpenter nie musiałby przyjąć gościny Wallace’a Johnstona. Tak, jak się rzeczy miały, Wallace Johnston ze swymi dość szczególnymi skłonnościami był ostatnią deską ratunku Henryka Carpentera, który uczciwie dążąc do zerwania ich stosunku bronił swojej pozycji lepiej, niż się tego domyślał. Wynikająca stąd brutalność jego słów i szczere wahanie intrygowały i czarowały Johnstona, który – zważywszy wiek Carpentera – mógł być się łatwo znudzić stale okazywaną mu powolnością. W ten sposób Henryk Carpenter opóźniał swoje nieuniknione samobójstwo o tygodnie, jeśli nie o miesiące.

Miesięczny dochód, przy którym życie straciło dla niego wszelką wartość, wynosił o sto siedemdziesiąt dolarów więcej niż suma, za jaką rybak Albert Tracy utrzymywał rodzinę w chwili swojej śmierci przed trzema dniami.

Na innych jachtach zakotwiczonych przy moło znajdowali się inni ludzie z innymi problemami. Na jednym z największych – ładnym czarnym trzymasztowcu – leżał nie śpiąc sześćdziesięcioletni makler zbożowy, zdenerwowany nadesłaną mu z biura wiadomością o

kontroli przeprowadzonej przez inspektorów urzędu podatkowego. Normalnie o tej porze nocy uciszyłby niepokój szklanką whisky z lodem, osiągając stan, w którym czuł się tak zuchwały i tak niebaczny na następstwa jak dawni piraci; a trzeba przyznać, że miał z nimi wiele wspólnego zarówno pod względem charakteru, jak i zasad postępowania. Ale lekarze zabronili mu pić przez miesiąc, właściwie przez trzy miesiące; powiedzieli, że jeśli nie powstrzyma się od picia przez trzy miesiące, umrze w ciągu roku, więc postanowił nie brać alkoholu do ust przez miesiąc. A teraz leżał i dręczył się myślą o rozmowie telefonicznej, jaką urząd podatkowy przeprowadził z nim tuż przed jego wyjazdem z miasta; pytali dokładnie, dokąd jedzie i czy zamierza opuścić wody terytorialne Stanów Zjednoczonych.

Leżał teraz w pidżamie na swoim szerokim łóżku, z dwiema poduszkami pod głową, lampkę nocną miał zapaloną, ale nie mógł skupić myśli na książce, zawierającej opis podróży na Galapagos. W dawnych czasach nie kładł się z nimi nigdy do tego łóżka. Brał je w ich kabinach, a potem wracał tutaj. Był to jego apartament, pomieszczenie o charakterze tak prywatnym jak jego biuro w mieście. Nigdy nie chciał mieć kobiety w swoim pokoju. Jeżeli chciał kobiety, szedł do jej pokoju i gdy było po wszystkim, było po wszystkim, a teraz, kiedy dla niego było już na dobre po wszystkim, jego umysł działał z tą samą chłodną jasnością, którą dawniej osiągał po akcie. I leżał teraz, pozbawiony dobroczynnego oszołomienia, pozbawiony całej chemicznie wznieconej odwagi, która uspokajała jego myśli i rozgrzewała serce, i zastanawiał się, jakie dowody mogą inspektorzy mieć w ręku, co znaleźli naprawdę i co przeinaczają, co uznają za prawidłowe i w czym dopatrzą się przestępstwa podatkowego. Ale nie bał się ich, tylko ich nienawidził i nienawidził władzy, której użyją przeciwko niemu tak zuchwale, że przedrą się przez całe jego zuchwalstwo, to despotyczne, nieustępliwe, chamskie zuchwalstwo, jego jedyną trwałą zdobycz i jedyną naprawdę istotną; przedrą się przez nie i zmiażdżą je, jeżeli da im się zastraszyć.

Myśli jego nie szły torami abstrakcji, tylko obracały się wokół umów, sprzedaży, przelewów, podarunków. Myślał kategoriami udziałów, beli towarów, tysięcy buszli, opcji, spółek akcyjnych, trustów, filii, analizując zaś wszystko w pamięci, wiedział, że mają dużo przeciwko niemu, że mają dość, aby mu na długie lata odebrać spokój. Jeżeli nie pójdą na ugodę, będzie bardzo źle. W dawnych czasach nie martwiłby się, ale teraz instynkt walki osłabł w nim, podobnie jak tamten drugi instynkt, i był teraz sam ze swoją zgryzotą, i leżał na ogromnym łóżku, i nie mógł ani czytać, ani spać.

Zona rozwiodła się z nim przed dziesięciu laty, po dwudziestu latach małżeństwa, które polegało na zachowaniu pozorów, ale on nie odczuwał jej braku, tak jak przedtem nigdy jej nie kochał. Zaczął karierę z jej pieniędzmi, urodziła mu dwoje dzieci, chłopców, którzy

podobnie jak ich matka byli głupcami. Traktował ją dobrze, dopóki nie potroił jej kapitału, a wtedy mógł się już z nią nie liczyć. Od tego momentu przestał się przejmować jej migrenami, jej skargami, jej projektami. Nie zwracał na nią uwagi.

Był znakomicie przysposobiony do wszelkiego rodzaju spekulacji, ponieważ odznaczał się niezwykle żywotnością seksualną, która dawała mu pewność siebie, nieodzowną przy hazardzie. Posiadał poza tym dużo zdrowego rozsądku, umysł o skłonnościach matematycznych i sceptycyzm – chroniczny, ale pod kontrolą; sceptycyzm tak wrażliwy na grożące niebezpieczeństwa, jak precyzyjny barometr jest wrażliwy na ciśnienie atmosferyczne.

Wszystko to, w połączeniu z brakiem zasad moralnych, z umiejętnością zaskarbienia sobie sympatii ludzi – przy czym sam ani tych ludzi nie lubił, ani nie darzył ich zaufaniem, chociaż zapewniał gorąco i serdecznie, że jest ich przyjacielem, przyjacielem bynajmniej nie bezinteresownym, lecz tak bardzo interesującym się ich losem, że automatycznie stawali się jego współnikami – i wreszcie z niezdolnością odczuwania żalu czy litości, zaprowadziło go tam, gdzie był teraz. A był teraz w swojej kajucie, leżał na łóżku w jedwabnej pidżamie w paski, okrywającej jego starczą, wyschlą pierś, mały wzdęty brzuch, bezużyteczne teraz i nieproporcjonalnie duże narządy, z których tak był kiedyś dumny, i krótkie sflaczałe nóżki; leżał na łóżku i nie mógł zasnąć, bo w końcu zbudziły się w nim żale.

Żałował, że przed pięciu laty głupio przechytrzył. Mógł być wtedy zapłacić podatki bez szachrajstw, a gdyby je zapłacił, miałby teraz spokój. Leżał więc myśląc o tym i w końcu zasnął; ponieważ jednak zgryzota znalazła szczelinę, którą mogła sączyć się do środka, nie wiedział, że śpi, gdyż jego umysł pracował jak na jawie. Wynikało stąd, że nie zazna odpoczynku, co w jego wieku dość prędko mogło go wykończyć.

Mawiał dawniej, że tylko naiwni głupcy się martwią, a teraz tak uporczywie odpędzał od siebie zgryzotę, że w końcu nie mógł zasnąć. Udawało mu się czasem odpędzać zgryzotę, aż do momentu zaśnięcia, ale wtedy zgryzota wdzierала się do środka jego snu, a ponieważ był stary, miała łatwe zadanie.

Nie nękała go myśl o tym, jak postępował z ludźmi ani co się z nimi stało z jego winy, ani jak skończyli – kto przeprowadził się z rezydencji przy Lake Shore Drive do sublokatorskiego pokoju w Austin, czyja córka, niedawna debiutantka w wielkim świecie, jest asystentką dentystry, jeżeli w ogóle ma pracę; kto w wieku lat sześćdziesięciu trzech skończył jako nocny stróż, kto się zastrzelił pewnego dnia przed śniadaniem, które z jego dzieci go znalazło i jaki zobaczyło widok, kto jeździł z Berwyn pociągiem do pracy, jeżeli miał pracę, i usiłował sprzedawać najpierw akcje, potem samochody, potem w wędrownce od drzwi do

drzwi artykuły gospodarstwa domowego i inne nowości (domokrażcom wstęp wzbroniony, proszę wyjść – i drzwi zatraskują się przed nosem), aż w końcu postąpił trochę inaczej niż jego ojciec, który rzucił się z wysokości czterdziestego drugiego piętra bez szumu skrzydeł, jaki towarzyszy orłowi spadającemu w locie, i zrobił jeden krok na trzeci tor, pod pociąg Aurora-Elgin, mając kieszenie palta wypchane ubijaczami do piany i wyciskaczami do soku, których nikt nie chciał kupować. (- Pani pozwoli, że pokażę, jak to działa. Trzeba tę część umocować tutaj i przykręcić tamtą małą śrubkę. Teraz proszę łaskawie uważać. – *Kiedy ja tego nie kupię.* – Niech pani chociaż raz spróbuje. – *Nie kupię tego. Proszę wyjść.*)

Wyszedł więc i znalazł się na chodniku, między drewnianymi domami, posepnymi podwórzami i nagimi drzewami catalpa, gdzie nikt nie chciał ani jego ubijaczy, ani w ogóle nic. Znalazł się na chodniku ulicy, która prowadziła prosto na tory linii kolejowej Aurora-Elgin.

Niektórzy skakali z okien biura czy mieszkania; inni załatwiali się z tym po cichu, zapuszczając silnik w garażu na dwa wozy; jeszcze inni pozostawali wierni narodowej tradycji Colta lub Smith-Wessona, tych narzędzi doskonałych, które za jednym naciśnięciem palca kładą kres bezsenności, uciszają wyrzuty sumienia, leczą raka, chronią przed bankructwem i wskazują drogę wyjścia z sytuacji bez wyjścia; tych zachwycających amerykańskich narzędzi, tak mało kłopotliwych w użyciu, tak niezawodnych w działaniu, tak świetnie nadających się do tego, żeby kłaść kres amerykańskim snom, kiedy przemieniają się w koszmar. I posiadających jedną tylko stronę ujemną – to, że pozostawiają po sobie nieład, który sprzątnąć musi rodzina.

Tak kończyli ludzie, których zniszczył, ale on się tym nie przejmował. Zawsze ktoś musi przegrać, a tylko naiwni głupcy się martwią.

Nie, nie będzie myślał o nich ani o ubocznych produktach szczęśliwej gry na giełdzie. Ktoś wygrywa, ktoś musi przegrywać, a tylko naiwni głupcy się martwią.

Wystarczyłoby, gdyby pomyślał, o ile byłoby lepiej, gdyby przed pięciu laty nie przechytrył; w jego wieku pragnienie odwrócenia tego, co jest nieodwracalne, otwierało po chwili szczelinę, przez którą sączyła się zgryzota. Tylko naiwni głupcy się martwią. Ale on może odpędzić zgryzotę szklaneczką whisky. Niech diabli wezmą doktorów i ich zalecenia. Dzwoni więc i zaspany steward przynosi mu whisky, a po wypiciu spekulant nie jest już naiwnym głupcem; chyba tylko śmierć go za takiego uważa.

Tymczasem na sąsiednim jachcie śpi sympatyczna, nudna, solidna rodzina. Ojciec ma sumienie czyste i śpi spokojnie, leży na boku, nad jego głową wisi oprawiona w ramki fregata walcząca ze sztormem, lampka przy łóżku jest zapalona, na podłodze porzucona książka. Jego

żona śpi smacznie, śni jej się ogród. Ma lat pięćdziesiąt, ale jest przystojną, zdrową, dobrze utrzymaną kobietą i ładnie wygląda, kiedy śpi. Córce śni się narzeczoną, który ma jutro przylecieć samolotem; porusza się przez sen i uśmiecha się czegoś, i wciąż śpiąc podciąga kolana prawie pod brodę, i leży zwinięta w kłębek jak kot. Ma wijące się jasne włosy i ładną twarzyczkę o gładkiej cerze i gdy śpi, podobna jest do matki, kiedy ta była w jej wieku.

Szczęśliwa rodzina, wszyscy się kochają. Ojciec odznacza się licznymi cnotami obywatelskimi i znany jest z wielu dobrych uczynków; występował przeciwko prohibicji, nie ma w sobie nic z fanatyka, jest hojny, ludzki, wrażliwy i bardzo rzadko wpada w gniew. Załoga jachtu otrzymuje dobre wynagrodzenie, jest dobrze karmiona i ma wygodne kwatery. Wszyscy darzą szacunkiem właściciela i lubią jego żonę i córkę. Narzeczoną jest członkiem korporacji studenckiej o nazwie „Trupia Czaszka” i wszyscy przepowiadają mu świetną przyszłość, wszyscy go lubią; wciąż jeszcze myśli więcej o innych niż o sobie i dla dziewczyny nie tak czarującej jak Frances byłby o wiele za dobry. Kto wie, czy dla Frances też nie jest trochę za dobry, ale prawdopodobnie miną lata, zanim ona zda sobie z tego sprawę; a przy odrobinie szczęścia może sobie tego nigdy nie uświadomić. Mężczyzna, który tak świetnie nadaje się do szeregów „Trupiej Czaszki”, rzadko nadaje się do łóżka. Ale dla dziewczyny tak czarującej jak Frances intencje znaczą tyle co czyni.

Tak czy inaczej wszyscy śpią dobrze, ale skąd biorą się pieniądze, które zapewniają im tyle szczęścia i które oni z takim pożytkiem i tak umiejętnie wydają? Pieniądze biorą się ze sprzedaży czegoś, co się rozchodzi w milionach butelek (przy koszcie produkcji trzy centy litr) i co kupują wszyscy po dolarze za butelkę dużą (półlitrową), po pół dolara za średnią i po dwadzieścia pięć centów za małą. Ale lepiej opłaca się kupować duże butelki i nawet jeżeli ktoś zarabia dziesięć dolarów na tydzień, kosztuje go to tyle samo, co gdyby był milionerem, a produkt jest naprawdę dobry. Spełnia obietnice reklamy, nawet z nadwyżką. Ze wszystkich stron świata napływają listy od wdzięcznych odbiorców, którzy odkrywają wciąż nowe zastosowania, a starzy klienci są tak wierni produktowi, jak Harold Tompkins, narzeczoną, wierny jest swojej „Trupiej Czaszce”, a Stanley Baldwin szkole w Harrow.

Kiedy ktoś robi pieniądze w taki sposób, nikt nie popełnia samobójstw, więc wszyscy śpią spokojnie na jachcie „Alzira III”, którym dowodzi kapitan Jon Jacobson z czternastoosobową załogą.

Przy molo nr 4 stoi zakotwiczona jolka długości trzydziestu czterech stóp; na jej pokładzie śpią dwaj spośród trzystu dwudziestu czterech Estończyków, którzy pływają po świecie w jachtach żaglowych długości od dwudziestu ośmiu do trzydziestu sześciu stóp i przysyłają korespondencje do prasy estońskiej. Artykuły te cieszą się w Estonii wielką

popularnością i przynoszą autorom od dolara do dolara trzydzieści za szpalte. Zajmują miejsce, które w prasie amerykańskiej przeznaczone jest dla wiadomości baseballowych i footballowych, i ukazują się pod wspólnym tytułem „Sagi naszych nieustraszonych podróżników”. Żaden porządniejszy basen jachtowy na morzach południowych nie byłby kompletny bez co najmniej dwóch opalonych na brąz Estończyków o włosach wyblakłych od morskiej soli, którzy czekają na przekaz pieniężny za swój ostatni felieton. Gdy otrzymają pieniądze, płyną do następnego basenu jachtowego i piszą następny felieton. Zresztą są szczęśliwi. Prawie tak szczęśliwi jak pasażerowie „Alziry III”. To wspinała rzecz być nieustraszonym podróżnikiem.

Na jachcie „Irydia IV” właściciel, z zawodu zięć milionerów, i jego kochanka imieniem Dorota leżą w łóżku; ona jest żoną Johna Hollisa, jednego z najlepiej zarabiających reżyserów w Hollywood, którego mózg o tyle przeżyje wątrobę, że biedak dla ratowania duszy (jego inne organy są tak przeżarte, że nic nie zdoła ich uratować) zacznie w końcu uważać się za komunistę. Zięć milionerów, mężczyzna postawny i przystojny, o typie urody jak z reklamowych afiszów, leży na plecach i chrapie, ale Dorota Hollis, żona reżysera, nie śpi; wkłada szlafrok, wychodzi na pokład i spogląda ponad czarną wodą basenu na linię falochronu. Na pokładzie jest zimno i wiatr rozwiewa jej włosy, więc odgarnia je z opalonego czoła i gdy otula się szczelniej w szlafrok, spostrzega światła statku, który płynie wzdłuż linii falochronu, po stronie zewnętrznej. Dorota obserwuje szybki i płynny ruch światła, a potem, przy wejściu do basenu, na statku zapala się reflektor, snop światła omiata powierzchnię wody, oślepia Dorotę na sekundę i nieruchomieje na moło straży przybrzeżnej, gdzie wydobywa z mroku grupę mężczyzn i lśniąca czerń nowej karetki zakładu pogrzebowego, która służy jednocześnie za karawan.

„Chyba wezmę luminal – myśli Dorota. – Muszę zasnąć. Biedny Eddy jest pijany jak bela. On za tym przepada i jest strasznie miły, ale tak się upija, że natychmiast zasypia. Jest kochany. Naturalnie jakbym za niego wyszła, uciekłyby z inną, chyba. Ale jest kochany. Biedaczek, tak się upił. Żeby tylko nie miał jutro rano kaca. Muszę iść, ułożę tę falę i spróbuję zasnąć. Włosy mam potworne. Chcę być ładna, dla niego. Jest kochany. To straszne, że nie wzięłam pokojówki. Ale nie mogłam, Nawet tej Bates. Ciekawa jestem, jak się czuje biedny John. Och, on też jest kochany. Żeby tylko czuł się lepiej. Biedak z tą wątroba. Szkoda, że nie jestem z nim, żeby go pielęgnować. Powinnam się położyć i zasnąć, bo inaczej będę jutro wyglądała jak straszdyło. Eddy jest kochany. John też jest kochany, z tą swoją biedną wątroba. Och, biedna ta jego wątroba. Eddy jest kochany. Szkoda, że się upił. Jest taki silny i wesoły, i cudowny, i wszystko. Może jutro tak się nie upije.”

Zeszła pod pokład, znalazła drogę do swojej kajuty, usiadła przed lustrem i zaczęła szczotkować włosy, sto przepisowych pociągnięć szczotką. Uśmiechnęła się do siebie w lustrze, gdy szczotka rozgarnęła jej piękne włosy. „Eddy jest kochany. Tak, naprawdę kochany. Szkoda, że tyle wypił. Każdy mężczyzna musi mieć coś takiego. Wystarczy chociażby spojrzeć na wątrobę Johna. Naturalnie nie można na nią spojrzeć. Musi chyba wyglądać okropnie. Całe szczęście, że jej nie można zobaczyć. Chociaż w mężczyźnie nie ma nic takiego, co by było naprawdę brzydkie. Śmieszne, im się zawsze zdaje, że to jest brzydkie. Ale wątroba chyba tak. I nerki. Nerki *en brochette*. Ile jest nerek? Prawie wszystko w człowieku jest podwójne, oprócz żołądka i serca. I naturalnie mózgu. Koniec. Sto razy. Strasznie lubię szczotkować włosy. To jest chyba jedyna rzecz, która dobrze robi, a którą jest przyjemnie robić. Samemu, naturalnie. Och, Eddy jest kochany. Może by tak pójść do niego? Nie, jest za bardzo pijany. Wezmę luminal.”

Przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze. Była bardzo ładna, drobna, o ślicznej figurze.

„Och, można wytrzymać – pomyślała. – W niektórych miejscach jestem ładniejsza, w innych brzydsza, ale ujdę jeszcze przez jakiś czas. Tylko koniecznie muszę zasnąć. Tak lubię spać. Chciałabym chociaż jedną noc przespać mocnym, naturalnym, zdrowym snem, jak sypiałam, kiedy byłam mała. Przypuszczam, że to tak zawsze, jak się dorasta i wychodzi za mąż, i ma dzieci, a potem pije się za dużo i robi się różne rzeczy, których nie powinno się robić. Gdyby można było dobrze spać, na pewno żadna z tych rzeczy nie byłaby szkodliwa. Może tylko jedno picie. Biedny John z tą swoją wątrobą i biedny Eddy. Ale Eddy jest kochany. Jest przemiły. Chyba wezmę ten luminal.”

Zrobiła minę do swojego odbicia w lustrze.

– Powinnaś wziąć luminal – powiedziała szeptem. Popiła proszek wodą z chromoniklowanego termosu, który stał w szafce obok łóżka.

„To niszczy nerwy – pomyślała. – Ale sen jest konieczny. Ciekawa jestem, jaki byłby Eddy, gdybyśmy się pobrali. Pewnie latalby za młodszą. Przypuszczam, że oni tak są zbudowani, że nie mogą się powstrzymać. My też nie możemy. Wiem, że mnie jest tego mnóstwo potrzeba, i czuję się po tym tak dobrze, i naprawdę wcale nie chodzi o to, żeby to był wciąż ktoś nowy. Tylko to jest ważne i kochałybyśmy ich zawsze, gdyby to robili często. To znaczy, kochałybyśmy zawsze tego samego. Ale oni są inni. Chcą mieć inną: albo młodszą, albo taką, której nie mogą mieć, albo taką, która jest podobna do kogoś tam. A jak mają brunetkę, chcą blondynki. Jak mają blondynkę, wariują za rudą. Jak mają rudą, chcieliby jeszcze jakąś inną. Pewnie Żydówkę, a jak im się już wszystko sprzykrzy, chcą Chinki, czy

jak się one nazywają, albo jeszcze Bóg wie kogo. Naprawdę nie wiem. Albo po prostu mają nas dosyć. Jeżeli są tacy, jacy są, nie można mieć do nich o to pretensji, a co ja mogę poradzić, że John tyle pił, że teraz jest już do niczego? Był dobry w łóżku. Był cudowny. Tak. Naprawdę był. A Eddy jest. Ale teraz się upił. Przypuszczam, że w końcu będę kurwą. Może już jestem. Przypuszczam, że nigdy się nie wie, kiedy się już jest. Tylko najbliżsi przyjaciele mogą powiedzieć. Nie czyta się o tym w kronice towarzyskiej pod redakcją pana Winchella. Mógłby wprowadzić taką nową, interesującą rubrykę. Ze świata kurw. Pani Dorota Hollis, żona Johna Hollisa, przebywała na wybrzeżu, a teraz z powrotem przykurwiła się do miasta. Ciekawsze, niż komu się urodziło dziecko. I chyba częstsze. Ale kobiety mają ciężkie życie, naprawdę. Im lepiej kobieta traktuje mężczyznę i więcej mu okazuje, że go kocha, tym prędzej on ma jej dosyć. Myślę, że ci, którzy naprawdę są coś wari, są jakoś tak zbudowani, że muszą mieć mnóstwo żon, ale to okropnie męczy – udawać, że jest się mnóstwem żon, a potem to go i tak znudzi i w końcu zjawi się ktoś, i zwyczajnie go zabierze. Myślę, że my wszystkie stajemy się w końcu kurwami, ale czyja to wina? Kurwy mają najprzyjemniejsze życie, ale tylko bardzo głupia kobieta może być naprawdę dobrą kurwą. Jak Helena Bradley. Tylko głupia, pełna dobrej woli i naprawdę egoistyczna może być dobra. Ja już pewnie jestem. Podobno samemu nigdy się nie wie i zawsze się uważa, że się nie jest. Muszą być chyba mężczyźni, którzy nigdy nie mają dosyć swojej kobiety i nigdy nie mają dosyć tego. Muszą tacy być. Ale kto ich zna? Ci, z którymi my mamy do czynienia, są zepsuci przez wychowanie. Ale nie będę teraz o tym myślała. Ani o tych wszystkich samochodach i balach. Żeby ten luminal zaczął działać. Niech diabli tego Eddy'ego, naprawdę. Naprawdę nie powinien był się tak upijać. To naprawdę nieładnie z jego strony. Nie można mieć do nich pretensji, że są tak, a nie inaczej zbudowani, ale picie nie ma z tym nic wspólnego. Myślę, że jestem kurwa, ale jeżeli będę leżała całą noc i nie zmrużę oka, zwariuję, a jak wezmę za dużo tego świństwa, będę się jutro cały dzień strasznie czuła, a zresztą czasem to wcale nie pomaga i tak czy inaczej będę jutro zła i zdenerwowana, i będę się źle czuła. Och, mogę spróbować. Nie chcę tego, ale co ja mam robić? Co ja mam robić, przecież muszę to zrobić, nawet jeśli... nawet jeśli... a choćby i... och, on naprawdę jest najukochańszy, nie, nie jest, ja jestem najukochańsza, tak, ty jesteś, jesteś śliczna, och, jesteś taka śliczna, tak, śliczna, śliczna, i ja tego nie chciałam, ale to robię, naprawdę to robię, on jest kochany, nie, nie jest, nawet go tu nie ma, ja tu jestem, zawsze tu jestem, i ja nigdy nie odejdę, nie, nigdy. Ty kochana. Ty śliczna. Tak, jesteś śliczna. Ty śliczna, śliczna, śliczna. Och, tak, śliczna. I ty jesteś mną. Więc to jest tak. Więc tak się to odbywa. Więc dlaczego by teraz zawsze nie... I już się stało. Dobrze. Wszystko mi jedno. Co za różnica? Nie ma w tym nic złego, jeżeli nie czuję się

podle. A nie czuję się. Jestem tylko senna, a jak się obudzę, zrobię to jeszcze raz, zanim zupełnie oprzytomnieję.”

Zasnęła, pamiętając w ostatniej sekundzie, żeby obrócić się na bok i nie dotykać twarzą poduszki. Choćby była nie wiem jak senna, zawsze pamiętała, że spanie w ten sposób fatalnie wpływa na cerę.

W porcie stały jeszcze dwa jachty, ale na nich też wszyscy spali, kiedy kuter patrolowy holujący „Queen Conch” wpłynął na czarne wody basenu jachtowego i przycumował do moła straży przybrzeżnej.

ROZDZIAŁ XVII

Harry Morgan nic o tym nie wiedział, że z nabrzeża podano nosze i dwaj ludzie stojąc w świetle reflektora trzymali je pod drzwiami kajuty kapitana, a dwaj inni podnieśli go z kapitańskiej koi, potykając się wyszli na pokład i położyli na noszach. Był nieprzytomny od wczesnych godzin wieczornych, płótno noszy napięło się pod jego ogromnym ciałem, gdy czterej ludzie podawali nosze na pomost.

– Do góry teraz.

– Trzymaj mu nogi. Uważaj, żeby się nie zsunął.

– Do góry.

Wyciągnęli nosze na pomost.

– Co pan o nim myśli, doktorze? – spytał szeryf, gdy wsunięto nosze do ambulansu.

– Żyje – odparł doktor. – Tylko tyle mogę powiedzieć.

– Od kiedyśmy go znaleźli, był cały czas nieprzytomny albo gadał od rzeczy – powiedział bosman, pełniący funkcje kapitana na kutrze straży. Był niski i krępy, miał okulary, które połyskiwały w świetle reflektora. Jego podbródek dopominał się brzytwy. – Wszyscy pana kubańscy truposze są na tamtym kutrze. Zostawiliśmy wszystko tak, jak było. Nie ruszaliśmy nic. Tyle tylko, że przenieśliśmy tych dwóch, którzy mogli spaść za burtę. Wszystko jest tak, jak było. Pieniądze i broń. Wszystko.

– Chodźmy – powiedział szeryf. – Czy mógłby pan puścić światło na tamten kuter?

– Każę umieścić reflektor dalej na nabrzeżu – odparł kapitan portu. Poszedł po reflektor i kable.

– Chodźmy – powtórzył szeryf. Przeszli na rufę oświetlając sobie drogę latarkami kieszonkowymi. – Niech mi pan pokaże dokładnie, jak pan ich znalazł. Gdzie pieniądze?

– W tych dwóch teczkach.

– Ile jest?

– Nie wiem. Otworzyłem jedną teczkę, zobaczyłem, że to pieniądze, i zaraz zamknąłem. Wołałem nie dotykać.

– Dobrze pan zrobił – powiedział szeryf. – Bardzo dobrze pan zrobił.

– Wszystko jest tak, jak było, z tą różnicą, że przenieśliśmy tych dwóch truposzy do kokpitu, żeby nie zlecieli za burtę, a tego wielkiego byka Harry'ego wzięliśmy na pokład i położyliśmy na mojej koi. Myślałem, że wykituje, zanim przybijemy. Ledwie zipie.

– Cały czas był nieprzytomny?

– Początkowo gadał od rzeczy – odparł kapitan. – W żaden sposób nie można się było połapać w tym, co mówił. Przysłuchiwaliśmy się nawet dość długo, ale to wszystko nie trzymało się kupy. Potem stracił przytomność. Ma pan, tak to wygląda. Dokładnie tak, jak było, tylko z tą różnicą, że ten na boku, taki podobny z twarzy do Murzyna, leży tam, gdzie leżał Harry. Znaleźliśmy go na ławce nad prawym zbiornikiem, a ten ciemny obok niego leżał nad lewym zbiornikiem, twarzą w dół. Uwaga! Niech pan nie zapala zapalek. Pełno tu benzyny.

– Powinien być jeszcze jeden nieboszczyk – powiedział szeryf.

– Tylkośmy tyłu znaleźli. Pieniądze są w tych teczkach. Broń leży, jak leżała.

– Trzeba by sprowadzić kogoś z banku, żeby był przy otwieraniu teczek – powiedział szeryf.

– Racja – zgodził się kapitan. – Dobra myśl.

– Możemy przenieść je do mojego biura i opieczetować.

– Dobra myśl – powtórzył kapitan.

W świetle reflektora biel i zieleń kutra lśniły świeżością. Brało się to stąd, że na pokładzie i na dachu nadbudówki osiadła rosa. Widać było wyraźnie odpryski w białej farbie. W świetle woda za rufą wydawała się przezroczyściezielona, wokół pali nabrzeża widać było roje małych rybek.

W kokpicie obrzmiałe twarze umarłych lśniły w ostrym świetle, pokryte jakby plackami brązowego lakieru w miejscach, gdzie zakrzepła krew. Na podłodze, w pobliżu ciał, leżały puste łuski kaliber 45, a pistolet maszynowy Thompsona leżał na rufie, tam, gdzie go Harry zostawił. Dwie skórzane tecki, w których Kubańczycy przynieśli pieniądze, stały oparte o jeden ze zbiorników.

– Najpierw przyszło mi do głowy, żeby może na czas holowania wziąć pieniądze na pokład – powiedział kapitan. – Ale potem pomyślałem, że dopóki pogoda jest dobra, lepiej nie ruszać ich z miejsca.

– Słusznie pan zrobił – powiedział szeryf. – Co się stało z tym rybakiem, Albertem Tracy?

– Nie wiem. Ma pan wszystko dokładnie tak, jak było, tyle tylko, że przesunęliśmy tamtych dwóch – odparł kapitan.

– Wszyscy są podziurawieni jak sito, z wyjątkiem tego, który leży obok steru, na plecach. Dostał kulę w tył głowy. Wyszła czołem. Sam pan widzi skutek.

– To ten, który wyglądał na dzieciaka – powiedział szeryf.

– Teraz to już na nic nie wygląda – zauważył kapitan.

– Tamten duży to jest pewnie ten, który miał w banku pistolet i zabił adwokata Simmonsa – ciągnął szeryf. – Jak pan myśli, co się tu mogło stać? Jakim cudem wszyscy się nawzajem pozabijali?

– Pewnie zaczęli sobie skakać do oczu – odparł kapitan. – Pokłócili się o podział łupu.

– Przykryjemy ich do jutra rana – powiedział szeryf. – Teczki wezmę do biura.

Nagle, gdy jeszcze stali w kokpicie, na molo wybiegła kobieta, minęła kuter patrolowy, za nią biegł tłum. Kobieta była bardzo chuda, w średnim wieku, bez nakrycia głowy, proste jak postronki włosy rozplotły jej się i wisiały na karku, chociaż węzełek na końcu wciąż się trzymał. Gdy zobaczyła ciała leżące w kokpicie, zaczęła wrzeszczeć. Stała na molo i z głową odrzuconą do tyłu krzyczała przeraźliwie, podczas gdy dwie inne kobiety przytrzymały ją za ramiona. Ludzie, którzy wdarli się na molo za kobietą, otoczyli ją i zbici w gromadę spoglądali w dół na kuter.

– Niech to diabli – powiedział szeryf. – Kto zostawił bramę otwartą? Przyniescie coś do zakrycia ciał. Koce, prześcieradła, cokolwiek, bo inaczej nie pozbędziemy się stąd tego tłumu.

Kobieta umilkła i spojrzała na kuter, a potem znów przechyliła głowę do tyłu i znów zaczęła krzyczeć przeraźliwie.

– Co oni z nim zrobili? – spytała jedna z kobiet stojących obok.

– Co oni zrobili z Albertem?

Ta wrzeszcząca umilkła i znowu spojrzała na kuter.

– Nie ma go tu – powiedziała. – Panie Johnson! – zawołała do szeryfa. – Gdzie jest Albert? Gdzie jest Albert?

– Nie ma go na pokładzie, pani Tracy – odparł szeryf. Kobieta znowu przechyliła głowę do tyłu i znowu wybuchnęła przeraźliwym wrzaskiem; żyły na jej chudej szyi nabrzmiały, dłonie zacisnęły się kurczowo, węzełek włosów podskakiwał.

Ludzie na brzegu tłumu poszturchiwali się i rozpychali łokciami, każdy chciał przedostać się na brzeg molo.

– Ruszcie się. Inni też chcą zobaczyć.

– Zaraz ich zakryją.

I po hiszpańsku: – Puśćcie mnie. Dajcie mi zobaczyć. *Hay cuatro muertos. Todos son muertos.* Dajcie mi zobaczyć.

Kobieta wołała teraz: – Albert! Albert! Och, Boże, gdzie jest Albert?

Dwaj młodzi Kubańczycy, którzy dopiero co przyszli i nie mogli wcisnąć się w tłum,

cofnęli się kilka kroków, wzięli rozpęd i wpadli między ludzi. Pierwszy rząd gapiów zafalował i wybrzuszył się, i nagle, w samym środku wrzasku, pani Tracy i jej dwie opiekunki zatoczyły się, zawisły pochylone nad wodą, walcząc rozpaczliwie o utrzymanie równowagi, a następnie, podczas gdy opiekunki w szaleńczym wysiłku utrzymywały się na pomoście, pani Tracy, wciąż wrzeszcząc, wpadła do zielonej wody; jej wrzask przeszedł w głośny plusk i bulgotanie.

Dwaj strażnicy skoczyli w zieloną przezroczystą toń, gdzie pani Tracy miotała się w świetle reflektora. Szeryf wychylił się z rufy i podsunął jej bosak; wreszcie, gdy strażnicy popychali tonącą od dołu, a szeryf schwycił za ramiona, udało się wciągnąć ją na rufę kutra. Nikt z gapiów nawet się nie ruszył, żeby ją ratować; stała teraz ociekająca wodą, spoglądała na tłum i nagle, wygrażając pięściami, wrzasnęła: – Szukinszyny! Łobuży! – Potem, obróciwszy się do kokpitu, zaniósła się szlochem: – Alber. Alber. Gdzieszt Alber?

– Nie ma go na pokładzie – odparł szeryf. Wziął do ręki koc, żeby okryć panią Tracy.
– Niechże się pani uspokoi. Niechże się pani trzyma.

– Moje zęby – powiedziała pani Tracy tonem tragicznym. – Żgubiłam moje zęby.

– Wyłowimy je za dnia – pocieszał ją kapitan. – Na pewno wyłowimy.

Dwaj strażnicy wdrapali się na rufę kutra i stali mokrzy, ociekający wodą. – Chodź, idziemy – powiedział jeden. – Cholernie mi zimno.

– Czy nic się pani nie stało? – spytał szeryf panią Tracy, okrywając ją pledem.

– Nicz misze nie ształo? Nicz?! – zawołała pani Tracy. Potem, przygotowując się do prawdziwego krzyku, zacisnęła dłonie i przechyliła głowę do tyłu. Ból pani Tracy był ponad jej siły.

Tłum słuchał, milczący i pełen szacunku. Pani Tracy dostarczyła im efektów dźwiękowych, doskonale harmonizujących z widokiem ciał bandytów, które szeryf i jego zastępca przykrywali teraz kocami zasłaniając w ten sposób najwspanialszy widok, jaki miasto miało okazję oglądać, odkąd przed kilku laty zlinczowano Isleño na drodze podmiejskiej i powieszono na słupie telefonicznym, gdzie dyndał w reflektorach aut, którymi ludzie przyjeżdżali go obejrzyć.

Gdy trupy zabitych zniknęły pod kocami, ludzie w tłumie doznali zawodu, ale oni, tylko oni w całym mieście je widzieli. Widzieli ponadto, jak pani Tracy wpadła do wody, a nieco wcześniej, jeszcze zanim dostali się na molo, widzieli, jak niesiono na noszach do Szpitala Marynarki Harry'ego Morgana. Kiedy szeryf kazał im opuścić nabrzeże basenu jachtowego, odeszli spokojni i szczęśliwi. Zdawali sobie sprawę z przywileju, jaki im przypadł w udziale.

Tymczasem w szpitalu Maria, żona Morgana, czekała wraz z córkami w izbie przyjęć. Dziewczęta płakały, Maria gryzła chusteczkę. Mniej więcej od południa nie miała już łez.

– Tatuś jest ranny w brzuch – powiedziała jedna z sióstr do drugiej.

– To straszne – odparła tamta.

– Cicho bądźcie – skarciła je najstarsza. – Modlę się za niego. Nie przeszkadzajcie mi.

Maria nic nie mówiła, siedziała tylko gryząc chusteczkę i przygryzając dolną wargę.

W pewnej chwili zjawił się doktor. Spojrzała na niego, potrząsnął głową.

– Mogę wejść? – spytała.

– Jeszcze nie – odparł. Podeszła do niego. – Po wszystkim? – spytała.

– Przykro mi, ale tak, proszę pani.

– Czy mogę go zobaczyć?

– Jeszcze nie. Jest jeszcze na sali operacyjnej.

– O, Chryste – powiedziała Maria. – O, Chryste. Odwiozę córki do domu. Zaraz wrócę.

Nagle poczuła w krtani ucisk i dławienie, nie mogła przełknąć śliny.

– Chodźcie, dzieci – powiedziała. Dziewczęta poszły za nią. Maria usiadła za kierownicą starego samochodu.

– Jak się czuje tatuś? – spytała jedna z córek.

Maria nie odpowiedziała.

– Mamo, jak tatuś?

– Nie mówcie do mnie – powiedziała Maria. – Proszę was, nie mówcie do mnie.

– Kiedy...

– Cicho bądź, kochanie – powiedziała Maria. – Bądź cicho i módl się za niego. –

Dziewczęta zaczęły płakać.

– Psiakrew – powiedziała Maria. – Nie płaczcie. Mówiłam, żebyście się za niego modliły.

– Będziemy się modliły – odparła jedna z córek. – Odkąd przyjechałyśmy do szpitala, bez przerwy się modlę.

Kiedy skręciły na wyjeżdżony biały koral Rocky Road, latarnie samochodu oświetliły postać mężczyzny, który zataczając się szedł drogą.

„Jakiś biedny pijus – pomyślała Maria. – Jakiś biedny, biedny pijus.”

Minęły mężczyznę, który miał krew na twarzy; gdy światła samochodu odplynęły od niego, szedł dalej potykając się w ciemności. Był to Ryszard Gordon.

Maria zatrzymała samochód przed domem.

– Idźcie spać, dzieci – powiedziała. – Połóżcie się spać.

– A tatuś? – spytała jedna z córek.

– Nie mów do mnie – odparła Maria. – Na miłość boską, czy musicie do mnie mówić?

Zawróciła i pojechała do szpitala.

Maria Morgan wbiegła pośpiesznie na stopnie. Na ganku spotkała doktora, wychodził z drzwi obitych siatką. Był zmęczony i szedł do domu.

– Skończone, proszę pani – powiedział doktor.

– Nie żyje?

– Umarł na stole.

– Mogę go zobaczyć?

– Tak – odparł doktor. – Koniec miał spokojny. Nie cierpiał.

– Och, piekło – powiedziała Maria. Łzy płynęły jej po policzkach. – Och – powtórzyła.

– Och, och, och!

Doktor położył rękę na jej ramieniu.

– Niech mnie pan nie dotyka – powiedziała Maria. Potem: – Chcę go zobaczyć.

– Chodźmy. – Doktor zaprowadził ją korytarzem do białego pokoju, gdzie Harry Morgan leżał na wózku; prześcieradło przykrywało jego ogromne ciało. Światło lamp było bardzo silne i nie rzucało cienia. Maria zatrzymała się na progu, jakby przestraszona światłem.

– Naprawdę nie cierpiał, proszę pani – odezwał się doktor. Maria go chyba nie słyszała.

– O, Chryste – powiedziała. Rozplakała się. – Ta jego cholerna twarz.

ROZDZIAŁ XVIII

„Nie wiem – myślała Maria siedząc przy stole w jadalni – może jak zacznę przyzwyczajając się po trochu, po jednym dniu na raz i po jednej nocy na raz, może będzie inaczej. Te straszne noce. Gdyby mnie dziewczyny więcej obchodziły, byłoby inaczej. Ale nic mnie nie obchodzą. Tak czy siak muszę się nimi zająć. Muszę zacząć coś robić. Może da się przezwyciężyć to uczucie, że jest się umarłym w środku. Zresztą co za różnica. Tak czy siak muszę się wziąć do czegoś. To dzisiaj już tydzień. Boję się, że jak będę ciągle o nim myślała, jak będę się starała o nim myśleć, to w końcu zapomnę, jaki on był. Pierwszy raz przyszło mi to do głowy, kiedy mnie obleciał taki cholerny strach, bo nie mogłam sobie przypomnieć jego twarzy. Żeby nie wiem co się ze mną działo, muszę zacząć coś robić. Gdyby mi zostawił jakieś pieniądze albo gdyby mi dali odszkodowanie, byłoby lepiej, ale mnie nie byłoby lepiej. Pierwsza rzecz to muszę sprzedać dom. Dranie, ci, co go zabili. Och, dranie. Tylko to jedno czuję. Nienawiść i taką jakąś pustkę w środku. Jestem pusta jak pusty dom. Tak, ale muszę zacząć coś robić. Powinnam była pójść na pogrzeb. Kiedy nie mogłam. Ale teraz muszę zacząć coś robić. Wiadomo, że jak kto umarł, nie wraca.

On, taki przystojny i silny, i szybki, zupełnie jak jakie wspaniałe zwierzę. Wystarczało, żebym na niego spojrzała, jak się ruszał. Poszczęściło mi się, że go miałam przez te wszystkie lata. Jego szczęście odmieniło się pierwszy raz na Kubie. Potem było coraz gorzej i gorzej, aż wreszcie zabił go Kubańczyk.

Kubańczycy przynoszą pecha Conchom. Kubańczycy wszystkim przynoszą pecha. Swoją drogą za dużo tam Murzynów. Pamiętam, jak mnie Harry zabrał do Hawany, wtedy, kiedy tak dobrze zarabiał, i szliśmy przez park, i jakiś Murzyn coś do mnie powiedział, a wtedy Harry go uderzył i podniósł z ziemi jego słomkowy kapelusz, i cisnął go z kilkudziesięciu jardów, i taksówka po nim przejechała. Tak się śmiałam, że aż mnie brzuch rozbolał.

Wtedy pierwszy raz utleniłam sobie włosy, w tym salonie kosmetycznym na Prado. Fryzjer męczył się z nimi przez całe popołudnie, bo były z natury takie ciemne, że początkowo wcale nie chciał ich tlenić, a ja się bałam, że będę okropnie wyglądała, ale nic tylko powtarzałam w kółko, żeby spróbował jeszcze je trochę rozjaśnić, i fryzjer raz po raz przejeżdżał po nich grzebieniem i takim pomarańczowym patyczkiem z watą na jednym końcu, maczał watę w słoiku, w którym był ten płyn, taki dymiący, jakby się tam coś gotowało i szła para, albo coś takiego. Dzielił włosy na pasma, potem je smarował i czekał, aż

przeschną, a ja siedziałam cała sztywna ze strachu, że niby co ja zrobiłam, ale nic tylko powtarzałam, żeby je spróbował jeszcze trochę rozjaśnić.

W końcu powiedział: »Bez ryzyka jaśniejszych nie mogę zrobić, proszę pani«, umył je w szamponie, ułożył, a ja nie spojrzałam nawet w lustro, tak się bałam, że będzie okropnie, i zrobił mi przedziałek na boku, zaczesał wysoko za uszami i z tyłu nawijał mnóstwo mocno skręconych loczków, ale były mokre, więc nie bardzo wiedziałam, jak to wygląda, tyle tylko, że byłam jakaś obca i zupełnie zmieniona. Potem nałożył mi siatkę i posadził pod suszarką, a ja przez cały czas umierałam ze strachu. Jak wyszłam spod suszarki, zdjął siatkę, powyciągał szpilki, rozczesał włosy i wtedy wyglądały zupełnie jak ze złota.

Wyszłam na ulicę, spojrzałam do lusterka i zobaczyłam, że błyszczą w słońcu, a jak dotknęłam, były miękkie i jedwabiste, i taka byłam przejęta, że aż mnie zatykało.

Poszłam przez Prado do tej kawiarni, gdzie Harry na mnie czekał, a jak mnie zobaczył, wstał i nie mógł ode mnie oczu oderwać, a jak się odezwał, głos miał taki jakiś niewyraźny i dziwny. – Chryste, Maria, ale ty jesteś piękna.

A ja go spytałam: – Podobam ci się z jasnymi włosami?

– Nie mów o tym – powiedział. – Chodźmy do hotelu.

A ja odpowiedziałam: – Dobrze, chodźmy. – Miałam wtedy dwadzieścia sześć lat.

Zawsze był taki ze mną i ja zawsze byłam taka w stosunku do niego. Mówił, że nigdy nie miał takiej kobiety jak ja, a ja wiem, że nigdy nie było takiego mężczyzny jak on. Dobrze to wiem, cholernie dobrze; a teraz on nie żyje.

Muszę zacząć coś robić. Wiem, że muszę. Ale jak się miało takiego mężczyznę i jak jakiś śmierdzący Kubańczyk go zabił, nie można tak od razu zabierać się do czegoś. Bo wszystko, co człowiek miał w środku, nagle gdzieś znikło. Nie wiem, co ja mam robić. To nie jest tak, jak kiedy wychodził na morze. Wtedy zawsze wracał, a teraz będę bez niego do końca życia. I teraz jestem gruba i brzydka, i stara, i on mi już nie powie, że nie jestem. Teraz musiałabym płacić mężczyźnie, żeby to robił, i wtedy sama bym go nie chciała. Więc tak to wygląda. A jakże, tak to wygląda.

I był dla mnie taki cholernie dobry, mogłam na nim polegać, zawsze jakoś zarabiał pieniądze i nigdy nie musiałam się martwić o pieniądze, tylko o niego; a teraz się to wszystko skończyło.

Nie jest ważne, że coś się dzieje z tym, kogo zabijają. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby mnie zabili. Harry na ostatku był tylko zmęczony, tak powiedział doktor. Ani razu się nie obudził. To dobrze, że miał lekką śmierć. Chryste, jak on musiał cierpieć na tym kutrze. Chciałabym wiedzieć, czy myślał o mnie albo o czym myślał. Pewnie w takich

chwilach człowiek nie myśli o niczym. Pewnie go za bardzo bolało. Ale na ostatku był już tylko zmęczony. Boże, jak ja bym chciała, żeby to mnie zabili. Ale długo mogę tego chcieć. Nic jeszcze nikomu nie przyszło z samego chcenia.

Nie mogłam pójść na pogrzeb. Ludzie tego nie rozumieją. Nie rozumieją, co drugi człowiek czuje. To dlatego, że porządnych ludzi jest tak mało. Prawie ich nie ma. Nikt nie może wiedzieć, co drugi człowiek czuje, bo nikt nie wie, co to naprawdę jest. Ja wiem. Wiem aż za dobrze. Ale co ja zrobię, jeżeli będę żyła jeszcze dwadzieścia lat? Nikt mi tego nie powie i co ja mogę robić innego, jak tylko spychać dzień po dniu, i teraz, zaraz, zabrać się do czegoś? Tylko to mogę zrobić. Ale, Chryste, niech mi kto powie, co robić z nocami.

Co człowiek robi nocą, jeżeli nie może zasnąć? Myślę, że się w końcu dowiem; jak się dowiedziałam, co znaczy stracić męża. A jakże, myślę, że się w końcu dowiem. Myślę, że człowiek wszystkiego się uczy w tym przekętym życiu. Myślę, że ja uczę się już teraz, w tej chwili. Wystarczy umrzeć w środku i potem wszystko jest łatwe. Wystarczy umrzeć w środku i być jak większość ludzi, którzy całe życie są w środku nieżywi. Myślę, że tylko to się z człowiekiem dzieje. Nie można powiedzieć, start miałam dobry. Jeżeli tylko o to chodzi, start miałam dobry. Myślę, że tylko o to chodzi, a jakże. Myślę, że o to. Myślę, że do tego się wszystko sprowadza. Ano, dobrze. Jeżeli tak, to start miałam dobry. Jestem kawał drogi przed wszystkimi innymi ludźmi.”

Za oknem był słoneczny, rześki dzień podzwrotnikowej zimy, liście palm chwiały się na łagodnym północnym wietrze. Pod domem przejeżdżali na rowerach jacyś turyści. Śmieli się. Na dużym podwórzu domu po drugiej stronie ulicy zaskrzeczał paw.

Przez okno widać było morze, w zimowym oświetleniu dziwnie surowe, obce i niebieskie.

Duży biały jacht zawijał do portu, a na horyzoncie, w odległości siedmiu mil, widać było maleńką, ostro rysującą się na tle błękitnego oceanu sylwetkę tankowca, który płynąc na zachód pod prąd trzymał się linii raf, żeby nie marnować paliwa.